

Kistryn:
Prestiż, a nie pieniądze

Maksymowicz:
Medycznych wystarczy

Holmes:
Rankingowe losy

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich Rok XXVII Nr 1 (314) Styczeń 2020 PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)

WANTED

★ AUTHORITY ★

Str. 26-34



Misiak:
Wydawca jako współtwórca

Wroński:
Doktorat z za krat

Jureczko:
Grzyby na ratunek

Forum Akademickie METAMORFOZY 1994-2020



wzrostu autorytetu

Tomaz Witkowski

Mądrość w pułapce autorytetu

czy bezpoczucie odróżnić nierozważnie związane ze sobą składniki autorytetu, jakimi są kompetencje i polityka społeczna? Wygląda na to, że tak, choć jest to trochę zbyt wyidealizowane założenie psychologiczne w tym kontekście. Najbardziej odpowiadają im koncepcje antropologa Christophera Boehma

Wielkiemu Abrahamowi na próbach...
...niezależności ma wyraznie, biologicznie uzasadnione funkcje. Spożycie białek, zwierzęcy proteiny to dla niego...
...Abraham i inne odwołanie do demetri, będące kolegiem no...
...niezależności ma wyraznie, biologicznie uzasadnione funkcje. Spożycie białek, zwierzęcy proteiny to dla niego...
...Abraham i inne odwołanie do demetri, będące kolegiem no...
...niezależności ma wyraznie, biologicznie uzasadnione funkcje. Spożycie białek, zwierzęcy proteiny to dla niego...

do klatki, gdzie przetrwać pozostałe zwierzęta. Na ich szczytach...
...przebiegają od czasu do czasu, a jednak trudno im się...
...przebiegają od czasu do czasu, a jednak trudno im się...
...przebiegają od czasu do czasu, a jednak trudno im się...

Kompetencje i polityka
To dowiadujemy się w krótkim dozwoleniu historyi...
...kompetencje i polityka...
...kompetencje i polityka...

Obuda świata akademickiego
Jak to jest jednak wyrokem ma do nauki, jednej formy...
...obuda świata akademickiego...
...obuda świata akademickiego...

Prof. Witkowski
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...
...prof. Witkowski...

PLAGIARYZM W NAUCE

Mnogi nie potrafią...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...
...plagiaryzm w nauce...

W świecie

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

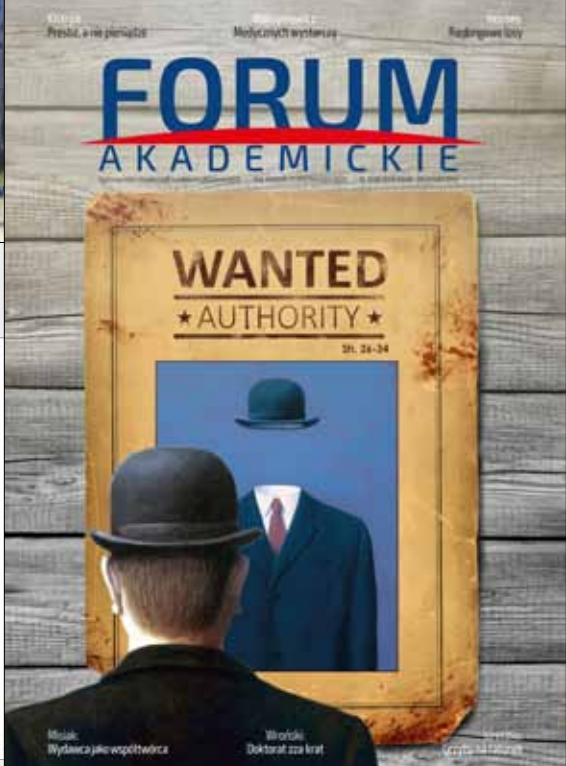
...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...

...w świecie...
...w świecie...
...w świecie...



wzrostowi autorytetu

33

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Mamy wystarczająco dużo uczelni kształcących lekarzy – Wojciech Maksymowicz	8
Wirtualny program, realne efekty – Jakub Brdulak i in.	10
Mniej doktorantów, silniejsza motywacja – Michał Arabski	11
Inicjatywa nieracjonalna i szkodliwa – Andrzej Tretyn	15
A gdyby tak równać do najlepszych? – Grzegorz Bartosz	17
Więcej i lepiej za mniej – Lucjan Pawłowski	18

IDUB

Przesiedliśmy się do ekspresu – Agata Karska	20
Stawiamy na dobrą robotę – Elżbieta Żądzińska	21

ROZMOWA FORUM

Najpierw prestiż, potem miliony – z prof. Stanisławem Kistrynem, prorektorem UJ, przewodniczącym UKN, rozmawia Piotr Kieraciński	22
--	----

W POSZUKIWANIU AUTORYTETU

Przemiany kultury akademickiej – Magda Karkowska	26
Autorytet nauczyciela akademickiego – Jarosław Horowski	29
Mądrość w pułapce autorytetu – Tomasz Witkowski	32

ŻYCIE NAUKOWE

Polskie uniwersytety w międzynarodowych rankingach – Richard Holmes	35
--	----

Z archiwum nieuczciwości naukowej (182)

Ekspresowy doktorat – Marek Wroński	59
Listy do redakcji	62

Z laboratoriów

Inteligencja – Paweł Góra	63
Naukowe grzybobranie – Marcelina Jureczko	66

ŻYCIE AKADEMICKIE

Akademickie wolności – Zbigniew Drozdowicz	39
Bee Gees do symulatorów – Anna Żdanowicz	42
Misjonarze i stratedzy 2 – Marcin Chałupka	44
Artysta niezależny – z prof. Janem Rylke z Katedry Architektury Krajobrazu UP w Lublinie, rozmawia Krystyna Matuszewska	46
Studenci zagraniczni 2019 – Piotr Kieraciński	52
Czytelnia czasopism	54

Publikuj lub giń

Wydawnictwo jest współtwórcą publikacji – Marek Misiak	50
---	----

Studia za granicą

W małym mieście w Pensylwanii – Anna Jaskowiak	55
---	----

W STRONĘ HISTORII

Rody uczone (253)	
Hoyerowie, Wernerowie, Szumanowie. Cz. 1 – Magdalena Bajer	69

Kartki z dziejów nauki w Polsce (222)

Własny kąt w gmachu nauki – Piotr Hübner	72
---	----

OKOLICE NAUKI

Książki	76
---------------	----

FELIETONY

Nie wiem, ale... – Henryk Grabowski	38
--	----

Szkiełko w oku

Wysokość wieży telewizyjnej – Piotr Müldner-Nieckowski	75
---	----

Na marginesach nauki

Kopalnia w Maisons-Laffitte – Leszek Szaruga	80
---	----

Projekt okładki – Sławomir Makal

FORUM Akademiczkie

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXVII Nr 1 (314) Styczeń 2020

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, 524 02 55, e-mail: redakcja@forumakademiczkie.pl, http://www.forumakademiczkie.pl. Rada Patronacka 2017-2020: prof. dr hab. Wiesław Banyś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademiczkie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademiczkie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademiczkie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademiczkie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Joanna Kosmalka, Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademiczkie.pl, Ewa Kostowska (kostowska@forumakademiczkie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 2112405497111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademiczkie.pl. PL ISSN 1233-0930

Doktorat h.c. – prof. Aleksander Koško

RZESZÓW Prof. Aleksander Koško z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu Rzeszowskiego. Uroczystość zwińczyła jubileusz 20-lecia Instytutu Archeologii



Fot. Michał Świąteczki

podkarpackiej uczelni. Prof. Koško jest emerytowanym (od 2019 r.) pracownikiem Wydziału Archeologii UAM. Współorganizował Zespół Badań Kujaw UAM, a także Fundację Ochrony Dziedzictwa Kulturowego Społeczeństw Kujaw oraz poznańsko-kijowski program studiów nad prehistorią międzymorza bałtycko-pontyjskiego, który stał się bazą dla wielu inicjatyw badawczych, stażowych i edytorskich łączących środowiska archeologiczne Polski, Ukrainy i Białorusi oraz innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Jego naukowe zainteresowania koncentrują się wokół archeologii schyłku epoki kamienia oraz początków epoki brązu.

Doktorat h.c. – dr Genevieve Franchini

BIAŁYMSTOK Senat Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku przyznał tytuł doktora honoris causa dr Genevieve Franchini z National Cancer Institute w USA. To światowej sławy autorytet w dziedzinie wirusologii



Fot. UMB

i pionierka badań nad onkogenami i ludzkimi retrowirusami. Prowadzone przez nią badania przyczyniły się do identyfikacji i charakterystyki nowych genów retrowirusów oraz wyjaśnienia ich funkcji, co umożliwiło zrozumienie patogenezę zakażeń wirusami HIV i HTLV-1. Dr Franchini pracuje nad stworzeniem szczepionki przeciwko ludzkiemu wirusowi niedoboru odporności (HIV), a stworzony w jej laboratorium schemat szczepionki ALVAC-HIV/gp120 był pierwszym, który wykazał ochronne działanie u ludzi. Od 1997 roku kieruje laboratorium Animal Models and Retroviral Vaccines Section w NCI. Z UMB współpracuje od ponad 20 lat.

Nowe władze KRD

WARSZAWA Aleksy Borówka z Instytutu Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Wrocławskiego został nowym przewodniczącym Krajowej Reprezentacji Doktorantów na kadencję 2020. Zastąpił na tym stanowisku Łukasza Kierznowskiego. Jest pierwszym przedstawicielem wrocławskiej uczelni stojącym na czele KRD. W minionej kadencji pełnił funkcję pełnomocnika Zarządu ds. działalności naukowej. Ukończył studia z zarządzania (Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu) oraz bezpie-



Fot. UWR

czeństwa międzynarodowego (UWR). Był dwukrotnym laureatem Międzynarodowej Olimpiady Geopolitycznej (II i III miejsce). W skład Zarządu KRD weszli ponadto: Przemysław Brzuszczyk (Uniwersytet Warszawski), Mikołaj Sałek (Instytut Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej im. M. Kossakowskiego PAN), Bartłomiej Skowronek i Ewelina Sobecko (oboje Śląski Uniwersytet Medyczny), Anna Szymczak (Uniwersytet Łódzki) oraz Tomasz Tokarski (Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II).

Wybory także w FUT...

RZESZÓW Przewodniczący Parlamentu Samorządu Studentów Politechniki Krakowskiej, mgr inż. Krzysztof Pszczółka zastąpił Iwonę Gadomską na czele Forum Uczelni Technicznych. Jest absolwentem technologii chemicznej na Wydziale Inżynierii i Technologii Chemicznej PK, a także studentem studiów II stopnia na kierunku biotechnologia. Ekspert ds. studenckich Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Od kwietnia 2016 r. pełnił obowiązki prezesa, a obecnie jest wiceprezesa ds. marketingu i promocji AZS PK. Do Prezydium FUT weszli także: Joanna Niesiołbódzka (Politechnika Gdańska), Kamil Borowik (Politechnika Białostocka), Krystian Telesz (Politechnika Rzeszowska), Kamil Kozłowski (Politechnika Łódzka), Marcin Muskała (Szkoła Główna Służby Pożarniczej w Warszawie), Olaf Wojtarowicz (Politechnika Opolska). FUT jest komisją branżową Parlamentu Studentów RP. Zrzesza 28 samorządów studenckich i 2 samorzady stowarzyszone uczelni technicznych.



Fot. Jan Zych

...i u medyków

BYDGOSZCZ Szymon Tomczak z Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu został nowym przewodniczącym Doktoranckiego Forum Uczelni Medycznych. Zastąpił Ziemowita Wójcika z Uniwersytetu Śląskiego. W Zarządzie organizacji na kadencję 2020 znalazły się również: Anna Stangret (Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie) oraz Małgorzata Grudzińska (Uniwersytet Medyczny w Białymstoku). W trakcie zjazdu do organizacji przyjęto: Towarzystwo Doktorantów Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego i Samorząd Doktorantów V Wydziału Polskiej Akademii Nauk. Obecnie DFUM skupia reprezentantów samorządów doktorantów 12 uczelni.



Fot. Arch. prywatne

Europejski rektor

GDAŃSK Rektor Uniwersytetu Gdańskiego, prof. Jerzy Piotr Gwizdała otrzymał Medal Europejski za promowanie w Polsce idei europejskich. Medal jest niekomercyjną, ogólnopolską inicjatywą Europejskiego Komitetu



Fot. UG

tetu Ekonomiczno-Społecznego (działającego przy Komisji Europejskiej) oraz Business Centre Club. Celem nagrody jest wsparcie polskich produktów i usług na rynku UE oraz przybliżenie idei UE przede wszystkim środowisku przedsiębiorców. Medalem wyróżniane są także produkty i usługi, które spełniają standardy europejskie. Przyznawany jest od 19 lat, a wśród nagrodzonych nim firm są zarówno największy polscy producenci, banki, instytucje finansowe i ubezpieczeniowe, liderzy branży budowlanej, jak również mniejsze przedsiębiorstwa, uczelnie wyższe, a także media.

W Zarządzie ESREA

OLSZTYN/BELGRAD Dr hab. Joanna Ostrouch-Kamińska, prof. Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, została wybrana do Zarządu Głównego ESREA na kadencję 2020–2022. ESREA to międzynarodowe



Fot. UWM

towarzystwo naukowe zrzeszające badaczy edukacji dorosłych. Jego celem jest wspieranie międzynarodowej współpracy i profesjonalnego rozwoju naukowców poprzez inicjowanie działań, wymianę doświadczeń i wyników badań, a także opieka nad doktorantami. Wydział Nauk Społecznych UWM jest instytucjonalnym członkiem towarzystwa, które powstało w 1991 r. i skupia akademików w 12 sieciach badawczych. Prof. Ostrouch-Kamińska od 1997 roku przewodniczy sieci zajmującej się analizą różnicowania procesów edukacyjnych ze względu na płeć. Od roku reprezentuje także polskich pedagogów w Radzie Głównej World Education Research Association (WERA).

Pierwszy Polak w KVAB



Fot. PAN

BRUKSELA Prof. Janusz Kacprzyk, kierownik Pracowni Systemów Inteligentnych w Instytucie Badań Systemowych PAN i wiceprezes Polskiego Towarzystwa Informatycznego, został członkiem zagranicznym Belgijskiej Królewskiej Flamandzkiej Akademii Nauki i Sztuki (Koninklijke Vlaamse Academie van België voor Wetenschappen en Kunsten, KVAB) w klasie nauk technicznych. Jest jedynym Polakiem w tym gro-

nie. KVAB jest najważniejszą uczelnią typu ogólnego w Belgii. Została utworzona w 1772 roku. Skupia wybitnych naukowców, ludzi sztuki oraz liderów biznesu, którzy współpracują w ramach trzech grup specjalistycznych: sztuki, nauk przyrodniczych i technicznych. Prof. Kacprzyk jest międzynarodowej klasy naukowcem specjalizującym się w narzędziach sztucznej inteligencji. Jego badania dotyczą m.in. wspomagania decyzji, rozmytych metod reprezentacji i przetwarzania informacji, sterowania i podejmowania decyzji w warunkach niepewności i braku precyzji, programowania ewolucyjnego oraz sieci neuronowych.

Granty dla humanistów

WARSZAWA Prawie 16 mln zł trafi do laureatów rozstrzygniętych konkursów Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki w modułach Dziedzictwo Narodowe oraz Uniwersalia. Zwycięzców wyłoniono spośród blisko 200 aplikacji. W konkursie Dziedzictwo Narodowe II/2018 złożono w sumie 135 wniosków. Do sfinansowania zakwalifikowano 15 na łączną kwotę 13,9 mln zł. Najwięcej (1,74 mln zł) otrzyma prof. Bogumił Szady z Instytutu Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN na projekt „Kartografia w służbie reform państwa epoki stanisławowskiej – krytyczne opracowanie «Geograficzno-statystycznego opisanie parafii Królestwa Polskiego» oraz map województw koronnych Karola Perthéesa”. Naukowcy z tej jednostki zrealizują także dwa inne projekty. W konkursie Uniwersalia 2.2 II/2018 z 57 złożonych wniosków wybrano 9 o łącznej wartości prawie 2 mln zł. Najwięcej otrzymał dr hab. Roman Marcinkowski z Wydziału Orientalistycznego Uniwersytetu Warszawskiego na projekt „Szkody i Świętości” (435,3 tys. zł).

W jedności siła

LUBLIN Powstaje Kolegium Akademickiego Lublina. W jego skład wejdą rektorzy lubelskich uczelni, marszałek województwa lubelskiego i prezydent miasta. Kolegium ma pracować na rzecz wzmocnienia pozycji



Fot. Bartosz Pioli

lubelskiego ośrodka akademickiego na arenie krajowej i międzynarodowej m.in. przez współpracę z samorządami i biznesem. Ma ona polegać na zachęcaniu naukowców z zagranicy do podjęcia pracy w Lublinie, promocji osiągnięć naukowców, wymianie doświadczeń oraz zwiększeniu wskaźnika umiędzynarodowienia. W Lublinie działa dziewięć uczelni, w tym pięć publicznych, których oferta obejmuje około 200 kierunków z zakresu nauk humanistycznych, społecznych, technicznych, medycznych i przyrodniczych. Studiuje na nich łącznie ponad 60 tys. studentów. Ponad 7 tys. to obcokrajowcy, którzy przyjechali m.in. z USA, Indii, Kanady, Norwegii, Tajwanu, Tajlandii, Ukrainy, Białorusi. Stanowią ok. 12% wszystkich lubelskich zaków.

Pirx i Solaris w kosmosie

WARSZAWA Gwiazda Solaris i planeta Pirx – obie nazwy nawiązujące do twórczości Stanisława Lema – to zwycięskie propozycje w konkursie Międzynarodowej Unii Astronomicznej IAU100 NameExoWorlds. Oddano 88 162 głosy, czyli najwięcej spośród wszystkich krajów (następna była Hiszpania z dwuipółkrotnie mniejszą liczbą). System przyznany Polsce do nazwania nosi do tej pory oznaczenia: BD+14 4559 (gwiazda) i BD+14 4559 b (planeta). Istnienie tej drugiej odkryli polscy astronomowie: prof.

Andrzej Niedzielski, dr Grzegorz Nowak, dr Monika Adamów i prof. Aleksander Wolszczan. Według najnowszych analiz planeta ma masę 1,04 masy Jowisza i promień 1,23 promienia Jowisza. Swoją gwiazdę okrąży co 269 dni ziemskich. Nazwy wyłonione w konkursie mają status oficjalnych i będą używane równoległe z oznaczeniami naukowymi obiektów.

Kryształowa „Trójka”

LUBLIN Stołówka Akademicka „Trójka”, działająca w kampusie Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, zajęła I miejsce w prestiżowym konkursie „O Kryształową Cegłę” w kategorii Rozbudowy i Rewaloryzacji.



Fot. Bartosz Prohl

Konkurs organizowany przez Polskie Towarzystwo Mieszkańców Lublin stanowi największy przegląd dokonań architektonicznych, inżynierskich, konserwatorskich w Europie Wschodniej. „Trójka” to zmodernizowana kulturalna stołówka nr 3, która od 1971 roku służyła społeczności akademickiej UMCS. W połowie poprzedniej dekady lokal zamknięto z powodów finansowych. W ub.r. obiekt przeszedł kapitalny remont. Obecnie jest to zupełnie nowa przestrzeń, gdzie studenci, doktoranci, pracownicy uczelni, a także mieszkańcy Lublina mogą zjeść zdrowe i smaczne posiłki. Oprócz części gastronomicznej w nowej przestrzeni przygotowana została też specjalna strefa dla studentów do nauki, indywidualnej lub wspólnej pracy bądź relaksu. Mieści się tutaj również sala konferencyjna oraz sala prób dla Chóru Akademickiego UMCS.

Najbardziej aktywni

KRAKÓW Telewizja SetaTV Uniwersytetu Opolskiego (w kategorii aktywność studencka), Radio Afera na Politechnice Poznańskiej (finanse studenta) oraz Radio Centrum Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej (nauka i szkolnictwo wyższe) to najlepsze redakcje wyłonione w konkursie grantowym „Aktywny Student”, organizowanym przez Ogólnopolskie Forum Mediów Akademickich. Każdy ze zwycięzców otrzymał 5 tys. zł. Podczas Gali OFMA wyróżniono także Instytut Dziennikarstwa, Mediów i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego – za wsparcie integrowania i popularyzacji dorobku środowiska mediów studenckich w Polsce; Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego – za wsparcie procesu podnoszenia poziomu wiedzy, umiejętności i nabywania kompetencji przez dziennikarzy studenckich; Zakład Ubezpieczeń Społecznych – za popularyzację wśród młodych dzien-



Fot. OFMA

nikarzy tematyki finansowej, w tym związanej z oszczędzaniem długoterminowym. W V Krajowej Konferencji OFMA uczestniczyło ponad 100 dziennikarzy studenckich reprezentujących blisko 40 redakcji i organizacji.

Z precyzją w czołówce

WARSZAWA Trzy zespoły badawcze z Polski znalazły się w gronie laureatów konkursu organizowanego przez sieć JPND (EU Joint Programme – Neurodegenerative Disease Research), finansującą badania naukowe z zakresu medycyny precyzyjnej w chorobach neurodegeneracyjnych. Prof. Jan Stanisław Potempa z Wydziału Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego pokieruje międzynarodowym projektem **Gums&Brains**: „Rola paradontozy i zakażenie *P. gingivalis* na powstawanie i postęp choroby Alzheimera”. Także na UJ będzie realizowany projekt **NMJ-on-a-Chip**: „Wysokoprzepustowy system hodowli ludzkich komórek do badania chorób neuronów motorycznych” (lider polskiego zespołu: prof. Józef Dulak z WBBiB UJ). Z kolei dr Piotr Hańczyc z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego pokieruje polskim zespołem w projekcie **OligoFIT**: „Badania skoncentrowane na oligomerach i zindywidualizowane terapie ukierunkowane na zaburzenia neurodegeneracyjne”. W konkursie złożono 180 wniosków. Finansowanie w wysokości 29,3 mln euro otrzymało 18 projektów.

Młodzi innowacyjni

WARSZAWA Studenci Mikołaj Krupa i Maciej Kalka oraz doktorant Paweł Jagoda z Wydziału Fizyki i Informatyki Stosowanej Akademii Górniczo-Hutniczej zostali zwycięzcami konkursu „Młodzi Innowacyjni dla PGNiG”.



Fot. PGNiG

Opracowali pionierskie rozwiązanie zapewniające bezpieczne, tanie i efektywne magazynowanie wodoru oraz możliwość jego oczyszczania, co ma bardzo duże znaczenie w dalszym wykorzystaniu wodoru np. w ogniwach paliwowych. Oprócz 30 tys. zł autorzy dostaną także 400 tys. zł dofinansowania jego realizacji. W tym roku do organizatorów napłynęła rekordowa (55) liczba zgłoszeń. Najwięcej zgłoszonych pomysłów dotyczyło technologii wodorowych. W finałowej rywalizacji brali udział przedstawiciele Politechniki Wrocławskiej, Politechniki Śląskiej, Politechniki Częstochowskiej oraz AGH.

Zagraniczne stypendia

WARSZAWA Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej rozstrzygnęła drugi nabór wniosków w Programie im. Bekkera. Stypendia pokrywające koszty pobytu w renomowanych ośrodkach naukowych za granicą otrzyma 126 naukowców i nauczycieli akademickich wywodzących się z 53 instytucji. Najwięcej z nich reprezentuje Uniwersytet Warszawski (13), Uniwersytet Jagielloński (12) i Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (11). Największą grupę stanowią badacze nauk przyrodniczych (43), społecznych (29) oraz nauk inżynierskich i technicznych (28). Jako kierunek wyjazdu wybierali głównie ośrodki w USA (29), Wielkiej Brytanii (16), Niemczech (15), Francji (7) i Holandii (7). W trakcie pobytów, trwających od 3 do 24 miesięcy, będą mieli możliwość zrealizowania projektu wspólnie z wybitnymi naukowcami i nawiązania długofalowej współpracy.

Stypendium za „Video instruktaz”

WARSZAWA Agnieszka Napieralska, studentka trzeciego roku studiów pielęgnarskich Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, wygrała polską edycję konkursu o Nagrodę Pielęgniarską Królowej Sylwii. Otrzymała 25 tys. zł za



Fot. Mat. organizatorów

pomysł mający na celu opracowanie przez pielęgniarki biblioteki filmów edukacyjnych, przeznaczonych dla rodzin opiekujących się pacjentem w warunkach domowych. Pokazano by na nich m.in. w jaki sposób prawidłowo karmić chorego przez zgłębnik, zmienić worek stomijny bądź opatrunek czy podawać leki. Wyróżniono Wiktorię Kubinek z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Paulinę Kasper-

ską z Collegium Medicum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Queen Silvia Nursing Award to stypendium skierowane wyłącznie do studentek i studentów oraz osób będących w trakcie specjalizacji pielęgnarskiej. Mogą się o nie ubiegać kandydaci ze Szwecji, Finlandii, Polski oraz Niemiec. Nagrodę ustanowiła organizacja Swedish Care International i nazwała ją na cześć szwedzkiej królowej Sylwii. W Polsce nagrodę zawiaduje Fundacja Medicover.

Dioscuri × 3

WARSZAWA Trzy nowe Centra Dioscuri powstaną w tym roku w Polsce. Ich liderzy zostali wybrani spośród 24 naukowców z całego świata. Dr Paweł Dłotko, pracujący od 2017 r. na Uniwersytecie w Swansea, założy Centrum Dioscuri Topologicznej Analizy Danych w Instytucie Matematycznym Polskiej Akademii Nauk. Dr Gracjan Michlewski, obecnie Senior Lecturer w Edynburskiej Szkole Biomedycznej na Uniwersytecie w Edynburgu, poprowadzi Centrum Dioscuri Interakcji RNA-Białko w Zdrowiu i Chorobach Człowieka w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. Dr Bartłomiej Wacław, zatrudniony w Instytucie Materii Skondensowanej oraz Systemów Złożonych Uniwersytetu w Edynburgu, będzie kierował Centrum Dioscuri w zakresie Fizyki i Chemii Bakterii w Instytucie Chemii Fizycznej PAN. Każde z centrów otrzyma ok. 1,5 miliona euro na okres 5 lat. W pierwszym konkursie wyłoniono dwa centra (dr Aleksandry Pękowskiej i dr. Grzegorza Sumary), które zaczęły działalność w Instytucie Nenckiego we wrześniu 2019 roku. Trzeci konkurs Narodowe Centrum Nauki ogłosiło w grudniu.

UW z AstraZeneca

WARSZAWA Jedna z najbardziej innowacyjnych firm biofarmaceutycznych na świecie – AstraZeneca Pharma Poland i Ośrodek Transferu Technologii Uniwersytetu Warszawskiego podpisały umowę o współpracy. Obie strony określiły szeroki jej zakres: od prowadzenia wspólnej działalności badawczej i rozwojowej, wspierania działalności edukacyjnej, przez budowanie i realizowanie programów wymiany kadr, po indywidualne sesje mentoringu dla start-upów biotechnologicznych związanych z UW i wspieranie realizacji doktoratów wdrożeniowych. W umo-



Fot. UOTT

wie zapisano także wypracowanie atrakcyjnych programów praktyk dla studentów. AstraZeneca dostarcza nowoczesne leki na najpoważniejsze choroby stanowiące wyzwanie dla współczesnej medycyny w 8 głównych dziedzinach medycyny: onkologii, pulmonologii, gastroenterologii, kardiologii, psychiatrii, anestezjologii, antybiotykoterapii i diabetologii. Posiada kilkanaście głównych ośrodków badawczo-rozwojowych oraz zakłady produkcyjne na terenie 18 państw, które wytwarzają leki dostępne w ponad 100 krajach.

Nagroda AgroBioTop

WARSZAWA Dr Marta Grech-Baran, asystentka w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN, została laureatką nagrody naukowej AgroBioTop, przyznawanej przez Komitet Biotechnologii Polskiej Akademii Nauk. Otrzymała 5 tys. euro za zidentyfikowanie genu odporności ziemniaka na infekcję przenoszonym przez mszyce wirusem Y (zwanym również PVY). Atakuje on także uprawy tytoniu i pomidorów, przynosząc ogromne straty w rolnictwie. Osiągnięcie, będące przedmiotem zgłoszenia do amerykańskiego urzędu patentowego, uzyskano z uwzględnieniem ograniczeń prawnych dotyczących użycia roślin zmodyfikowa-



Fot. KB PAN

nych genetycznie. Nagroda AgroBioTop, przyznana po raz trzeci, honoruje młodych uczonych, których uznane dokonania z zakresu biotechnologii przyczyniły się do rozwoju nauk rolniczych i wnoszą wybitny wkład w rozwój rolnictwa.

Infrastruktura na mapie

WARSZAWA 70 przedsięwzięć znalazło się na Polskiej Mapie Infrastruktury Badawczej zatwierdzonej przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego. O wpis ubiegało się 146 inicjatyw. Umieszczenie projektu na PMIB nie gwarantuje automatycznie jego finansowania, ale istotnie zwiększa szanse przy staraniu się o uzyskanie niezbędnych środków. Dominują infrastruktury z nauk fizycznych i inżynierskich (23) oraz biologiczno-medycznych i rolniczych (16). Najwięcej umieściło Narodowe Centrum Badań Jądrowych w Otwocku-Świerku (7). To m.in. rozpoczęta już budowa polskiego lasera na swobodnych elektronach PoIFEL oraz powstanie europejskiego eksperymentalnego wysokotemperaturowego reaktora jądrowego chłodzonego gazowym helem EUHTER, który miałby stanowić wstęp do wprowadzenia tej technologii do europejskiego przemysłu.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Beata Czechowska-Derkacz, Joanna Kosmańska, Agnieszka Książkiewicz,

Katarzyna Skalecka, Marcin Tomkiel

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



30 lat minęło

Blisko czterokrotny wzrost współczynnika skolaryzacji, trzy razy więcej uczelni i studentów – mimo zauważalnych ostatnio tendencji spadkowych raporty GUS pokazują dynamiczny rozwój sektora szkolnictwa wyższego w minionych 30 latach.

U progu transformacji działało w Polsce 112 szkół wyższych, w tym 18 technicznych, 17 artystycznych, 10 pedagogicznych, 11 akademii medycznych i 11 uniwersytetów. Kształciły się w nich 403 824 osoby, w tym 4259 cudzoziemców. Najwięcej osób wybierało kierunki techniczne (16,9%), pedagogiczne (14,2%) oraz biznes i zarządzanie (13,2%). Największy odsetek absolwentów stanowili w tamtym czasie kończący studia pedagogiczne (17,8%).

Na studiach doktoranckich uczyło się 2695 osób, głównie mężczyzn (83,6%). W 1989 roku nadano 910 tytułów profesora, 755 doktora habilitowanego, a 2440 – doktora. Na uczelniach zatrudnionych było 64,4 tys. nauczycieli akademickich (najwięcej w uniwersytetach 17 tys. i w politechnikach 16 tys.). W PAN było 451 członków (najwięcej przedstawicieli nauk przyrodniczych – 192).

Współczynnik skolaryzacji ledwie przekraczał 12%. Po trzech dekadach wzrósł blisko czterokrotnie – do 46,2%. W roku akademickim 2018/2019 w 392 szkołach wyższych (o 5 mniej niż rok wcześniej) studiowało 1,23 mln osób. Oznacza to dalszy spadek liczby studentów, obserwowany już od połowy ubiegłej dekady. W ujęciu rok do roku wyniósł on 4,8%. W ciągu 13 lat liczba studentów zmniejszyła się o ponad 1/3. W 130 uczelniach publicznych kształciło się 73% studentów.

Ubywa „pierwszoroczników”, którzy na studia poszli w liczbie nieznacznie przekraczającej 300 tys. (-4,9%). Malejącej tendencji nie

oparli się niepełnosprawni (22 tys. – spadek o 7,5%). Wzrost zanotowano za to u obcokrajowców – było ich 78,3 tys. wobec 72,7 tys. w roku poprzednim. Ponad połowę z nich stanowili Ukraińcy (39,2 tys.). Największą grupę tworzyli studenci uniwersytetów (363,3 tys.) oraz wyższych szkół technicznych (235 tys.). Nadal dużą popularnością, zwłaszcza u obcokrajowców (16,8 tys.), cieszyły się uczelnie ekonomiczne (173,4 tys.), w których liczba studentów od 4 lat pozostaje względnie stała. Jedynie na uniwersytetach medycznych (65,4 tys.) krzywa poszła do góry. Liderem zestawienia największych uczelni jest niezmiennie Uniwersytet Warszawski (42,7 tys.), przed Uniwersytetem Jagiellońskim (36,9 tys.) i Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza (34,5 tys.).

Dwie trzecie żaków uczyło się w trybie stacjonarnym. Najpopularniejsze były kierunki związane z biznesem i administracją (17,9% – tu także najwięcej obcokrajowców), medyczne (10,9%), inżyniersko-techniczne (9,7%) oraz społeczne (10%). Kierunki związane z opieką społeczną (88,2% studentek) i pedagogiką (81,5%) były z kolei najchętniej wybierane przez kobiety, których wśród studenckiej braci jest coraz więcej (wzrost z 57,8% do 58%).

Okazuje się, że zwiększenie liczby absolwentów było w roku akademickim 2016/2017 tylko jednorazowym przełamaniem spadkowego trendu obserwowanego od paru lat. W roku 2018 mury szkół wyższych opuściło 327,7 tys. absolwentów, czyli aż o 60 tys. mniej. Większość (218 tys.) uzyskała dyplom potwierdzający ukończenie studiów stacjonarnych, a 3/4 uczyniło to na uczelniach publicznych. Więcej niż połowa ukończyła studia pierwszego stopnia: 119,5 tys. z tytułem licencjata, 56,7 tys. – inży-



niara. Studia magisterskie jednolite z powodzeniem ukończyło 20,1 tys. absolwentów (6,1% wszystkich kończących studia), zaś studia drugiego stopnia – 131,4 tys. osób (40,1%). Co piąty kształcił się na kierunkach biznesowo-administracyjnych, a co dziesiąty – na inżynieryjno-technicznych.

Liczba słuchaczy studiów podyplomowych od 4 lat systematycznie rośnie. W minionym roku było ich 161,2 tys. Odnotowano przy tym dalszy spadek liczby słuchaczy (o 2,6%) w szkołach publicznych, a wzrost (o 5,1%) w niepublicznych. Najpopularniejsze były kierunki pedagogiczne (45,7%), zaś wśród 1,2 tys. obcokrajowców (najwięcej z Ukrainy i Białorusi) biznesowo-administracyjne (48,3%).

Coraz mniej jest za to doktorantów. Ich liczba, zarówno na uczelniach, jak i w instytutach badawczych, jednostkach Polskiej Akademii Nauk oraz w Centrum Medycznym Kształcenia Podyplomowego, wyniosła 39,3 tys., co oznacza spadek w stosunku do poprzedniego roku aż o 5%. Największy zanotowano na studiach niestacjonarnych (o 13%). Doktoranci kształcili się najczęściej w naukach humanistycznych i technicznych (po 6,6 tys.), społecznych (3,8 tys.), medycznych (3,5 tys.), prawnych (3,4 tys.) i ekonomicznych (3,2 tys.). W roku 2018 otworzono 6100 przewodów doktorskich, a stopień naukowy doktora uzyskało 3,7 tys. osób.

W analizowanym roku pomoc materialną otrzymało 228 tys. studentów (o 8,6% mniej). Największy odsetek stanowiły stypendia socjalne (130 tys. osób), a w dalszej kolejności rektorskie dla najlepszych studentów (97 tys.), specjalne (19 tys.), fundowane (3,5 tys.). Poza tym studenci mogli liczyć na stypendia ministerialne pochodzące z różnych resortów (804). Świadczenia pomocy materialnej otrzymało też 9,2 tys. doktorantów, z czego 76,7% – stypendium dla najlepszych.

Wciąż utrzymuje się malejący trend korzystających z domów studenckich – w porównaniu z rokiem poprzednim spadek wyniósł 5,3%. Jednocześnie liczba niewykorzystanych miejsc wzrosła o 1,5 tys. i wyniosła 33,8 tys. Liczba miejsc w akademikach wynosi 126 tys. Oznacza to, że prawie 27% z nich nie jest wykorzystana. Interesujące byłoby powody, ale tych GUS nie wyjaśnia.

Na koniec 2018 roku w szkołach wyższych zatrudnionych było 93,1 tys. nauczycieli akademickich. To o 2% mniej niż rok wcześniej. Wśród nich było 21,6 tys. profesorów (zwyczajnych, nadzwyczajnych, wizytujących), 36,1 tys. adiunktów oraz 12,1 tys. asystentów. Nieznacznie przeważają mężczyźni (53,8%), przy czym tylko na stanowiskach profesorskich ich odsetek stanowi wyraźną różnicę (60,3%). Kobiet jest z kolei więcej wśród asystentów (53,8%). Przytłaczającą większość (88,9%) stanowili nauczyciele pracujący w publicznych szkołach wyższych. Wśród wykładowców 2,1 tys. to cudzoziemcy. Na jednego nauczyciela akademickiego przypadało średnio 13 studentów. Najwięcej w uczelniach ekonomicznych – 30.

Z raportu GUS wynika, że wynik finansowy uczelni wyniósł 630,3 mln zł i był niższy w ujęciu r/r o 3,5%. Na plusie były wszystkie: uczelnie techniczne (164,3 mln), uniwersytety (135,6 mln), uniwersytety medyczne (70 mln), uczelnie rolnicze (80,5 mln), artystyczne (6,8 mln), ekonomiczne (24 mln), pedagogiczne (5,8 mln), AWF-y (20,9 mln) i pozostałe (48,5 mln). Również wyższe szkoły niepubliczne osiągnęły dodatni wynik finansowy netto – 72,7 mln zł.

Przychody z działalności operacyjnej wyniosły 24,5 mld zł, w tym 22 mld zł w placówkach publicznych (dydaktyka – 77%, badania – 14%; pozostałe 9% to m.in. wydzielona działalność gospodarcza, sprzedaż towarów i materiałów, koszt wytworzenia świadczeń) i 2,5 mld zł w niepublicznych (dydaktyka – 87,2%, badania – 4%, pozostałe – 7,8%).

Największy udział przychodów z działalności dydaktycznej miały uczelnie ekonomiczne (94%) i pedagogiczne (89,5%), zaś z badawczej – techniczne (17%) i uniwersytety (16,4%). O ile w uczelniach publicznych głównym źródłem finansowania dydaktyki były dotacje budżetowe, o tyle w niepublicznych – opłaty za studia. Środki na badania pozyskiwano głównie z dotacji statutowej (publiczne – 36%, niepubliczne – 27,2%).

Przeciętne koszty kształcenia w przeliczeniu na jednego studenta kształtowały się na poziomie 20 446 zł (o 7,8% więcej niż rok wcześniej).

MK

Dzień Nauki Polskiej

Pierwsza Gala Nauki Polskiej, podczas której wybitni naukowcy zostaną uhonorowani nagrodami ministra nauki i szkolnictwa wyższego, odbędzie się 19 lutego w Centrum Kulturalno-Kongresowym Jordanki w Toruniu.

Wydarzenie będzie głównym punktem obchodów Dnia Nauki Polskiej, o ustanowienie którego wnioskowała grupa posłów PiS. Wybrano datę 19 lutego – rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika. Jak podano w uzasadnieniu ustawy, która jest jeszcze procedowana, nowe święto państwowe będzie „wyrazem najwyższego uznania dla dokonań rodzimych naukowców w ponad 1000-letniej historii naszego narodu i państwa”. W konsultacjach społecznych projektu wypowiedziały się instytucje akademickie. W imieniu Polskiej Akademii Nauk prof. Jerzy Duszyński napisał, że lepiej byłoby ustanowić Dzień Nauki w Polsce, bo nauka jest jedna na całym świecie, a nie polska. Zaproponował ustanowienie przy tej okazji specjalnych Stypendiów Rzeczypospolitej dla naukowców. Prof. Jan Szmidt w imieniu Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich stwierdził, że ustanowienie takiego święta ma jedynie znaczenie symboliczne. Lepiej byłoby uchwalić ustawę pt. „Więcej środków na naukę”. Ze względu na powszechny charakter nauki należałoby raczej mówić o Dniu Nauki lub Dniu Nauki w Polsce. Zwrócił też uwagę, że ONZ uchwalił już święto nauki, które jest obchodzone 10 listopada. KRASP ma wątpliwości, co

do sensu ustanawiania takiego święta państwowego. W piśmie Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego czytamy, że Rada docenia wagę gestów symbolicznych, a za taki uznaje ustanowienie święta nauki, które ma dowartościować pracę badaczy i znaczenie ich osiągnięć. Jednak okolicznością sprzyjającą ustanowieniu takiego święta byłoby osiągnięcie poziomu finansowania badań rekomendowanego przez Unię Europejską w strategii Europa 2020.

Dokonania takich postaci, jak Kopernik, Jan Heweliusz, Ignacy Łukasiewicz, Karol Olszewski i Zygmunt Wróblewski, Maria Skłodowska-Curie, Henryk Arctowski, Ludwik Hirsfeld, Jan Czochołski czy Stefan Banach oraz współczesnych uczonych, środowisko naukowe ma świętować co roku w innym ośrodku. Pierwsza Gala Nauki Polskiej, organizowana przez MNiSW oraz Uniwersytet Mikołaja Kopernika, odbędzie się w Centrum Kulturalno-Kongresowym Jordanki w Toruniu. Oprócz wręczenia nagród za całokształt dorobku oraz za znaczące osiągnięcia w działalności badawczej, dydaktycznej, wdrożeniowej i organizacyjnej, uczestnicy wezmą udział w widowisku „Opera matematyczna – Paradoksalny Rozkład Sfery”, które łączy znakomitą muzykę z piękną wizualnie opowieścią o polskich matematykach z tzw. Szkoły Lwowskiej.

M, P

Mamy wystarczająco dużo uczelni kształcących lekarzy

Podczas posiedzenia Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich w Białowieży prof. dr hab. n. med. **Wojciech Maksymowicz**, sekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, mówił o problemach kształcenia lekarzy w Polsce. Poprosiliśmy go o szerszą wypowiedź na ten temat.

Liczba instytucji prowadzących studia lekarskie wzrosła w ostatnich kilku latach. Do niedawna prowadziły je tylko uniwersytety medyczne i Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego oraz Collegium Medicum UJ i zbliżone kolegium UMK. Ponad dziesięć lat temu do tej grupy dołączył Uniwersytet Warmińsko-Mazurski.

Weryfikacja absolwentów kierunku lekarskiego na UWM w postaci znakomych wyników Lekarskiego Egzaminu Końcowego spowodowała, że kolejne uczelnie wystąpiły o prawo do jego prowadzenia. Uzyskało je kilka uniwersytetów ogólnych, a także trzy uczelnie niepubliczne i jeden uniwersytet przymiotnikowy. W sumie mamy już ponad dwadzieścia podmiotów, które kształcą lekarzy.

Wiem, ile trzeba pracy, samozaparcia i środków finansowych, żeby takie zadanie dobrze zrealizować, dlatego z obawą patrzyłem na przyznawanie kolejnych uprawnień w tym zakresie. Oczywiście, dla wielu uczelni prawo do prowadzenia kształcenia lekarzy oznacza prestiż. Na tym uczelniom zależy najbardziej, bo kształcenie medyków nie wiąże się z zyskiem finansowym dla uczelni, chyba, że mówimy o kształceniu w j. angielskim.

Obecnie, po uzyskaniu uprawnień przez wiele podmiotów, jesteśmy na etapie weryfikacji nowych kierunków lekarskich. Widzimy



bowiem, że prestiż może zamienić się w poczucie klęski czy wręcz blamaż. Trzeba działać w taki sposób, żeby do tego nie dopuścić.

Niedawna negatywna ocena PKA dla kierunku lekarskiego na Uniwersytecie Technologiczno-Humanistycznym w Radomiu jest bardzo poważną przesłanką, żeby podjąć stosowne działania prawne. Osobiście wizytowałem tę uczelnię. Na razie nasza decyzja jest jednoznaczna, ale wstrzymam się od wartościowania do momentu weryfikacji pewnych danych. Chcemy sprawdzić dokumentację procesu akredytacji, wkrótce będziemy wiedzieć więcej. W tej chwili studenci są na drugim roku, a jeśli nie spełniono warunków stawianych dla kierunku lekarskiego, to uczelnia musi im zapewnić możliwość kontynuacji kształcenia na innej uczelni. Tak drastycznej sytuacji jak w Radomiu nie stwierdzono w żadnej innej uczelni, która rozpoczęła kształcenie lekarzy.

Obecnie w systemie szkolnictwa wyższego kształcą się o 50% lekarzy więcej niż kilka lat temu. Na studia lekarskie przyjmowanych jest ponad 6 tys. osób rocznie, a jeszcze do niedawna było ich 4 tys. Za ten wzrost odpowiadają w znacznym stopniu nowe kierunki lekarskie. Taka zmiana oznacza również zobowiązanie, nie tylko formalnoprawne, by pilnować jakości kształcenia, ale także zobowiązanie wobec społeczeństwa, pacjentów. Nie można pominąć również kwestii tzw. akredytacji amerykańskiej dla polskiego systemu kształcenia lekarzy, którą w przyszłym roku musimy odnowić. Gdyby ministerstwo nie wyciągało wniosków z negatywnych ocen jakości kształcenia lekarzy, byłoby to bardzo niekorzystne, a może nawet rujnujące dla polskich uczelni, które prowadzą je prawidłowo.

Czy potrzebujemy w Polsce więcej lekarzy? Gdybyśmy za pewnik wzięli liczby pojawiające się w niektórych mediach, sprawa wyglądałaby na katastrofalną. Czasami media podają, że pod względem liczby lekarzy w stosunku do liczby ludności jesteśmy na ostatnim miejscu w Europie. To nieprawda. Wg spisów lekarzy praktykujących, które ogłaszają izby lekarskie, mamy w kraju ponad 140 tys. lekarzy (i ponad 37 tys. lekarzy dentyków – red.). Daje to ok. 3,7 lekarza na tysiąc miesz-

Uczelnie kształcące lekarzy

Kształceniem lekarzy zajmuje się w Polsce 21 uczelni, w tym 18 publicznych i 3 niepubliczne.

Wśród uczelni publicznych są uniwersytety medyczne w Białymstoku, Gdańsku, Katowicach, Lublinie, Łodzi, Poznaniu, Szczecinie, Warszawie i Wrocławiu oraz kolegia medyczne na uniwersytetach: Jagiellońskim w Krakowie, Mikołaja Kopernika w Bydgoszczy (to dawne akademie medyczne) i Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Ponadto na kierunku lekarskim kształcą uniwersytety ogólne: Jana Kochanowskiego w Kielcach, Opolski, Rzeszowski, Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie i Zielonogórski, a także Uniwersytet Technologiczno-Humanistyczny w Radomiu.

Uczelnie niepubliczne kształcące lekarzy to: Krakowska Akademia im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Uczelnia Łazarskiego w Warszawie i Wyższa Szkoła Techniczna w Katowicach.

W roku 2019/20 minister zdrowia ustalił limit przyjęć na kierunek lekarski na studia stacjonarne w j. polskim na poziomie 4965 osób, studia stacjonarne w j. polskim dla cudzoziemców – 77 osób, studia niestacjonarne w j. polskim – 1224 osoby i studia w j. angielskim – 1892 osoby. Uczelnie przyjęły więc na studia lekarskie w j. polskim ponad 6,2 tys. osób.

kańców. Po odjęciu z tej grupy lekarzy, którzy są w wieku powyżej 65 lat, nadal uzyskujemy wynik ponad 3 lekarzy na tysiąc mieszkańców. Może nie jest to liczba rewelacyjna, ale nie oznacza ona, że zajmujemy odległe miejsce w Europie.

Co więcej, liczba lekarzy w Polsce systematycznie rośnie. Gdybyśmy nie zwiększyli rekrutacji na kierunek lekarski, moglibyśmy wkrótce mieć kłopot. Tym bardziej, że rosną wymagania i oczekiwania społeczne dotyczące opieki zdrowotnej. Wynika to m.in. z faktu, że opieka zdrowotna jest coraz lepsza, korzysta z niej więcej osób i korzysta częściej, ponieważ poprawiła się długość życia.

Moim zdaniem, obecny poziom rekrutacji na kierunek lekarski i liczba studentów tego kierunku, a co za tym idzie – absolwentów medycyny, są wystarczające, by w nieodległej perspektywie odpowiednio zwiększyć liczbę personelu lekarskiego w kraju. Znacznie gorszą sytuację mamy, jeśli chodzi o pielęgniarstwo. Będę robił wszystko, aby poprawić możliwości kształcenia na tym kierunku.

Mamy też nową sytuację w zakresie organizacji kształcenia lekarzy. O ile do niedawna wszystkie uczelnie, które się tym zajmowały,

podlegały ministrowi zdrowia, to obecnie już ponad połowa z nich podlega ministrowi nauki. To wszystkie uniwersytety ogólne i uczelnie niepubliczne, które od niedawna prowadzą studia lekarskie.

Kiedyś byłem zwolennikiem rozwiązania, by całe szkolnictwo medyczne podlegało ministrowi zdrowia, bo to on wypłaca subwencję uczelniom stricte medycznym. Inaczej jest w przypadku uniwersytetów ogólnych, gdzie subwencja przydzielana przez resort szkolnictwa wyższego dotyczy także innych – poza lekarskim – kierunków. Może lepiej byłoby, gdyby to minister zdrowia zarządzał dotacją przeznaczoną na kształcenie lekarzy? Na razie w Ministerstwie Zdrowia doszło do ograniczenia struktur odpowiadających za kształcenie. Nie wiem, czy to dobrze. Jest pewien problem, bo kształcenie lekarzy uzależnione jest od dwóch resortów. Niezależnie jednak od tego, który resort będzie nadzorował kształcenie lekarzy, musi to robić odpowiedzialnie. Zbyt wiele od tego zależy.

Notował Piotr Kieraciński

Najlepsi w publikacjach

Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Jagielloński, Politechnika Lubelska, Politechnika Łódzka, SWPS Uniwersytet Humanistyczno-społeczny i Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego zostały laureatami ELSEVIER Research Impact Leaders Award 2019.

Nagroda, przyznawana w sześciu kategoriach, promuje wysoką jakość badań naukowych i ich umiędzynarodowienie. Kapituła bierze pod uwagę wzrost liczby publikacji w najbardziej prestiżowych czasopismach naukowych, publikacje z udziałem zagranicznych współautorów oraz wskaźnik cytowań w danej dyscyplinie.

W obszarze nauk rolniczych i przyrodniczych nagrodę odebrał prof. Sławomir Wiak, rektor PŁ. Co szósta publikacja łódzkich naukowców z dziedziny rolnictwa i nauki weterynaryjne znajduje się wśród 10% najczęściej cytowanych. Jedną z nich, dotyczącą wpływu probiotyków, prebiotyków i symbiotyków na zdrowie człowieka, uzyskała ponad 10-krotnie lepsze cytowania niż średnia światowa.

W obszarze nauk inżynierskich i technicznych nagrodę trafiła do rąk prof. Anny Halickiej, prorektor ds. współpracy z otoczeniem społeczno-biznesowym PL. Lubelscy badacze najwięcej publikują w naukach inżynierskich i technicznych. Co trzecia praca dotyczy materiałoznawstwa. Badania z zakresu materiałów biodegradowalnych i opakowań były cytowane prawie 12 razy lepiej niż podobne publikacje w tej dyscyplinie.

W obszarze nauk humanistycznych nagrodę odebrał prof. Roman Cieślak, rektor SWPS. Badania skupiają się na tematach związanych z metodami uczenia, psychologią, podejmowaniem decyzji czy językoznawstwem, a ich wyniki cytowane były o ponad 50% lepiej niż inne w tej samej dyscyplinie.

W obszarze nauk o zdrowiu i medycznych uhonorowano UJ, który reprezentował prof. Tomasz Grodzicki, prorektor ds. Collegium Medicum UJ. Prace krakowskich naukowców poruszają tematy z takich zagadnień, jak: nowotwory (neoplasma), immunoterapia, microRNA czy choroby cywilizacyjne. Publikacje te stanowią 1/3 dorobku uczelni i były cytowane ponad dwukrotnie lepiej niż inne w tej dyscyplinie.

W obszarze nauk przyrodniczych nagrodę przyznano UW, a odebrała ją prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow, była rektor uczelni. Publikacje z zakresu Natural Science stanowiły na UW prawie 55% ogółu. Dotyczą galaktyk, gwiazd i planet, wykorzystania grafenu czy katalizy chemicznej. Prace te były cytowane o 57% lepiej niż średnia światowa.

W obszarze nauk społecznych triumfowała Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego (nagrodę wręczył rektorowi prof. Wiesławowi Bielawskiemu). Prawie 60% publikacji naukowców z SGGW znajdowało się w tytułach z pierwszych 25% najbardziej cytowanych czasopism. Najwięcej z zakresu geografii społeczno-ekonomicznej. Na szczególną uwagę zasługuje artykuł traktujący o prognozach przyszłego wpływu zmian klimatycznych na zasoby wodne cytowany ponad 12 razy lepiej niż średnia światowa.

Uroczystość towarzyszyła konferencji „Polskie uczelnie w światowej perspektywie. Rankingi a strategiczne zarządzanie szkołą wyższą”, organizowanej wspólnie przez Fundację Edukacyjną „Perspektywy”, Konferencję Rektorów Akademickich Szkół Polskich i Polską Komisję Akredytacyjną.

MK

Zdjęcia na III stronie okładki

Sprostowanie

W artykule na temat konferencji dotyczących historii matematyki, który został opublikowany w FA nr 6/2019 na str. 9, w wyniku skrótów dokonanych przez redakcję pojawiła się błędna – zdaniem autora artykułu, prof. Witolda Więśława – informacja, że Polskie Towarzystwo Matematyczne nadal „firmuje konferencje historyczne, które są organizowane przez różne uczelnie”. Tymczasem w oryginale tekstu zdanie dotyczące współpracy organizatorów konferencji z PTM brzmiało: „Kolejne konferencje były organizowane przez różne uczelnie. XXV Konferencja była ostatnią firmowaną przez PTM”.

Za błąd powstały w wyniku prac redakcji przepraszamy autora artykułu i czytelników FA. W wersji on-line FA 6/2019 czytelnicy mogą znaleźć pełną wersję artykułu, bez skrótów redakcyjnych.

Redakcja

Wirtualny program, realne efekty

Wprowadzone przez proces boloński do Europejskiego Obszaru Szkolnictwa Wyższego instrumenty, m.in. ECTS-y, efekty uczenia czy ramy kwalifikacji, powszechnie kojarzą się z biurokracją i dodatkowymi obowiązkami kadry akademickiej. A przecież generują też szereg szans, umożliwiając porównywanie procesów dydaktycznych. W efekcie możliwe jest tworzenie wspólnych przedsięwzięć edukacyjnych, których beneficjentami są studenci. Poprzez pewną kompatybilność systemów edukacyjnych mieszczą się one w formalnych ramach, bez konieczności wprowadzania dodatkowych umów czy regulacji. Do tego typu inicjatyw można zaliczyć wspólne prowadzenie przedmiotu przez niemiecką SRH i polską SWPS, co miało miejsce w semestrze letnim roku akademickiego 2018/2019.

Za współpracę odpowiadał zespół złożony z czworga koordynatorów: dwie osoby po stronie SRH: profesorowie Stephan Schöning i Claudia Ossola-Haring, oraz dwie osoby po stronie Uniwersytetu SWPS: prof. uczelniany Jakub Brdulak oraz mgr Agnieszka Golińska.

Chodziło nam o zaprojektowanie takiej formy aktywności, która zaangażuje studentów i umożliwi im realizację zadań w międzynarodowych zespołach wirtualnych. Koordynatorzy nie dysponowali dodatkowymi środkami finansowymi na tego typu współpracę, co – jak się okazało – umożliwiło łatwiejszą skalowalność oraz brak konieczności angażowania administracji uczelnianej. Koordynatorzy też zajmowali się tylko i wyłącznie kwestiami merytorycznymi, a nie formalnościami.

Pomysłodawcami projektu byli S. Schöning i J. Brdulak, którzy wcześniej mieli okazję współpracować przy akredytacji programów kształcenia litewskich uczelni. Dzięki temu doświadczeniu projekto-

wanie wspólnych zajęć odbywało się zdalnie. Współpraca studencka została oparta na dwóch przedmiotach realizowanych przez uczelnie w języku angielskim na I stopniu studiów: w SWPS – Principles of Management, a w SRH – The Foreign Department.

Dopasowanie efektów uczenia się pomiędzy stroną polską i niemiecką było pierwszym wyzwaniem. Punktem wyjścia były efekty wskazane przez SRH. Następnie strona polska zidentyfikowała podobne efekty uczenia się w ramach przedmiotu realizowanego na SWPS. Nie były to wszystkie efekty przedmiotu Principles of Management, stąd uczestnictwo w projekcie zwalniało studentów jedynie z części wykładowej. Część ćwiczeniową musieli zaliczyć. Po stronie polskiej uczestnictwo w projekcie było dobrowolne.

Drugim wyzwaniem było wpisanie współpracy w harmonogramy zajęć. Uniwersytet SWPS realizuje przedmioty w formule tradycyjnej – zajęcia odbywają się co tydzień przez cały semestr. SRH prowadzi blokowy program kształcenia i przedmiot The Foreign Department był zaplanowany do realizacji w ciągu 5 tygodni (od połowy maja do połowy czerwca). Studenci SWPS do połowy maja uczestniczyli w przedmiocie Principles of Management, a następnie mogli zamiast egzaminu wybrać alternatywną projektową metodę zaliczenia przedmiotu, współpracując z niemieckimi kolegami. Taka organizacja projektu wymagała od nich dużej dyscypliny. Nie było miejsca na jakiegokolwiek opóźnienia. Decyzje o uczestnictwie w projekcie musieli podjąć na dwa tygodnie przed uruchomieniem przedmiotu przez stronę niemiecką. Do współpracy zgłosiło się 8 studentów z Uniwersytetu SWPS, reprezentujących narodowości z czterech kontynentów: Europy, Azji, Afryki i Ameryki Południowej. Tylko jedna osoba pochodziła z Polski. W projekcie obowiązkowo wzięło udział 30 studentów z SRH.

Zadaniem studentów było przygotowanie 8 prezentacji na podstawie przeglądu literatury i badań realizowanych w Niemczech, Polsce i w kraju pochodzenia studenta. Istotne było, aby w raporcie z badań różnorodność studentów była widoczna i aby stanowiła jego silną stronę.

Uczestnikom projektu przyznano podpisane przez koordynatorów projektu certyfikaty poświadczające uczestnictwo we współpracy.

Wybrane wypowiedzi studentów:

To był wyczerpujący i trudny projekt, ale jednocześnie wspaniałe doświadczenie!

(kobieta, 23 lata, Niemcy)

Nie spodziewałam się, że komunikacja online okaże się aż tak wymagająca. Były chwile, kiedy myślałam, że spotkanie twarzą w twarz byłoby znacznie bardziej efektywne.

(kobieta, 19 lat, Polska)



Wszyscy studenci uczestniczący w projekcie rekomendowaliby uczestnictwo w tego typu współpracy swoim kolegom i koleżankom. Jako główne argumenty podawali możliwość poznania i współpracy ze studentami z innego kraju oraz sprawdzenia siebie w nowej, nietypowej sytuacji. Doceniali też podniesienie kompetencji komunikacyjnych, w tym językowych, i realizację interesujących badań.

W budowaniu współpracy pomogło osadzenie relacji w logikach EHEA – jedna i druga strona zna założenia i intencje procesu bolońskiego. Wbrew powszechnej opinii efekty uczenia dają możliwość uelastycznienia programów kształcenia, dzięki czemu współpraca była w ogóle możliwa.

Projekty tego typu są niepowtarzalne, przez co wymagają ponadstandardowego zaangażowania i prowadzącego, i uczestników zajęć. Autorzy tego artykułu stoją na stanowisku, iż nie można wymagać zaangażowania od studentów, jeśli samemu nie jest się zaangażo-

wanym. Ten przykład pokazuje, że rozwój technologii oraz ramy formalne EHEA mogą prowadzić do tworzenia oryginalnych programów kształcenia nawet pojedynczych przedmiotów. Projekt SWPS–SRH został zrealizowany w formie wirtualnej. Studenci z Polski i Niemiec nie spotkali się osobiście.

Pozytywne doświadczenie zdobyte we współpracy polsko-niemieckiej spowodowało, że wkrótce J. Brdulak, ale już w barwach Szkoły Głównej Handlowej, uruchomi podobną współpracę z uczelnią w Bombaju (Indie) oraz powtórzy program z uczelnią niemiecką.

Dr hab. Jakub Brdulak, profesor SGH, członek PKA, delegat polski w procesie bolońskim (QA). Mgr Agnieszka Golińska, psycholog kulturowy, wykładowca Uniwersytetu SWPS, doktorantka w Instytucie Psychologii PAN. Prof. Claudia Ossola-Haring, Campus Calw of SRH University of Applied Sciences (Berlin). Prof. Stephan Schöning, Campus Calw of SRH University of Applied Sciences (Berlin)

Mniej doktorantów, silniejsza motywacja

Dr hab. **Michał Arabski**, prof. UJK, prorektor Uniwersytetu Jana Kochanowskiego ds. nauki, przedstawia szkołę doktorską UJK, pisze o wynikach naboru kandydatów, programie kształcenia i mechanizmach motywacyjnych dla doktorantów.

Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach prowadzi kształcenie doktorantów w szkole doktorskiej w czterech sekcjach dziedzinowych, obejmujących jedenaście dyscyplin naukowych: **nauk humanistycznych** (historia, językoznawstwo, literaturoznawstwo), **nauk społecznych** (nauki prawne, nauki o polityce i administracji), **nauk medycznych i nauk o zdrowiu** (nauki medyczne, nauki o zdrowiu) **oraz nauk ścisłych i przyrodniczych** (nauki biologiczne, nauki chemiczne, nauki fizyczne, nauki o Ziemi i środowisku).

W roku akademickim 2019/2020 przyjęliśmy 21 doktorantów spośród absolwentów naszego uniwersytetu oraz z innych krajowych ośrodków naukowych (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, Uniwersytet Łódzki, Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach, Akademia Wychowania Fizycznego w Krakowie). Do grona doktorantów dołączyli również młodzi naukowcy z Włoch, Indii, Armenii i Azerbejdżanu. W przyszłości po pełnym cyklu kształcenia w szkole doktorskiej planujemy mieć na UJK około 100 doktorantów, co stanowi 1/3 liczby uczestników obecnych studiów doktoranckich. Na potrzeby rekrutacji określono kryteria obejmujące zarówno ocenę punktową osiągnięć naukowych kandydata za okres 2015/2019, jak również wynik rozmowy kwalifikacyjnej przeprowadzonej w języku polskim i angielskim. Kandydat zaprezentował koncepcję projektu badawczego w kontekście zainteresowań naukowych. Do szkoły doktorskiej UJK kandydowało 41 osób, co znaczy, że niemal połowa odpadła w procesie rekrutacji.

Kształcenie doktorantów w Szkole Doktorskiej Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach (strona informacyjna: sd.ujk.edu.pl) odbywa się na kursach prowadzonych w języku polskim i angielskim. Program 4-letnich studiów pozwala na osiągnięcie przez absolwenta kompetencji w zakresie wytworzenia i upowszechnienia nowej

wiedzy na podstawie własnych badań naukowych. Ponadto umożliwia zdobycie specjalistycznej wiedzy i umiejętności w planowaniu, zarządzaniu oraz popularyzacji badań naukowych. Istotnym celem programu jest również zdobycie umiejętności w zakresie nowoczesnych metod kształcenia, w tym prowadzenia różnych form zajęć w szkole wyższej. Kształcenie prowadzone jest w formie przedmiotów ogólnych dla wszystkich doktorantów (m.in. komunikacja i przedsiębiorczość naukowa, ochrona własności intelektualnej, filozofia/ekonomia, etyka badań naukowych, metodyka prowadzenia zajęć), przedmiotów dziedzinowych dedykowanych poszczególnym sekcjom (analiza statyczna danych czy też nowoczesne metody badawcze) oraz specjalistycznych przedmiotów dyscyplinowych o charakterze fakultatywnym, w tym spoza dyscypliny. W programie kształcenia ujęte zostały praktyki dydaktyczne oraz obowiązkowy, co najmniej miesięczny, zagraniczny staż naukowy.

Wszyscy uczestnicy szkoły doktorskiej otrzymują stypendia uniwersyteckie (obowiązkowe). Każdy uczestniczy też w projekcie naukowym, a 15 otrzymuje w projektach dodatkowe stypendia. Trzy z nich przyznawane są w projektach Narodowego Centrum Nauki (MAESTRO 10 we współpracy z Europejską Organizacją Badań Jądrowych CERN oraz OPUS 14), a 12 w projekcie „AKCELERATOR ROZWOJU Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach” współfinansowanym ze środków EFS w PO WER 2014–2020. Projekt ten ma na celu m.in. wzmocnienie rozwoju naukowego doktorantów poprzez włączenie ich do programu kursów naukowych i seminariów prowadzonych przez naukowców z wiodących ośrodków zagranicznych oraz specjalistycznych szkoleń i staży naukowych wskazanych w indywidualnym planie rozwoju naukowego przez doktoranta. Uczestnicy projektu otrzymują nie tylko wsparcie finansowe aktywności naukowej, ale także stypendia motywacyjne.



Złoty jubileusz UG

Uniwersytet Gdański kończy w tym roku 50 lat. Został powołany 20 marca 1970 roku. Powstał z połączenia Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Sopocie i Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Gdańsku. Obecnie jest największą uczelnią wyższą na Pomorzu. Jej mury przez minione półwiecze opuściło 202 139 absolwentów.

Jako jedna z pięciu polskich uczelni UG tworzy sieć 17 uniwersytetów europejskich wybranych w konkursie Komisji Europejskiej „European Universities”. Wraz z partnerami z Hiszpanii, Chorwacji, Francji, Niemiec i Malty wszedł do konsorcjum Europejskiego Uniwersytetu Nadmorskiego (European University of the Seas – SEA-EU).



Na jedenastu wydziałach kształcą się dziś 25 794 studentów, w tym 433 obcokrajowców. Zdecydowana większość (16,7 tys.) w trybie stacjonarnym. Mogą wybierać z oferty 87 kierunków, a dodatkowo rozwijać swoje zainteresowania w 160 kołach naukowych. Na studiach doktoranckich jest 1061 osób, a w szkołach doktorskich – 92.

Kadra naukowo-dydaktyczna UG liczy 1789 pracowników, w tym 150 profesorów, 442 doktorów habilitowanych, 890 doktorów i 307 magistrów. W wyniku ostatniej parametryzacji jedna jednostka – Międzuczelniany Wydział Biotechnologii UG i GUMed – otrzymała kategorię A+. Ponadto 5 wydziałów dostało kat. A i tyle samo kat. B. Uniwersytet posiada uprawnienia do doktoryzowania w 20 dyscyplinach naukowych, a do habilitowania w 14.

W zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej znajduje się blisko 1,7 mln woluminów.

Uczelnia realizuje obecnie 68 międzynarodowych i prawie 200 krajowych projektów naukowych, badawczo-rozwojowych i dydaktycznych na łączną kwotę ponad 350 mln zł. Jednym z nich jest prestiżowy ERC Starting Grant, który w ub. roku trafił do dr. hab. Michała R. Szymańskiego, który na 5-letnie badania mechanizmu naprawy DNA w ludzkich mitochondriach otrzymał 1,5 mln euro. UG znajduje się w czołówce jednostek pozyskujących najwięcej środków z Narodowego Centrum Nauki (w ub.r. – 27 mln zł). Jest także dwukrotnym laureatem Programu Fundacji na rzecz Nauki Polskiej – Międzynarodowe Agendy Badawcze. Za 76 mln zł stworzono Międzynarodowe Centrum Badań nad Szczepionkami Przeciwnowotworowymi (kierowane przez prof. Theodore’a Huppa) oraz Międzynarodowe Centrum Teorii Technologii Kwantowych (prof. Marek Żukowski).

MK

O kampusie oliwskim UG czytaj na IV stronie okładki

Międzynarodowe Agendy Badawcze na UG

Jednym z największych sukcesów badaczy z UG jest uzyskanie dwóch grantów o łącznej wysokości 76 milionów złotych w programie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej Międzynarodowe Agendy Badawcze. Na UG powstały dwa międzynarodowe centra badawcze z udziałem naukowców i młodych badaczy z całego świata. Są to Międzynarodowe Centrum Teorii Technologii Kwantowych, na czele którego stanął prof. Marek Żukowski z Wydziału Matematyki, Fizyki i Informatyki UG (41 mln zł) oraz Międzynarodowe Centrum Badań nad Szczepionkami Przeciwnowotworowymi, które prowadzi dwóch światowej klasy naukowców – prof. Ted Hupp i prof. Robin Fahraeus (35 mln zł).

W Międzynarodowym Centrum Teorii Technologii Kwantowych (International Centre for Theory of Quantum Technologies, ICTQT) naukowcy prowadzą badania w zakresie fundamentalnych zagadnień fizyki kwantowej, komunikacji i informacji kwantowej oraz technologii kwantowych. Działalność Centrum jest skupiona na rozwoju nowych technologii, z naciskiem na cyberbezpieczeństwo oraz nowe techniki obliczeniowe. To badania, które będą stanowiły podwaliny

dla kluczowych w przyszłości branż technologii informatycznych, takich jak bezpieczeństwo i rozwój internetu kwantowego, komputerów kwantowych oraz sieci kwantowych, a także rozwój symulacji kwantowych. Kwantowe szyfry są całkowicie bezpieczne, a możliwość ich złamania oznaczałaby złamanie praw Natury. Zagranicznym partnerem strategicznym jest Instytut Optyki Kwantowej i Informacji Kwantowej Austriackiej Akademii Nauk (IQOQI-Wienna)

Międzynarodowe Centrum Badań nad Szczepionkami Przeciwnowotworowymi (International Centre for Cancer Vaccine Science, ICCVS) prowadzi badania nad możliwościami wykorzystania układu odpornościowego w walce z nowotworami. Pozyskaną wiedzę będzie można w przyszłości wykorzystać w klinicznych i przemysłowych pracach nad szczepionkami przeciwnowotworowymi i immunoterapeutykami, dzięki którym leczenie onkologiczne będzie skuteczniejsze. Zagranicznym partnerem strategicznym jest Uniwersytet w Edynburgu.

(BCD)

Laureaci Nagrody Naukowej Miasta Gdańska z UG

Badacze z Uniwersytetu Gdańskiego są laureatami Nagrody Naukowej Miasta Gdańska im. Jana Heweliusza od początku jej ustanowienia. W dziedzinie nauk przyrodniczych i ścisłych: prof. Maciej Żylicz (1992), prof. Karol Taylor (1995), prof. Zbigniew Grzonka (1999), prof. Grzegorz Węgrzyn (2003), prof. Marcin Pliński (2007), prof. Ryszard Horodecki (2008), prof. Jerzy Błażejowski (2012), prof. Marek Żukowski (2015), prof. Piotr Stepnowski (2018). W kategorii nauk humanistycznych: prof. Roman Wapiński (2001), prof. Edmund Kotarski (2002), prof. Józef Bachórz (2003), prof. Bohdan Dziemidok (2004), prof. Józef Borzyszkowski (2005), prof. Jerzy Limon (2006), prof. Małgorzata Czermińska-Książek (2007), prof. Zdzisław Brodecki (2009), prof. Jan Burnewicz (2010), prof. Mirosław Szreder (2011), prof. Brunon Synak (2012), prof. Stefan Chwin (2013), prof. Mieczysław Nurek (2014), prof. Jerzy Zajadło (2016), prof. Cezary Obracht-Prondzyński (2017).

W 2003 roku w Gdańsku powołano naukową nagrodę dla młodych naukowców pod nazwą „Młody Heweliusz”, która od 2006 roku nosi nazwę Nagrody Miasta Gdańska dla Młodych Naukowców im. Jana Uphagena. W gronie wyróżnionych badaczy z UG są: dr Sławomir Antkiewicz (2003), dr Oktawian Nawrot (2004), dr Karol Horodecki i dr Monika Bokinić (2006), dr Kamil Zeidler (2007), dr Michał Harciarek (2008), dr Paweł Antonowicz i dr Robert Łyżeń (2009), dr Sylwia Freza i dr Magdalena Giers (2011), Jakub Szlachetko (2012), Piotr Kitowski (2013), dr Anna Klimaszewska i dr Marta Kolanowska (2014), Waclaw Kulczykowski (2016), Piotr Zieliński (2017), Marta Skowron Volponi (2018).

(BCD)



Prof. Piotr Stepnowski ze statuetką Nagrody Heweliusza

Nowi profesorowie

12 grudnia 2019 r. prezydent Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Jolanta Daszyńska** (UŁ), **Adam Dobaczewski** (UMK), **Ilona Dobosiewicz** (UO), **Irena Dzurkowska-Kossowska** (UMK), **Andrzej Fabianowski** (UW), **Maciej Franz** (UAM), **Paweł Grata** (URz), **Ryszard Gryglewski** (UJ), **Paweł Kawalec** (KUL), **Ryszard Kulesza** (UW), **Wacław Lewandowski** (UMK), **Jolanta Małecka-Kukawka** (UMK), **Henryk Mamzer** (IAiE PAN), **Arkadiusz Morawiec** (UŁ), **Danuta Okoń** (USz), **ks. Jacek Pawlik** (UWM), **Andrzej Pelisiak** (URz), **Bożena Rozwadowska** (UWr), **Andrzej Szczerski** (UJ), **Ewa Szczęsa** (UW)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Janina Adamus** (PCz), **Jan Danielewicz** (PWr), **Mariusz Dudziak** (PŚ), **Katarzyna Gawdzińska** (AM Szczecin), **Bożena Hoła** (PWr), **Jarosław Jakubowicz** (PP), **Bogdan Kaźmierczak** (IPPT PAN), **Anna Kucaba-Piętal** (PRz), **Julian Plewa** (UŚ), **Bartosz Powalka** (ZUT), **Wiesław Rokicki** (PW), **Edward Rój** (INSC Puławy), **Aleksandra Sas-Bojarska** (PG), **Dariusz Skibicki** (UTP), **Anna Snakowska** (AGH), **Sławomir Sujecki** (PWr), **Tomasz Szolc** (IPPT PAN)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Wioletta Barańska-Rybak** (GUMed), **Krzysztof Błaszyk** (UMP), **Magdalena Bujalska-Zadrozny** (WUM), **Marzanna Cechowska-Pasko** (UMB), **Leszek**

Kalinowski (GUMed), **Małgorzata Kołodziejczak** (Szpital św. Elżbiety Warszawa), **Radosław Lenarczyk** (UMKat), **Bartosz Molik** (AWF Wa), **Wojciech Naumnik** (UMB), **Monika Podhorecka** (UML), **Nafis Rahman** (UMB), **Teresa Sierpińska** (UMB), **Przemysław Sikora** (UML), **Ewa Słomińska** (GUMed), **Beata Stanisław** (UMP), **Piotr Suwalski** (CSK MSWiA), **Edyta Szurowska** (GUMed), **Piotr Szymański** (CMKP, CSK MSWiA), **Barbara Thiem** (UMP), **Beata Zakrzewska-Pniewska** (WUM)

NAUKI ROLNICZE: **Jarosław Bystron** (UPWr), **Wojciech Jagusiak** (URKr), **Paweł Janiszewski** (UWM), **Aleksandra Platt-Samoraj** (UWM), **Edyta Skrzypek** (IFR PAN), **Urszula Wachowska** (UWM)

NAUKI SPOŁECZNE: **Mirosław Bączyk** (UMK), **Anna Giza-Poleszczuk** (UW), **Beata Łaciak** (UW), **Jerzy Sielski** (UHP Częstochowa)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Jarosław Chojnacki** (PG), **Joanna Kałużna-Czaplińska** (PŁ), **Grzegorz Karbowski** (IP PAN), **Leszek Kolendowicz** (UAM), **Marcin Łukaszewicz** (UWr), **Arkadiusz Nowak** (UO), **Marcin Solarz** (UW), **Mariusz Zdrojek** (PW)

NAUKI TEOLOGICZNE: **ks. Marek Tatar** (UKSW)

SZTUKA: **Ewa Braun** (ASPWa), **Robert Kaja** (ASPG), **Mariusz Wideryński** (ASPWa), **Artur Winiarski** (ASPWa), **Irena Żarnowska-Kuszevska** (AMuzB)

Pomysły na bydgoską medycynę

W lutym 2016 r. do Sejmu wpłynął obywatelski projekt ustawy o utworzeniu na bazie Collegium Medicum UMK samodzielnego uniwersytetu medycznego w Bydgoszczy. Jego inicjatorem był dr Zbigniew Pawłowicz, były dyrektor Centrum Onkologii w Bydgoszczy. Projekt był uwierzytelniony 160 tysiącami podpisów mieszkańców miasta. Nie został on w tamtej kadencji przyjęty przez Sejm. W listopadzie 2019 r. wpłynął do Sejmu RP dokładnie ten sam obywatelski projekt ustawy o powołaniu Uniwersytetu Medycznego im. Ludwika Rydygiera w Bydgoszczy. Został on w końcu grudnia 2019 r. skierowany do sejmowych Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży oraz Zdrowia.

Pomysł powołania samodzielnego uniwersytetu medycznego w Bydgoszczy popiera Rafał Bruski, prezydent miasta. Uważa on, że decyzja co do terminów i zasad utworzenia nowej uczelni na bazie Collegium Medicum UMK zależy tylko i wyłącznie od woli i decyzji politycznej. Zdaniem prezydenta Bydgoszczy, wyniki uczelni medycznych w rankingu pokazują, że samodzielne uniwersytety wypadają lepiej niż kolegia medyczne uniwersytetów klasycznych. Bruski widzi też potrzebę konsolidacji publicznych uczelni bydgoskich.

Warto zauważyć, że – wbrew informacji prezydenta Bydgoszczy – Collegium Medicum UJ znajduje się na podium rankingu kierunku lekarskiego, a CM UMK na 16 pozycji. Niemniej, cenna i warta realizacji wydaje się inicjatywa prezydenta dotycząca konsolidacji publicznych uczelni bydgoskich.

Nieco inny pomysł ma bydgoską medycynę przedstawił Łukasz Schreiber, poseł PiS z Bydgoszczy. Zaproponował, by wobec sprzeciwu UMK nie myśleć o kolejnej samodzielnej uczelni, ale o wydziale

istniejących już w Bydgoszczy uniwersytetów (UKW i UTP – red.). Także w tym pomysle tkwi myśl o konsolidacji bydgoskich uczelni. Warto go mieć na uwadze w przyszłości, gdyż o ile wiem, także rektorzy i środowisko akademickie Bydgoszczy przygląda się z zainteresowaniem tej idei.

Pomysł utworzenia w Bydgoszczy niezależnego uniwersytetu medycznego negatywnie ocenia też Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Prof. Wojciech Maksymowicz, sekretarz stanu w MNiSW, uważa, że takie rozwiązanie może grozić osłabieniem potencjału UMK, a ustanowienie samodzielnej uczelni medycznej jest sprzeczne z trendami konsolidacyjnymi w szkolnictwie wyższym. Wyraził taką opinię m.in. na posiedzeniu KRASP w Białowieży na początku grudnia 2019 r.

Warto też zwrócić uwagę, że obywatelski projekt ustawy jest teraz rozpatrywany przez Sejm na podstawie art. 4. ust. 3 ustawy o wykonywaniu inicjatywy ustawodawczej przez obywateli. Stanowi on, że projekt ustawy, w stosunku do którego postępowanie ustawodawcze nie zostało zakończone w trakcie kadencji Sejmu, w której został wniesiony (w tym wypadku VIII), jest rozpatrywany przez Sejm następnej kadencji (w tym wypadku IX). W projekcie nie dokonano nawet aktualizacji dat i danych. Zatem postuluje się w nim utworzenie uniwersytetu z dniem 1 października 2016 r., powołuje się na nieaktualną już ustawę Prawo o Szkolnictwie Wyższym itp.

Oczywiście, tak jak poprzednim razem, tak i teraz na projekt ustawy zareagowała Rada Collegium Medicum UMK, która w stanowisku z 13 grudnia 2019 r. „potwierdza stanowisko w sprawie integralności Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu”, wyrażone przez



Fot. Andrzej Romaniński

Senat UMK 26 stycznia 2016 r. W aktualnym stanowisku medycy piszą, że „próba podziału naszego Uniwersytetu tuż po tym, gdy znalazł się w elitarnym gronie uczelni badawczych, musi zostać potraktowana jako szczególnie nieodpowiedzialna i niebezpieczna”. Przypominają też, że medycyna jest jednym z priorytetowych obszarów badawczych UMK, a integracja bydgoskiej AM z UMK zyskała wysokie oceny międzynarodowych ekspertów. Dalej piszą, że „Podział UMK może zagrozić realizowanym projektom oraz pozycji naszego Uniwersytetu, w

tym jego części medycznej”. Uważają, że projekt ustawy łamie zasadę autonomii uczelni, która jest „podstawą funkcjonowania europejskich uniwersytetów”.

Poniżej prezentujemy komentarz prof. Andrzeja Tretyna, rektora UMK.

Piotr Kieraciński

Inicjatywa nieracjonalna i szkodliwa

Prof. **Andrzej Tretyn**, rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, przedstawia argumenty za odrzuceniem ustawy zawierającej propozycję utworzenia w Bydgoszczy samodzielnego uniwersytetu medycznego na bazie Collegium Medicum UMK.

Pomysł utworzenia Uniwersytetu Medycznego w Bydgoszczy poprzez wyodrębnienie Collegium Medicum ze struktury UMK pojawił się przeszło cztery lata temu przed wyborami parlamentarnymi i jak bumerang powraca przy okazji kolejnych wyborów (samorządowych w 2018 i parlamentarnych w 2019). Jego ideową podstawą jest wykorzystanie (i eskalowanie) – do celów ściśle politycznych – wzajemnej, w tej chwili bardziej mitycznej niż realnej, niechęci mieszkańców Bydgoszczy i Torunia (z głównym motywem narracji: „musimy odebrać to, co zostało przez Toruń zabrane”). Inicjatywa nie ma podstaw prawnych ani merytorycznych, których efektem mogłoby być na przykład podniesienie jakości badań i kształcenia w Collegium Medicum, zwiększenie prestiżu Bydgoszczy jako miasta akademickiego czy polepszenie jakości usług zdrowotnych w regionie. Odwrotnie. Podział UMK, który od stycznia 2020 roku ma status uczelni badawczej, byłby bolesną stratą dla toruńskiej części uczelni i katastrofą dla wydziałów reprezentujących nauki medyczne.



Fot. Andrzej Bumański

Inicjatywa bydgoskich polityków w roku 2015 wydawała się po prostu nieracjonalna, wynikająca z niewiedzy o uwarunkowaniach i potrzebach polskiego szkolnictwa wyższego i polskiej nauki. Wskazywaliśmy wówczas m.in. na komplikacje płynące z ewentualnego podziału majątku, niezgodności procedury podziału z zapisami kodeksu pracy i – przede wszystkim – na nieuchronne obniżenie prestiżu obu części naszej uczelni.

Podstawowym mankamentem inicjatywy był jednak brak jej umocowania w porządku prawnym. Obowiązująca wówczas ustawa o szkolnictwie wyższym nie przewidywała w żadnej sytuacji podziału uczelni. I chociaż prawo się zmieniło, w tym m.in. uprawnienia senatów, to wbrew temu, co mówią bydgoscy politycy, nowa ustawa także podziału uczelni nie przewiduje. Ponadto wbrew temu, co mówią bydgoscy politycy, w nowym porządku prawnym nie ma możliwości utworzenia w tej chwili w Bydgoszczy uczelni o profilu medycznym, która miałaby status uniwersytetu. Określenie „uniwersytet” jest bowiem zarezerwowane dla uczelni akademickiej posiadającej kategorii naukowe A+, A bądź B+ w co najmniej 6 dyscyplinach naukowych zawierających się w co najmniej 3 dziedzi-

nach nauki, a nauki medyczne i nauki o zdrowiu stanowią jedną dziedzinę nauki. Collegium Medicum – posiadające wydziały reprezentujące 3 dyscypliny zawierające się w jednej dziedzinie – tych wymogów nie spełnia, a zatem nie może stać się samodzielnie uniwersytetem. Przy założeniu, że dziedzina nauki medyczne i nauki o zdrowiu uzyska w najbliższej parametryzacji co najmniej ocenę B+, samodzielne Collegium Medicum może liczyć wyłącznie na status uczelni akademickiej, jeśli zaś uzyska ocenę niższą, stanie się uczelnią zawodową, tracąc uprawnienia do nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego. Bezzasadny jest także przytaczany wcześniej argument, że istnieją uniwersytety posiadające mniejszą niż wymagana obecnie liczbę dyscyplin, bowiem aktualne prawo sankcjonujące istnienie takich, wcześniej powstałych uczelni, jednocześnie wyklucza powstawanie nowych, niespełniających wymogów uniwersytetów.

Sytuacja UMK w ostatnich miesiącach zasadniczo się zmieniła. Inicjatywę podziału należy ocenić w tej chwili nie tylko jako nieracjonalną, ale także skrajnie szkodliwą dla bydgoskiej części UMK. Status uczelni badawczej to nie tylko prestiżowa etykieta. To sześćioletni, rozbudowany projekt, wypracowany przez naukowców i administrację obu części Uniwersytetu (prorektor Jacek Kubica z Collegium Medicum kierował pracami zespołu). Spotkał się on z uznaniem niezależnych ekspertów i został zatwierdzony do realizacji w takiej, a nie innej formie przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Odłączenie Collegium Medicum od uniwersytetu oznaczałoby nie tylko konieczność rezygnacji z zaszczytnego statusu uczelni badawczej. Podział naszego uniwersytetu wiązałby się z zaprzepaszczeniem historycznej szansy rozwoju oraz z rezygnacją z dodatkowych środków finansowych, które w perspektywie 6 lat wyniosą niemal 220 mln zł.

Oczekiwanie polityków, że dla spełnienia ich personalnych ambicji uznamy za nieistotne nasze wieloletnie przygotowania do osiągnięcia statusu uczelni badawczej, uznamy ten historyczny sukces za nieważny i rezygnujemy z projektu, który jest najważniejszym elementem naszej strategii rozwoju, jest dla mnie, rektora jednej z 10 w Polsce uczelni badawczych, nie do pojęcia.

Cztery polskie „konsolidatory”

Dwa granty w Polsce i dwa kolejne realizowane przez Polaków w zagranicznych ośrodkach – to bilans ostatniego konkursu ERC Consolidator Grant.

Zaraz po ogłoszeniu listy laureatów proporcje te wyglądały nieco inaczej. Wszystko dlatego, że dr hab. Anna Matysiak składała wniosek, będąc jeszcze w Wiedeńskim Instytucie Demografii Austriackiej Akademii Nauk. Ponieważ jednak we wrześniu ub.r. została jedną z laureatek programu NAWA „Polskie Powroty”, w wyniku którego rozpoczęła pracę w Katedrze Ekonomii Ludności i Demografii na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego, postanowiła również grant ERC przenieść do swojej nowej jednostki (decyzja ERC jeszcze nie zapadła). Jej projekt „LABFER: Globalizacja i zmiany w rynku pracy a płodność”, o wartości prawie 2 mln euro, dotyczy wpływu cyfryzacji, globalizacji i automatyzacji na kwestię posiadania dzieci. Autorka zwraca uwagę, że korelacja między pracą 2.0 a wskaźnikiem urodzeń była jak dotąd słabo rozpoznana w pracach badawczych. Zamierza więc porównać interakcję rynku pracy i płodności we wszystkich 30 krajach OECD, a także sprawdzić, czy pewne grupy społeczne, np. osoby o wysokich lub niskich kwalifikacjach edukacyjnych, mają odmienny pogląd na planowanie rodziny ze względu na zachodzące zmiany na rynku pracy. Demografka chce także sprawdzić, w jaki sposób polityka rodzinna może złagodzić negatywne skutki tych zmian w odniesieniu do planowania rodziny.

Dr hab. **Anna Matysiak** jest absolwentką dwóch kierunków: ekonomii oraz metod ilościowych i systemów informacyjnych na SGH. Była adiunktem w Zakładzie Demografii Instytutu Statystyki i Demografii w Kolegium Analiz Ekonomicznych SGH. Od 2013 roku pracowała w Wiedeńskim Instytucie Demografii. Jest także doradcą Funduszu Ludnościowego Narodów Zjednoczonych (UNFPA) w kwestiach ludnościowych w Europie Wschodniej. Jej zainteresowania naukowe i prowadzone badania koncentrują się wokół analiz współzależności procesów demograficznych i społeczno-ekonomicznych.

Drugi grant w Polsce będzie realizowała dr hab. **Valentina Lepri**, prof. Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Pochodzi z Włoch, jest intelektualistką i historykiem idei, a jej badania dotyczą renesansu. Była stypendystką m.in. w ośrodku studiów renesansowych Uniwersytetu Harvarda Villa I Tatti oraz laureatką unijnego grantu Maria Skłodowska-Curie. Projekt „From East to West, and Back Again: Student Travel and Transcultural Knowledge Production in Renaissance Europe (c. 1470–c. 1620)” to pierwsze kompleksowe studium nad tworzeniem wiedzy międzykulturowej w Europie we wczesnej epoce nowożytnej. Studenci z Europy Środkowo-Wschodniej – podróżujący za granicę do renomowanych uniwersytetów – prowadzili zeszyty zawierające ręcznie sporządzone notatki z wykładów oraz dotyczące ich prywatnych zainteresowań. Notatniki te, przechowywane w archiwach Czech, Węgier, Litwy, Polski i Ukrainy, stanowią unikatową dokumen-

tację na temat wpływu wielu bodźców kulturowych na proces tworzenia wiedzy. Celem projektu jest analiza: związku między wiedzą akademicką a nieakademicką zgromadzoną w notatnikach studentów; pojawienia się nowych form samokształcenia, kryteriów wyboru tekstów; kontaktów między kulturą humanistyczną a kulturami krajów, z których pochodzą studenci. Obejmie okres od pojawienia się tej praktyki aż do wojny trzydziestoletniej, która znacząco ograniczyła swobodę podróży. Na pięcioletnie badania, w które zaangażowane będzie 9 osób, prof. Lepri otrzymała ponad 1,7 mln euro.

Pozostałe granty polskich uczonych będą realizowane za granicą. Prof. **Wojciech Jacek Miloch**, absolwent studiów slawistycznych na Uniwersytecie Gdańskim, który w 2005 roku wyjechał do Oslo, gdzie pracuje do dziś, obecnie w Zakładzie Fizyki tamtejszego uniwersytetu, pokieruje wartym prawie 2 mln euro projektem „4DSpace: zintegrowane badania pogody kosmicznej na wysokich szerokościach geograficznych”. Jego celem jest zrozumienie wpływu wysokoenergetycznych elektronów pochodzących ze Słońca, a powodujących m.in. zorzec polarne, na turbulencje i niestabilności w jonosferze polarnej. Zbadana zostanie także ich rola w oddziaływaniu plazmy kosmicznej na atmosferę ziemską, a także na transport energii z kosmosu. Posłużą do tego dane z satelitów oraz urządzenia badawcze m.in. z Polskiej Stacji Polarnej Hornsund.

Z kolei prof. **Marek Pycia**, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego z doktoratem z matematyki w Polskiej Akademii Nauk (1998), wieloletni współpracownik Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci, który pracował m.in. w Akademii Leona Koźmińskiego i na Uniwersytecie Kalifornijskim, a od 2017 roku jest zatrudniony na Uniwersytecie w Zurychu (Wydział Ekonomii), realizuje projekt „Prostota instytucji i rynków”. Jego celem jest stworzenie narzędzi do badania prostoty rynków oraz analiza związków między prostotą a dobrobytem czy nierównościami społecznymi, do których to zjawisk instytucje uczestniczące w rynku się przyczyniają. Naukowiec podejmie także próbę stworzenia nowych instytucji rynkowych. Wartość grantu to 1,7 mln euro.

European Research Council wybrała 318 zwycięzców spośród 2453 nadesłanych wniosków. Otrzymają oni w sumie 635 mln euro. Beneficjenci będą realizować swoje projekty na uniwersytetach i w ośrodkach badawczych w 24 krajach Europy, przy czym wiodącymi lokalizacjami są: Wielka Brytania (55 dotacji), Niemcy (54), Francja (45) i Niderlandy (34). Finansowanie otrzymali naukowcy 38 narodowości, wśród nich głównie Niemcy (57 grantów), Francuzi (35), Holendrzy (30) i Włosi (25).

Mariusz Karwowski



Fot. Wittgenstein Centre



Fot. Jarosław Dęłoga-Sófra



Fot. Uniwersytet w Oslo



Fot. Uniwersytet w Zurychu

A gdyby tak równać do najlepszych?

„Kto mu dał profesurę?” – usłyszałem kiedyś pytanie z ust darzonej estymą pani profesor, gdy poziom wykładu prelegenta spadł znacznie poniżej poziomu akceptacji. Było ono w zamyśle retoryczne i takim pozostałoby, gdyby nie spontaniczna odpowiedź innej słuchaczki wykładu: „Pani profesor była recenzentem...”. Prof. **Grzegorz Bartosz** z Uniwersytetu Łódzkiego przedstawia propozycję nowego podejścia do awansów naukowych.

„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”, a nauka będzie taka, jakie przykłady, wymagania, reguły postępowania i horyzonty myślowe przekażą młodym badaczom ich mentorzy. A przecież dyskusje dotyczące nabywania uprawnień do mentorowania – habilitacji i profesur – często kończą się utyskiwaniem, że poziom zarówno jednych, jak i drugich jest niepokojąco niski, mimo istnienia Rady Doskonałości Naukowej i kończącej swą działalność Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Nie jest odosobniony pogląd, że słabe i bardzo słabe wnioski zbyt często przechodzą przez sita oceniające.

Oczywiście nie jest łatwo napisać recenzję negatywną, zwłaszcza gdy za niebudzącym entuzjazmu dorobkiem widzi się człowieka zmagającego się z przeciwnościami losu, nieszczęściami, chorobami i skądinąd – sympatycznego. Potrzebna jest niemała doza bezwzględności, na którą nie każdego stać. Nierzadkie – a to bardzo ogłędne określenie – są więc recenzje grzecznościowe, niekiedy „układowe”, innym razem płynące z nieposkromionej życzliwości wobec innych. Niejednokrotnie słyszałem podczas posiedzeń komisji habilitacyjnych argument, że wprawdzie habilitacja jest słaba, ale przecież przechodzą jeszcze gorsze... Zwykle trudno było się nie zgodzić z taką opinią. Czyli: równanie do najgorszych.

Czy jest możliwe wyjście z tej sytuacji? Nie sądzę, by pomogły apele. Nie jest łatwo zmienić naturę człowieka (i czy warto ją zmieniać?). W moim przekonaniu lepsza i skuteczna byłaby zmiana systemu oceny i przyznawania wyższego stopnia naukowego i tytułu (przy założeniu, że należy je utrzymać).

Istnieje w naszym kraju system oceny i kwalifikacji, na łagodność którego nikt się nie uskarża. To system grantowy, który grona aplikantów wyłania i premiuje (przynajmniej w założeniu) najlepszych. A gdyby tak procedury habilitacji i uzyskiwania profesury oprzeć na podobnej zasadzie?

Jak mogłoby to wyglądać? Wyobraźmy sobie, że odpowiednia instytucja (np. Rada Doskonałości Naukowej) trzy razy w roku ogłasza konkurs na habilitację, a dwa razy na profesury. Panel ekspertów rozpatruje złożone wnioski, z których 50% przechodzi do drugiego etapu. Wyznaczeni recenzenci oceniają tę lepszą połowę aplikacji. I znów tylko połowa najlepszych załatwiana jest pozytywnie. Wyławiamy więc najlepszych kandydatów do doktorów habilitowanych czy profesorów i przyznajemy im to, o co proszą. Recenzje obowiązkowo komentują dobre i złe strony dorobku kandydatów (w przypadku braku wypunktowania stron negatywnych system nie przyjmuje recenzji), a kandydaci, którzy nie przeszli do finału, mogą startować w następnych konkursach ze świadomością, co i jak powinni



uzupełnić (i kiedy jest sens startować do następnego konkursu – znika problem karencji). System punktowy zastępuje konieczność powiedzenia radykalnego „nie”. Bardziej „wrażliwi” recenzenci przyjmują to z ulgą, a bardziej krytyczni dają upust swemu temperamentowi w komentarzach i ocenie punktowej. Odpada problem „dobrych” i „złych” komisji habilitacyjnych.

Proponowany system rozwiązuje kwestię „dobrych” i „złych” recenzentów. Obowiązująca ustawa zaleca losowanie recenzentów. Eliminuje to (choć niekoniecznie) „upatrzonych” recenzentów, ale czy tak trudno podać trzykrotnie więcej znajomych? Trzykrotnie więcej kompetentnych ekspertów – owszem, trudniej. A gdyby tak recenzentów proponował komputer na zasadzie zgodności słów kluczowych/hasel kandydata i recenzenta? Oczywiście, komputer, a raczej algorytm inteligentny na tyle, by premiować zgodność hasel szczegółowych (motyle), ale również (z odpowiednio mniejszą liczbą punktów) zgodność na poziomie bardziej ogólnym (owady). Algorytm uwzględniający także ocenę recenzentów, dokonywaną przez panel ekspertów po każdym konkursie. Słowem kluczowym recenzenta kiepskiego, powierzchownego, stronniczego przypisany byłby odpowiednio niski współczynnik rzetelności (np. 0,5), a wnikliwemu, obiektywnemu współczynnik wyższy (np. 1,5). W ten sposób lepszy recenzent mógłby być wybrany zamiast gorszego, mimo iż tylko 3 jego słowa kluczowe pokrywają się ze słowami kluczowymi kandydata, a w przypadku recenzenta gorszego aż 8. Możliwe byłoby uwzględnienie stopnia surowości oceny recenzenta przez przypisanie mu „współczynnika subiektywności”. Mógłby nim być stosunek liczby punktów, jaką daje on osobie ocenianej w stosunku do średniej liczby punktów przydzielonej przez wszystkich recenzentów, aktualizowany po każdej recenzji. Podzielenie liczby punktów przydzielonej przez recenzenta kolejnej osobie ocenianej przez „współczynnik subiektywności” recenzenta w znacznym stopniu wyeliminowałoby zależność otrzymanej oceny punktowej od indywidualnej skłonności recenzenta do ocen niskich czy wysokich.

Te szczegóły nie są jednak istotne w porównaniu z zasadniczą ideą przyznawania wyższego stopnia naukowego i tytułu tylko kandydatom najlepszym w każdym konkursie. Gdyby taką zasadę przyjąć, moglibyśmy przypadkowo usłyszeć taką rozmowę: „Kolego, serdecznie gratuluję profesury”. „Poszło w miarę dobrze, dostałem już w trzecim podejściu”. „Jak na naszą uczelnię to naprawdę nieźle”.

Więcej i lepiej za mniej

Prof. **Lucjan Pawłowski** z Katedry Inżynierii Ochrony Środowiska na Wydziale Inżynierii Środowiska Politechniki Lubelskiej porównuje pozycję polskiej nauki z nakładami na badania i siłą polskiej gospodarki.

Uzasadniając ciągłe zmiany w nauce polskiej, zwane reformami, decydenci odwołują się do rzekomo słabej pozycji nauki polskiej w świecie. Takiej opinii nie potwierdzają dane opublikowane w międzynarodowej bazie Scimago, gdzie przedstawiono ranking badań naukowych w 239 krajach. Korzystając z tej bazy, sporządzono tabelę, w których przedstawiono miejsce Polski w świecie i wśród krajów Europy Wschodniej w zakresie intensywności działalności naukowej, mierzonej liczbą opublikowanych prac w latach 1996–2018. Natomiast ocenę jakości prowadzonych badań przeprowadzono na podstawie liczby cytowań prac opublikowanych przez polskich naukowców w tym czasie.

Niespodziewanie dobrze

W **tabeli 1** przedstawiono dane dla wszystkich dyscyplin łącznie, z których wynika, że pod względem liczby opublikowanych prac naukowych, polscy badacze zajmowali w poszczególnych latach na świecie miejsca od 16 do 19, a w Europie Wschodniej miejsce drugie (za Rosją). Natomiast pod względem cytowań Polscy naukowcy zajmowali na świecie miejsca od 21 do 25, a w Europie Wschodniej drugie.

W **tabeli 2 i 3** przedstawiono wyniki dla matematyki i chemii. Pod względem liczby opublikowanych prac polscy naukowcy pracujący w tych dyscyplinach zajmują na świecie miejsca od 12 do 15, a wśród krajów Europy Wschodniej miejsce drugie. Natomiast pod względem cytowań od 17 do 22 miejsca na świecie i pierwsze lub drugie miejsce w Europie Wschodniej.

Z nauk humanistycznych najlepszą pozycję zajmują polscy filozofowie (**tabela 4**), tj. od 12 do 15 miejsca na świecie i 2 miejsce wśród krajów Europy Wschodniej w zakresie liczby opublikowanych prac oraz miejsca od 16 do 24 w świecie i pierwsze lub drugie w zakresie liczby cytowań w Europie Wschodniej.

Niespodziewanie dobrze wypadają nauki humanistyczne i artystyczne (**tabela 5**). Polacy pracujący w tej dziedzinie zajmują od 14 do 22 miejsca na świecie i drugie miejsce w Europie Wschodniej pod względem liczby opublikowanych prac oraz od 23 do 33 miejsca na świecie i pierwsze lub drugie w Europie Wschodniej ze względu na cytowania.

Podobnie przedstawiciele nauk inżynierskich (**tabela 6**) zajmują 16 do 17 miejsca na świecie i drugie w Europie Wschodniej pod względem liczby opublikowanych prac oraz od 22 do 25 w świecie i dru-

gie w Europie Wschodniej pod względem liczby cytowań. Cechą charakterystyczną nauk inżynierskich jest mała zmienność parametrów w czasie.

Również dobrze pozycjonuje się bliska autorowi inżynieria środowiska (**tabela 7**). Polacy zajmują w tej dyscyplinie od 17 do 22 miejsca na świecie i pierwsze miejsce w Europie Wschodniej (za wyjątkiem roku 1996) pod względem liczby opublikowanych prac oraz od 20 do 27 miejsca na świecie i pierwsze w Europie Wschodniej biorąc pod uwagę liczbę cytowań.

Dość dobrze wypada również medycyna (**tabela 8**). Polscy medycy zajmują od 17 do 23 miejsca na świecie i pierwsze (za wyjątkiem lat 1996 i 2018) w Europie Wschodniej biorąc pod uwagę liczbę opublikowanych prac oraz od 20 do 26 miejsca w świecie i pierwsze w Europie Wschodniej pod względem liczby cytowań.

Nauka przed gospodarką

Z przedstawionych danych wynika, że polska nauka zajmuje całkiem przyzwoitą pozycję w świecie, tak pod względem aktywności naukowej mierzonej liczbą opublikowanych prac, jak i jakości prowadzonych badań naukowych mierzonej liczbą cytowań, a już wręcz bardzo dobrze wypada na tle krajów Europy Wschodniej. Ten wynik wygląda jeszcze lepiej, jeśli odniesiemy dane o publikacjach i cytowaniach do nakładów na naukę, które w 2017 roku wyniosły 1,04% PKB, co lokowało Polskę na 35 pozycji na świecie. Do czołówek inwestujących w naukę należą Izrael (4,58% PKB), Korea Płd. (4,55%), Szwajcaria (3,37%), Szwecja (3,31%) i Japonia (3,20%). Z Europy Wschodniej najlepiej wypadają Słowenia (1,85%), Czechy (1,79%) i Węgry (1,35%). Rosja przeznaczą na badania 1,11% PKB. Mniej od Polski na badania przeznaczają Serbia (0,93%), Litwa (0,89%), Słowacja (0,88%), Chorwacja (0,87%), Bułgaria (0,77%), Białoruś (0,59%), Rumunia (0,50%), Ukraina (0,45%) i Albania (0,15%).

Warto też zwrócić uwagę na pozycję naszej gospodarki. Według Międzynarodowego Funduszu Walutowego Polska zajmuje 22 miejsce na świecie pod względem wielkości nominalnej PKB i 23 pod względem wielkości PKP mierzonego parytetem siły nabywczej. W przypadku PKB na jednego mieszkańca zajmujemy miejsce 56 nominalnie i 45 pod względem parytetu siły nabywczej. Pozycja polskiej nauki zatem wyprzedza gospodarkę bądź o kilka punktów procentowych (PKB całkowite), bądź nawet o kilkadziesiąt punktów procentowych (PKB na mieszkańca).



Zdjęcie: Z. Dobros

Tabela 1. Charakterystyka działalności naukowej we wszystkich dyscyplinach łącznie

Okres	Miejsce w świecie pod względem:		Miejsce w Europie Wschodniej pod względem:	
	Liczby publikacji	Liczby cytowań	Liczby publikacji	Liczby cytowań
1996	16	24	2 (po Rosji)	2 (po Rosji)
2006	18	25	2	2
2016	18	21	2	2
2018	17	21	2	2

Tabela 2. Charakterystyka działalności naukowej w dyscyplinie matematyka.

Okres	Miejsce w świecie pod względem:		Miejsce w Europie Wschodniej pod względem:	
	Liczby publikacji	Liczby cytowań	Liczby publikacji	Liczby cytowań
1996	13	19	2	2
2006	14	22	2	2
2016	14	17	2	2
2018	16	20	2	2

Tabela 3. Charakterystyka działalności naukowej w dyscyplinie chemia.

Okres	Miejsce w świecie pod względem:		Miejsce w Europie Wschodniej pod względem:	
	Liczby publikacji	Liczby cytowań	Liczby publikacji	Liczby cytowań
1996	12	18	2	2
2006	13	17	2	1
2016	15	20	2	2
2018	14	18	2	2

Tabela 4. Charakterystyka działalności naukowej w dyscyplinie filozofia.

Okres	Miejsce w świecie pod względem:		Miejsce w Europie Wschodniej pod względem:	
	Liczby publikacji	Liczby cytowań	Liczby publikacji	Liczby cytowań
1996	14	16	1	1
2006	24	24	2	1
2016	12	20	2	2
2018	12	22	3	2

Tabela 5. Charakterystyka działalności naukowej w naukach humanistycznych i artystycznych.

Okres	Miejsce w świecie pod względem:		Miejsce w Europie Wschodniej pod względem:	
	Liczby publikacji	Liczby cytowań	Liczby publikacji	Liczby cytowań
1996	22	29	1	2
2006	33	33	4	2
2016	15	24	2	2
2018	14	23	2	2

Tabela 6. Charakterystyka działalności naukowej w naukach inżynierskich.

Okres	Miejsce w świecie pod względem:		Miejsce w Europie Wschodniej pod względem:	
	Liczby publikacji	Liczby cytowań	Liczby publikacji	Liczby cytowań
1996	16	25	2	2
2006	17	25	2	2
2016	17	25	2	2
2018	16	22	2	2

Tabela 7. Charakterystyka działalności naukowej w inżynierii środowiska

Okres	Miejsce w świecie pod względem:		Miejsce w Europie Wschodniej pod względem:	
	Liczby publikacji	Liczby cytowań	Liczby publikacji	Liczby cytowań
1996	22	20	2	1
2006	18	27	1	1
2016	17	23	1	1
2018	18	22	1	1

Tabela 8. Charakterystyka działalności naukowej w medycynie.

Okres	Miejsce w świecie pod względem:		Miejsce w Europie Wschodniej pod względem:	
	Liczby publikacji	Liczby cytowań	Liczby publikacji	Liczby cytowań
1996	23	25	2	1
2006	17	26	1	1
2016	20	21	1	1
2018	21	20	2	1
1996-2018	19	25	1	1

Przesiedliśmy się do ekspresu

Dr **Agata Karska**, pełnomocnik rektora ds. wdrażania strategii uczelni badawczej na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu

Plan UMK jest oparty na czterech filarach: interdyscyplinarności, internacjonalizacji, integralności oraz innowacjach (**4xl@NCU**). Bazuje na analizach stanu obecnego i bierze pod uwagę specyficzny kontekst lokalny.

Jako uczelnia położona w regionie o niskim uprzemysłowieniu, z centralą w stosunkowo niewielkim mieście, jakim jest Toruń, UMK musi wykonywać dodatkowy wysiłek, aby pozyskiwać najlepszych kandydatów na studentów i pracowników. Jednocześnie rozwój uniwersytetu i zwiększenie jego współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym znacząco wpływają na wzrost **innowacyjności** regionu i wzmacniają regionalny rynek pracy. Już teraz na UMK działa 29 spółek spin-off – najwięcej spośród wszystkich uniwersytetów. Pokazuje to potencjał UMK w tym obszarze, co zamierzamy wykorzystać jako społecznie odpowiedzialna uczelnia badawcza.

Równie istotna jest dla nas **integralność**, rozumiana zarówno jako kontynuowanie integracji kampusu bydgoskiego i toruńskiego, ale także jako próba wykorzystania talentów całej wspólnoty akademickiej – pracowników naukowych, administracyjnych, studentów, doktorantów i interesariuszy zewnętrznych – do dobrej, trwałej zmiany w kulturze organizacyjnej UMK.

Magnesami przyciągającymi do nas najlepszych kandydatów i pracowników będą centra doskonałości, nowe jednostki uruchomione na UMK 1 stycznia 2020 r. wokół priorytetowych obszarów badawczych. Ich cechą wspólną jest wykorzystanie istniejącego potencjału naukowego, umiędzynarodowienie, a także **interdyscyplinarność**, która jest mocną stroną wielu grup badawczych na naszej uczelni.

Priorytetowe obszary badawcze zostały zidentyfikowane w wyniku ogólnouczelnianego konkursu na priorytetowe zespoły uczelni, który zorganizowaliśmy zimą 2019 roku w ramach projektu „Strategia Doskonałości – Uczelnia Badawcza”. Ocenę merytoryczną wniosków zlecieliśmy ekspertom zewnętrznym, reprezentującym różne dziedziny wiedzy i mającym duże doświadczenie w zarządzaniu instytucjami szkolnictwa wyższego. Priorytetowymi obszarami na UMK są:

1. Astrofizyka i astrochemia – w kierunku zrozumienia naszego kosmicznego pochodzenia poprzez badanie w jaki sposób z atomów i molekuł utworzyły się planety, gwiazdy i galaktyki (dyr. centrum doskonałości – dr Agata Karska);

2. Dynamika, analiza matematyczna i sztuczna inteligencja – metody dynamiczne w matematyce, informatyce i układach kwantowych wraz z badaniami nad sztuczną inteligencją (dyr. prof. Mariusz Lemańczyk);

3. Interakcje – umysł, społeczeństwo, środowisko – przekraczanie granic tradycyjnie pojętej humanistyki i nauk społecznych w kierunku badań pionierskich, analiz big data, ilościowych i eksperymentalnych badań skupionych na nomotetycznym (tj. dążącym do formułowania prawidłowości i praw) wyjaśnieniu procesów kulturowych (dyr. dr Adam Kola);

4. Od optyki fundamentalnej do zastosowań biofotonicznych – zastosowanie technologii optycznych dla zrozumienia Natury,

od atomów poprzez cząsteczki i białka, aż do komórek i narządów (dyr. prof. Sebastian Maćkowski);

5. W kierunku medycyny spersonalizowanej – badania trans-lacyjne w poszukiwaniu nowych technik analitycznych, podłoża molekularnego chorób, wiarygodnych i użytecznych w codziennej praktyce klinicznej biomarkerów oraz odkrywanie nowych strategii terapeutycznych – od leków po medycynę regeneracyjną (dyr. dr hab. Daniel Gackowski, prof. UMK).



Bez wątpienia największym wyzwaniem dla wszystkich uczelni w Polsce jest „zwiększenie międzynarodowego znaczenia działalności uczelni” – to nadrzędny cel konkursu IDUB, sprecyzowany w Ustawie 2.0. W strategicznym planie rozwoju UMK umiędzynarodowienie pojawia się w każdym z głównych celów szczegółowych i obejmuje m.in.: utworzenie międzynarodowych rad naukowych przy centrach doskonałości, szkołach doktorskich i dla całej uczelni; rozwijanie międzynarodowych partnerstw akademickich w obszarze badań (wspólne publikacje, granty zagraniczne, w tym unijne oraz kształcenie, szczególnie w ramach sieci YUFE – „Young Universities for the Future of Europe”; wspieranie mobilności studentów, doktorantów i pracowników uczelni poprzez

dedykowane programy finansujące wyjazdy i przyjazdy oraz zwiększone wsparcie administracyjne (uczelnia przyjazna cudzoziemcom).

Wdrażanie strategii uczelni badawczej przebiega w sposób harmonijny, co zawdzięczamy szerokiemu poparciu naszej społeczności dla idei UMK jako uczelni badawczej. Już w grudniu uruchomiliśmy pierwsze, skierowane do pracowników naukowych, konkursy na indywidualne granty badawcze (konkurs „ID – Debiuty”) oraz na tworzenie dużych, interdyscyplinarnych grup badawczych, które w przyszłości mogą starać się o status obszarów priorytetowych (konkurs na wyłaniające się pola badawcze – emerging fields). W styczniu ogłosiliśmy cztery konkursy o mobilności dla profesorów oraz stażystów po doktoracie, a także uruchamiamy ofertę dla studentów i kół naukowych: konkursy na mini-granty, wyjazdy zagraniczne związane z badaniami oraz stażowe programy wakacyjne („Toruń Summer Student Program”). Jesteśmy przekonani, że transparentny proces oceny oraz oferta rozwoju kierowana do członków naszej społeczności naukowej – bez względu na reprezentowaną dyscyplinę – będzie kluczowa dla sukcesu programu i szybkiego rozwoju uczelni w kolejnych latach.

Zgodnie z założeniami programu IDUB największe wsparcie na UMK otrzymają obszary priorytetowe – „lokomotywy” naszego rozwoju naukowego, które mają wzmocnić międzynarodową rozpoznawalność uczelni. Znaczne wsparcie otrzyma również dwanaście nowych, wyłaniających się pól badawczych oraz pozostałe obszary badań. Rektor UMK, prof. Andrzej Tretyn powiedział: „Uzyskując status uczelni badawczej, przesiedliśmy się z pociągu osobowego do ekspresu”. W tym ekspresie jest miejsce dla wszystkich. Może do niego wsiąść każdy student, doktorant i pracownik reprezentujący dowolny obszar badań.

Stawiamy na dobrą robotę

Prof. dr hab. **Elżbieta Żądzińska**, prorektor do spraw nauki Uniwersytetu Łódzkiego

Fundamentem rozwoju Uniwersytetu Łódzkiego od początku jego istnienia były wartości humanistyczne i wielokulturowość. Po dziś dzień stanowią one podstawę dla dalszego rozwoju uczelni.

Zaproponowane przez nas trzy interdyscyplinarne priorytetowe obszary badawcze (POB) koncentrują się wokół najważniejszych problemów, z jakimi człowiek mierzy się w obecnych czasach. To m.in. bezdomność i wykluczenie, ubóstwo, choroby cywilizacyjne i zakaźne człowieka, w tym choroby nowotworowe. Nie zapominamy jednak o naszej sferze duchowej – o lękach, problemach i wyzwaniach, z którymi musimy się na co dzień mierzyć.

POB-y oparliśmy na zaproponowanych w UŁ rozwiązaniach, nad którymi nasi naukowcy pracują od dłuższego czasu. Wśród nich są wielkie bazy DNA Polaków, pomagające nam skuteczniej zapobiegać chorobom cywilizacyjnym. Nasi badacze opracowują również wnioski sprzyjające zintegrowanej rewitalizacji miast, przygotowują wdrożenia nowych metod degradacji odpadów farmaceutycznych, prowadzą badania nad wysokoenergetycznym promieniowaniem w kosmosie, udoskonalają detekcję zagrożeń z wykorzystaniem nowoczesnych biosensorów patogenów oraz związków chemicznych zagrażających życiu. Jesteśmy w wielu miejscach na świecie, gdzie odkrywamy oraz chronimy nowe gatunki roślin i zwierząt.

Ułatwiamy również dostęp do wody w rejonach, w których takie udogodnienie nie jest wcale oczywistością. Interesuje nas również to, jak się komunikujemy i co myślimy – badamy więc, jak powstaje język nienawiści, jak wygląda dziedzictwo kulturowe i religijne Polski i świata, analizujemy materiał genetyczny ludzi żyjących współcześnie i przed tysiącami lat.

Oprócz zagadnień badawczych przedstawiliśmy plany dalszego umiędzynarodowienia Uniwersytetu Łódzkiego, m.in. poprzez zacieśnienie istniejących partnerstw, ale także przez nawiązywanie nowych kontaktów z wiodącymi światowymi uczelniami.

Zaproponowaliśmy szczegółowe plany rozwoju kadry naukowej, dydaktycznej oraz administracyjnej. Zwróciliśmy uwagę zwłaszcza na rozwój młodych naukowców, także na włączanie studentów i doktorantów w prace badawcze.

Pozostajemy największą łódzką uczelnią i jednym z największych polskich uniwersytetów klasycznych. Z naszej oferty korzysta bez mała 30 tys. studentów, w tym już ponad 3 tys. z zagranicy. Na dwunastu wydziałach Uniwersytetu Łódzkiego kształcić się można w ponad dwudziestu dyscyplinach naukowych, a stopień doktora zdobywać w jednej z czterech Szkół Doktorskich, w tym w Szkole Doktorskiej BioMedChem, zorganizowanej wspólnie z dwiema jednostkami Polskiej Akademii Nauk: Instytutem Biologii Medycznej oraz Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych. Inwestujemy w badania interdyscyplinarne, w których uczestniczą zarówno doświadczeni pracownicy nauki, jak i osoby, które dopiero zaczynają przygodę



Priorytetowe obszary badawcze UŁ:

Ziemia Obiecana 2.0. (Mikro)Społeczności wobec wyzwań cywilizacyjnych w dobie globalizacji. Zrównoważony rozwój. Kapitał społeczny i generacyjny. Inkluzja. Tożsamość. Więzy. Rewitalizacja.

Nauki eksperymentalne w służbie bezpiecznych i zdrowych społeczeństw.

Centra różnorodności genetycznej i kulturowej. Od dziedzictw bliskich do odległych. Potencjał nieodkryty.

z profesjonalną nauką.

Parafrazując słowa pierwszego rektora uczelni, prof. Tadeusza Kotarbińskiego, Uniwersytet Łódzki zawsze stawiał i będzie stawiał nadal na to, co najistotniejsze w nauce – na dobrą robotę.

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2020 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2020 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje w tym roku 230 zł;
prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 166 za cały rok i 86 zł za pół roku.

Cena jednego egzemplarza to 20 zł, a numeru wakacyjnego 30 zł.

Redakcja



Rozmowa z prof. **Stanisławem Kistrynem**, prorektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego ds. nauki, przewodniczącym Uniwersyteckiej Komisji Nauki

Najpierw prestiż, potem miliony

Program jest nastawiony bardziej na edukację niż na badania naukowe. Nie zapominamy o nich, ale nie są obecnie na pierwszym planie. Finansowanie ma być przeznaczone ewentualnie na powiązanie badań naukowych z edukacją.

Uniwersytet Jagielloński został członkiem konsorcjum, tzw. uniwersytetu europejskiego. Całe konsorcjum dostaje 5 milionów euro, a do UJ trafi jedynie drobna część tej kwoty przy najpewniej znacznie wyższym wkładzie własnym.

Niedawno uczestniczyłem w spotkaniu The Guild of European Research-Intensive Universities. Pierwsze pytanie w panelu dotyczyło tego, jaka jest wartość dodana dla UJ z udziału w związku – bo to związek, a nie konsorcjum – uniwersytetów, który ma status uniwersytetu europejskiego czy też załączka uniwersytetu europejskiego. Projekt związku to na razie znacząca część działalności grupy uniwersytetów, już ośmiu, a nie sześciu, jak było na początku. Jeśli podzielimy pięć milionów euro przez osiem uczelni i przez lata projektu, to faktycznie wychodzi niewielka kwota, nawet jak na budżet UJ. Na dodatek nie podzielimy tych środków po równo, ale w zależności od udziału każdego uniwersytetu w poszczególnych zadaniach. Poza tym, to na pewno nie są wszystkie środki, które ten związek uczelni zdecydował się przeznaczyć na swoje działania. Na pewno nie odpowiem dziś, ile UJ włoży w ten projekt, gdyż jeszcze nie wiemy, w jakie działania i w jakim stopniu będziemy zaangażowani. Może za rok-dwa taka odpowiedź będzie łatwiejsza. Mogę tylko przypuszczać, że będzie to z pięć razy więcej niż dostajemy z Komisji Europejskiej.

Czy Ministerstwo Nauki dołoży się do tego przedsięwzięcia?

Na razie ministerstwo zdecydowało, że pokryje wkład własny polskich uczelni, wpisowe, roczną składkę do tego projektu, czyli ok. 75 tys. euro.

Co nowego będzie robił taki uniwersytet europejski?

W gruncie rzeczy to, co robimy teraz na UJ. Natomiast będzie to miało zupełnie inny wymiar. Prowadzimy wymiany studenckie. Powiedzmy, że chcemy nadawać dyplomy czy doktoraty wspólnie z jakimś uniwersytetem zagranicznym. Teraz dzieje się to z dość dużym trudem, trzeba do każdego doktoratu zawierać osobną umowę i nie jest ona prosta prawnie. Mamy nadzieję, że międzynarodowy charakter tego zrzesze-

nia i wsparcie komisji ułatwią takie przedsięwzięcia. To jest kwestia impulsu, zagrania na ambicjach, że uniwersytety chcą dzięki temu „kopniakowi” zrobić więcej niż obecnie robią. To był ruch inicjujący, kierujący energią w dobrych uniwersytetach w stronę bardziej zaawansowanej współpracy międzynarodowej. Pierwsza rzecz ważna to prestiż, a nie pięć milionów. Te konsorcja mają specjalny status. Nie jest ważne, żeby Komisja Europejska dodała kolejne 2 miliony do tych pięciu – bo mówi się o zwiększeniu finansowania tych związków – bo to nadal nie są środki, które wiele zmienią w uniwersytetach. Ważne jest, że KE demonstruje w ten sposób wsparcie dla projektu i naszych działań ponadnarodowych.

Co będziecie razem robić?

Zdefiniowaliśmy cztery obszary tematyczne. Jednym z nich jest dziedzictwo kulturowe, kolejne to: zrównoważony rozwój, studia europejskie oraz nauka o danych, czyli *big data*, i sztuczna inteligencja. Planujemy dołożyć do tego piąty obszar – problematykę zdrowia. W ich ramach mamy wypracować innowacyjne narzędzia służące nowoczesnemu kształceniu i mobilności. Ambitnym celem jest, aby w roku 2025 co najmniej połowa studentów była objęta mobilnością międzynarodową. Chcę też podkreślić, że projekt uniwersytetów europejskich ma służyć głównie zmianie jakości kształcenia.

Czyli w 2025 r. 20 tysięcy studentów UJ wyjedzie na studia za granicę?

Tak, ale nie chodzi o zastąpienie Erasmusa czy jego uzupełnienie, lecz o wspólne programy kształcenia, a przynajmniej ich fragmenty, które studenci będą mogli odbyć poza swoim uniwersytetem, w jednym ze stowarzyszonych uniwersytetów zagranicznych. W grupach angażujących przynajmniej po cztery stowarzyszone uniwersytety chcemy stworzyć wspólne programy studiów, aby studenci przynajmniej przez semestr kształcili się w zagranicznym uniwersytecie. Najpierw musimy znaleźć kierunki studiów, które możemy uwspólnić. Nie mówię, że wszystkie programy studiów zostaną w tym pilotażowym

programie uwzględnione. Równolegle ze studentami mają podróżować – i wykładać za granicą – nasi pracownicy. Program jest nastawiony bardziej na edukację niż na badania naukowe. Nie zapominamy o nich, ale nie są obecnie na pierwszym planie. Finansowanie ma być przeznaczone ewentualnie na powiązanie badań naukowych z edukacją. To się pewnie – i na szczęście – pomiesza z naszą inicjatywą doskonałości. W każdym obszarze będzie komitet sterujący, który oceni wpływające pomysły i zadecyduje o ich wdrożeniu. Na razie mamy pudełko, które musimy wypełnić treścią.

Perspektywa jest jednak bardzo krótka. Rok 2025 blisko.

Będziemy się starać zrealizować pewne działania w tym okresie. Wiemy, że to nie będzie łatwe. Mamy pilotaż.

Co to znaczy?

Na pewno nie powstanie w tej chwili instytucja pod nazwą uniwersytet europejski. To będzie inny rodzaj związku, na pewno nie sieć. Wymyślono na ten typ współpracy właśnie nazwę Alliance, czyli związek, zrzeszenie. Mamy stworzyć głębokie, stabilne więzi. Jeśli taka współpraca się sprawdzi, program będzie kontynuowany. Jest na przykład kwestia dyplomu europejskiego. Takie związki mają być podstawą przyszłego kształcenia wyższego w Europie.

To brzmi trochę fantastycznie...

Tak, także z mojego punktu widzenia. Czasu jest mało. Musimy jednak się starać. W momencie gdy zawiązaliśmy zrzeszenie, gdy dostaliśmy grant, np. w Bolonii studenci zaczęli rektora pytać, kiedy będą się mogli zarejestrować na takie wielouniwersyteckie studia. Młodzi są gotowi, żeby brać udział w takich wymianach. Do nas, do władz uczelni, wydziałów, należy przygotowanie odpowiednich programów. Dopiero startujemy. Projekt uniwersytetu europejskiego rozpoczął się 1 grudnia 2019 roku. Musimy się teraz zastanowić, jaki będzie najlepszy system wymiany informacji o osiągnięciach studentów. Przecież oni powinni móc zdawać egzamin w każdym z uniwersytetów. Program musi być odpowiedni także dla tych, którzy nie wezmą udziału w wymianie, bo przecież oni też będą go realizować. Wzajemnie się dopingujemy. Nikt nie chce powiedzieć, że jest gorszy czy ma gorsze pomysły.

Czy nie obawia się pan, że koniec końców włożycie w ten program więcej niż z niego wyciągniecie?

A co mamy z tego, że ministerstwo co roku „daje” UJ 780 mln złotych? Czy realizując swoje zadania i usprawniając ich realizację, zmieniając trochę nasze praktyki w kierunku większego umiędzynarodowienia, tracimy jako społeczeństwo? Na pewno nie. Gdy wchodziły KRK, wpisaliśmy



Prof. dr hab. **Stanisław Kistryn** (ur. w 1960 r.) jest fizykiem. Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1984 r., był przez pięć lat asystentem na ETH w Zurychu. Od 1990 r. pracuje na UJ. Pełnił m.in. funkcje pełnomocnika dziekana ds. Międzywydziałowych Studiów Matematyczno-Przyrodniczych UJ oraz zastępcy dyrektora Instytutu Fizyki UJ ds. Naukowo-Badawczych. Od 2012 r. jest prorektorem UJ ds. badań naukowych i funduszy strukturalnych. W kadencji 2016-20 przewodniczył Uniwersyteckiej Komisji Nauki. Jest członkiem zarządów międzynarodowych organizacji uniwersyteckich, do których należy UJ, m.in. The Guild. Należał do grona twórców nowoczesnej ewaluacji nauki w Polsce.

Prowadzi badania dynamiki oddziaływania w układach kilkunukleonowych w precyzyjnych eksperymentach z wykorzystaniem spolaryzowanych wiązek i tarcz; testowanie fundamentalnych symetrii oddziaływań elementarnych; badanie mechanizmów reakcji jądrowych; zastosowania metod i technik fizyki jądrowej w różnych dziedzinach badań (archeologia, medycyna, biologia, geologia); układy modularnej elektroniki pomiarowej oraz logiki programowalnej we współczesnych eksperymentach fizyki jądrowej. Jest współautorem 112 prac w czasopiśmie z tzw. listy filadelfijskiej; współautorem ponad 150 komunikatów w materiałach konferencyjnych oraz ponad 220 przyczynków w raportach rocznych różnych instytucji. Przedstawił ponad 50 referatów zaproszonych na międzynarodowych konferencjach fizyki jądrowej. Współrealizator 17 projektów badawczych krajowych i międzynarodowych. Koordynator międzynarodowej grupy eksperymentalnej fizyki kilku nukleonów, obejmującej badaczy z Polski (4 ośrodki), Holandii, Niemiec, Włoch, Portugalii, Japonii, Indii, USA.

stare dane w nowe ramki, zrobiliśmy tak, żeby w gruncie rzeczy niczego nie zmienić. A przecież mogliśmy przemyśleć program uczelni i zmienić go. Niestety, funkcjonowało wtedy pensum, które blokowało innowacyjność edukacyjną – bo przecież

musimy zapewnić zajęcia naszym kolegom. Nie chcemy w tym programie popełnić tego błędu.

I to jest dobrze, że nie ma pensum?

To jest świetna rzecz, o ile zechcemy i potrafimy ją wykonać. Przecież, mimo zniesienia pensum, można je faktycznie zachować. To zależy, czy zechcemy być elastyczni, czy nie. Wracając do poprzedniego pytania: czy za dużo włożymy w stosunku do efektów? Nie wiem, czy mamy liczyć na osiągnięcia materialne. Raczej liczymy na niematerialne, intelektualne korzyści. Może także kulturowe.

Na przyjazd dziesięciu tysięcy studentów zagranicznych na UJ?

Zacniemy może od stu, po stu w czterech różnych obszarach. Gdyby to się udało zrobić w przyszłym roku akademickim, byłoby dobrze.

Już teraz są problemy z wyjazdami zagranicznymi studentów.

Jest pytanie, po co są te wyjazdy? Nie chodzi nam o podstawy historii sztuki, ale raczej o pewne szczegóły, o inną kulturę akademicką, inne sposoby zdobywania i egzekwowania wiedzy.

Jednak wciąż te 50% studentów UJ za granicą i, jak rozumiem, tyłuż obcokrajowców na UJ, brzmi fantastycznie.

Na pewno nie będzie to łatwe. Połowa studentów UJ nie wyjedzie nagle za granicę, a do Krakowa nie przyjedzie 20 tysięcy obcokrajowców. To się będzie dokonywało stopniowo. Co więcej, nasze, a przynajmniej Komisji Europejskiej, ambicje są takie, żeby międzynarodowa mobilność dotyczyła w dalszej przyszłości wszystkich studentów. To nie tylko pilotażowy program uniwersytetów europejskich, ale i pilotaż nowego sposobu kształcenia w Europie w znacznie dłuższej perspektywie czasowej. To jest nowość, którą mamy wygenerować, zachęcić do niej zarówno studentów, jak i nauczycieli akademickich. Pani komisarz Gabriel zapytała mnie niedawno, jakie widzę największe wyzwanie tego projektu w najbliższym czasie. Największym wyzwaniem jest zaangażowanie w projekt jak największej części kadry i studentów. Podobnie komisja konkursowa w programie uczelni badawczych pytała o wyzwania projektu uniwersytetu badawczego. Odpowiedziałem, że to, aby 75% nauczycieli akademickich podchodziło z entuzjazmem do swoich zajęć. Pilotaż jest za krótki. KE też zdaje sobie z tego sprawę. W ciągu trzech lat zdołamy sprawdzić tylko pojedyncze narzędzia. Mówi się, że w 2021 r. będzie prawdziwy konkurs na uniwersytety europejskie. Uważam, że ten drugi konkurs w tak krótkim czasie po pierwszym, pilotażowym, nie ma sensu, bo na razie jeszcze niczego się nie nauczyliśmy i do 2021 roku się nie nauczymy. Poczekajmy przynajmniej do roku 2022, do skończenia pilotaży, aby czegoś się nauczyć, dowiedzieć i wykorzystać tę wiedzę w organizacji drugiego konkursu. Stoi przed nami pewne wyzwanie. Znamy już jako tako metody oceny działalności naukowej, ale nie wiemy, jak oceniać jakość dydaktyki. Na osiem stron formularza oceny pracy nauczyciela akademickiego w UJ dwie strony to formalności, jedna poświęcona jest dydaktyce i aż pięć nauce. Nacisk na badania to nie tylko polska specjalność. Dopóki nie dopracujemy się systemu ewaluacji działalności dydaktycznej, analogicznego do oceny nauki, ewaluacji, która będzie przeprowadzona jednocześnie we wszystkich jednostkach, to waga tego obszaru będzie zależała od dobrej woli władz poszczególnych uczelni. Także w algorytmie nie ma żadnego elementu oceny dydaktyki.

Bo nie próbowaliśmy się z tym zmierzyć?

Minister nie powinien mieć żadnego problemu z tym, żeby zlecić jakiemuś zespołowi zadanie wypracowania kryteriów

oceny działalności dydaktycznej. Może się okazać, że nie potrafimy tego zrobić, ale dopóki nie spróbujemy – nie wiemy. Opracowanie kryteriów oceny dydaktyki to jedno z ważnych, pilnych zadań środowiska i państwa.

Czy UJ jest już uniwersytetem badawczym?

Chyba raczej chce być. A może inaczej: jest w niektórych obszarach, jak fizyka, biotechnologia, archeologia, część medycyny, nauki kognitywne. Trzeba próbować osiągnąć przyzwoity poziom wyników badań naukowych w każdej dyscyplinie.

Chodzi o 20% publikacji w TOP 10 czy TOP 1?

Nawet w TOP 10 byliby znakomicie. Bez wątplenia na skalę polską jesteśmy uniwersytetem badawczym. Pojawiły się wreszcie granty europejskie i to w naukach humanistycznych i społecznych. Będą następne. Fakt, że zagraniczne uczelnie zapraszają nas do wspólnych przedsięwzięć międzynarodowych, świadczy o tym, że jesteśmy nie tylko zauważani, ale i cenieni. Z pewnością udało się nam zwiększenie sformalizowanej współpracy międzynarodowej. Byliśmy w Grupie Coimbra i Utrecht Network. Zaproszono nas do tworzenia The Guild of European Research-Intensive Universities. Czy możemy się przymierzyć do LERU? Jeszcze nie, ale może wkrótce. Wybrano mnie nawet do zarządu The Guild. I mam wrażenie, że nie tyle chodziło o politykę geograficznego zrównoważenia, co o nasze zaangażowanie w tworzenie organizacji i pomysły, jak ma działać. Gdy zaczęło się mówić o uniwersytetach europejskich, to uczelnie zachodnie zwróciły się do nas z propozycją, byśmy do nich dołączyli. Mam w zarządzie związku funkcję skarbnika – to zapewne jest konsekwencją tego, że wcześniej byłem nim w Guildzie. Wskutek tego, że w zrzeczeniu jesteśmy wraz z KU Leuven, ten uniwersytet zaproponował nam, abyśmy dołączyli do CELSA (Central Europe Leuven Strategic Alliance). KU Leuven jako bogaty uniwersytet założył partnerstwo z uniwersytetami w Polsce, Czechach, Estonii i na Węgrzech – robimy wspólne projekty do przygotowania wniosków o granty europejskie. Z kolei Uniwersytet w Lublanie, który świętuje stulecie, zaproponował nam współpracę w innym charakterze. Zapraszamy wspólnie do konstruowania partnerstw uniwersytety zrzeszone w Forum Uniwersytetów Bałkańskich. Zatem ta forma współpracy przechodzi dalej na wschód, a my pełniemy w niej inną rolę niż w partnerstwie z Leuven. To jest rodzaj realizacji idei sharing excellence – wciągania do współpracy coraz większej liczby uniwersytetów z Europy.

Co będzie z pozycją UJ w rankingu szanghajskim, gdy prof. Dudek wypadł z grupy HCR?

Spadniemy o sto miejsc. Ten ranking trzeba rozumieć. Waldemar Siwiński wystąpił z inicjatywą poprawy widoczności naszych uczelni badawczych. Wciąż nie jestem przekonany, że wszystkie dane, które przekazujemy czy też są zasysane z różnych miejsc do rankingów, są właściwe. Natomiast ten ranking, niezależnie od metodologii i mojej oceny, przyjął się, jest miarą międzynarodowego prestiżu.

Jest fetyszyzowany?

Trochę, ale ja też chciałbym go ufetyszyzować. Jest on dla pewnych obszarów świata miarodajną informacją na temat wyboru celu przyjazdu, współpracy akademickiej.

Warto w niego inwestować?

Przy całych zastrzeżeniach – warto. Jednak nie jest to cel, ale to powinno się zdarzać, być wynikiem pewnych działań. Można go też traktować jako drogowskaz, co należy robić, aby poprawić międzynarodową pozycję uniwersytetu. Tu jest podobnie

jak z habilitacją, która powinna być wynikiem pracy naukowej, a nie jakimś dodatkowym obciążeniem. Na wydziałach medycznych posługują się z lubością sumarycznym IF. A ja bym chciał wiedzieć, jaka jest suma czterech najlepszych publikacji. Jeśli sumaryczny IF wynosi 100, a suma tych najlepszych publikacji 5, to znaczy, że ktoś naprodukował dużo słabych prac.

UJ odniósł pewien spektakularny sukces: jako jedyna duża uczelnia uzyskaliście w ostatniej kategoryzacji same A i A+.

We wcześniejszej kategoryzacji mieliśmy dwa wydziały kategorii B i wierzyliśmy głęboko, że jeden uda się wyprowadzić do kategorii A w przyszłości. Co do drugiego mieliśmy wątpliwości. A jednak dziekan i pracownicy się zmobilizowali. Starali się, żeby nie było osób bez dorobku, tzw. N0. Udało się. Jeszcze mój poprzednik wprowadził coroczne ankiety sprawozdawcze z działalności naukowej. Teraz będą one w dyscyplinach, a nie na wydziałach. Zwykle taki przegląd działalności badawczej pokazuje, ile osób jest bardzo wysoko (zwykle bardzo mało), ile w środku (najwięcej), a kto został z tyłu. O tych ostatnich mówi się, że 20 albo 30% nic nie robi. To oczywiście przesada, że 30% i że nic, ale jednak zawsze są słabsi. Niezbyt duża liczba nie najlepszych publikacji wciąż dotyczy ok. 20% pracowników. Takich co nic nie mają, nie ma nawet 10%. Jeśli chcemy być uniwersytetem badawczym, to każdy pracownik, do którego obowiązków należy prowadzenie badań naukowych, powinien opublikować rocznie przynajmniej jedną przyzwoitą pracę. Musimy się też wyleczyć z takiego spojrzenia, że słaby badacz to dydaktyk. Dydaktyka jest ważna. Jeśli ktoś potrafi bardzo dobrze uczyć, nawet bez prowadzenia bardzo dobrych badań naukowych, trzeba go cenić. Ja wykladam podstawy matematyki – tu się już wiele nie zmienia, zatem mogę to wykładać, nie prowadząc badań w tej dyscyplinie. Natomiast muszę się doskonalić w dydaktyce matematyki i dydaktyce w ogóle.

Jeśli mają przyjechać tysiące zagranicznych gości, to większość kursów będzie musiała odbywać się w języku angielskim. Ile dziś prowadzicie takich zajęć, w jakim stopniu UJ jest do tego przygotowany?

Tu mamy szereg trudności: prawnych, językowych. Na razie liczba programów po angielsku jest niewielka, ale trochę tego jest i uczestniczą w nich studenci zagraniczni. Na medycynie mamy całą ścieżkę kształcenia w języku angielskim. Obowiązującym językiem w zrzeszeniu jest angielski. O ile w Edynburgu czy Helsinkach nie będzie z tym problemu, to już w Bolonii – tak. Także dla UJ jest to wyzwanie. Trzeba będzie w to włożyć trochę pieniędzy. Wykładowcy muszą się do tego przygotować, przecież oprócz wykładów jest jeszcze interakcja ze studentami. Zatem oprócz specjalistycznego języka danej specjalności trzeba znać język potoczny. Poza tym, gdy przyjadą studenci z Madrytu, to nie możemy się spodziewać, że będą znali język określonej dyscypliny wiedzy, raczej potoczny i niekoniecznie w stopniu wysokim. To też będzie pewna bariera, trudność we wdrażaniu kształcenia po angielsku. Jesteśmy zdeterminowani, aby zrealizować ten program pilotażowy, a z czasem te doświadczenia przenieść dalej na inne dziedziny.

Nowy kampus UJ położony jest na obrzeżach miasta i po zajęciach jest pustawy.

Kampus położony jest w sąsiedztwie wielkiego osiedla i będzie otwarty dla całej społeczności Krakowa. Będzie tam park, obiekty sportowe, pewnie związane z tym zaplecze kulinarne. Nie możemy tego jednak zrobić jednocześnie z zaspokojeniem podstawowych potrzeb uniwersytetu, a wciąż mamy wydziały, jak choćby filozofia, które egzystują w bardzo trudnych warunkach lokalowych. Najpierw musimy zadbać o sprawy

podstawowe dla nauki i kształcenia. Teraz remontujemy dawną fizykę, mamy budynki po dawnej chemii – oba w tzw. drugim kampusie w okolicach Alei Trzech Wieszców.

UJ zachował się dość zachowawczo w kwestii struktury uczelni.

Tak. Wytknięto nam to nawet w ocenie wniosków IDUB. Przedstawione w statucie zmiany struktury uniwersytetu zostały uznane za nie tak ambitne, jak cała reszta projektu. Skąd jednak taka decyzja władz uczelni? Uznaliśmy, że zbyt wielu zmian na raz nie będziemy w stanie skutecznie i z poparciem całej społeczności akademickiej wdrożyć. Musieliśmy wprowadzić wiele nowości: szkoły doktorskie, nowe dyscypliny wraz z całym otoczeniem. Zmiana całej struktury wydziałowej mogłaby w tym kontekście spotkać się z protestami. To, że pozostały wydziały, nie znaczy, że wciąż są tym samym. Jednak one mogą znacznie mniej niż dotychczas, rola dziekana jest inna. Idea jest taka, żeby iść w kierunku kolegiów dziedzinowych, a dydaktyka była jak najbardziej zintegrowana z dyscyplinami. Przyjmowanie studentów do uniwersytetu, a nie na wydziały, to jeszcze przyszłość, ale do kolegium to zapewne kwestia przyszłej kadencji rektorskiej

Jak sobie pan wyobraża ocenę dyscyplin, a nie jednostek?

Może być trudniej. Na UJ będzie ewaluowane 26 dyscyplin, czyli o 70% więcej niż wydziałów. Musimy zadbać, aby w żadnej nie było pracowników bez publikacji, czyli N0. Musimy się przyjrzeć, jaki jest stan rzeczywisty. Nie znając do końca reguł ewaluacji, trudno powiedzieć, jak się do niej przygotować. Wiadomo, że gdy jest dużo dobrych osiągnięć, to nie będzie problemu. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby któraś z naszych dyscyplin była poniżej B+. I nie utrata uprawnień jest najważniejsza, ale zagrożenie dla projektu uniwersytetu badawczego. Na razie staramy się zbadać, wyliczyć, co mamy. Za jakieś dwa-trzy miesiące musimy znać wyniki, żeby jeszcze cokolwiek móc zmienić. Teraz wydaje się, że punktacja będzie jednolita. Uważam, że niejednorodna punktacja, tj. inna w pierwszej połowie okresu oceny, a inna w drugiej połowie, spowodowałaby niemal 100% odwołań. Kontrowersje wokół ewaluacji będą zawsze, jednak musimy ją przeprowadzić.

Oprócz kilku funkcji międzynarodowych jest pan też przewodniczącym Uniwersyteckiej Komisji Nauki. Co to jest i po co?

Konferencja Rektorów Uniwersytetów Polskich zrzesza uczelnie o podobnym charakterze, ale bardzo różnym statusie, zarówno pod względem wielkości, finansów, zaawansowania naukowego, ale także o odmiennych czasami interesach. Zatem naturalne wydaje się powołanie komisji, które analizowałyby sytuację uniwersytetów w obszarach: nauki, kształcenia i finansów. Tworzą je prorektorzy o odpowiednich kompetencjach w uczelniach. Spotkania komisji, w tym Uniwersyteckiej Komisji Nauki, której pracami kieruję, mają bardzo duże znaczenie nie tylko merytoryczne, lecz także organizacyjne. Wymiana stanowisk, punktów widzenia – bezpośrednio, a nie przez telefon i mail – pozwala się zorientować, kto ma jakie opinie i skąd się biorą różnice, spojrzeć szerzej na pewne problemy, a czasami nawet uwspólnić stanowiska uniwersytetów. UKN wypracowuje wtedy wspólne stanowisko w sprawach nauki dla KRUP. Dzięki UKN mamy też okazję spotkać się w gronie rektorów ds. badań z osobami decyzyjnymi w ministerstwie, agencjach grantowych, Urzędzie Patentowym. To zapewne wygodne także dla tych instytucji: zamiast tłumaczyć pewne sprawy każdemu prorektorowi z osobna, mogą je przedstawić raz wszystkim prorektorom uniwersytetów.

Rozmawiał Piotr Kieraciński



Magda Karkowska

Przemiany kultury akademickiej

Czy nadszedł zmierzch autorytetów?

Autorytetowi przeciwdziałają: urzeczowienie relacji międzyludzkich w miejsce kontaktów osobowych, podmiotowości i indywidualności, permanentny brak czasu na rozmowy, kontakty, spotkania, podczas których rodziły się pomysły na badania, dojrzewały projekty, ale przede wszystkim była nawiązywana i rozwijała się międzyludzka więź.

W polskiej myśli pedagogicznej zawsze obecna była refleksja na temat znaczenia, ewolucji i przemian autorytetu. Swój niezaprzeczalny wkład w jej tworzenie miało zbyt wielu pedagogów, aby wymienić nazwiska ich wszystkich. Jednym z pierwszych teoretyków zajmujących się problematyką socjalizacyjnego znaczenia wzoru osobowego był Florian Znaniecki, następnie zagadnienia dotyczące wychowania opartego na duchowej więzi z autorytetem, wychowawcą podejmowali na przykład Stefan Kunowski czy Karol Sośnicki, a wśród współczesnych nam badaczy między innymi Andrzej Janowski, Włodzimierz Adamski, Maria Dudzikowa, Bogusław Śliwerski czy Lech Witkowski.

Obecnie coraz częściej mówi się o kryzysie autorytetów, ich dewaluacji i zgubnym wpływie takiej sytuacji na wychowanie i kondycję psychospołeczną ludzi młodych, bo to im

najtrudniej funkcjonować bez wzoru osobowego, bez naturalnych odniesień natury aksjologicznej, których nośnikiem jest autorytet.

Poniżej chciałabym zaoferować czytelnikom chwilę refleksji i próbę poszukiwania odpowiedzi na pytania związane z obecnością i funkcjonowaniem autorytetów na uczelni. Trudno o nie w domu, w szkole, może więc przetrwały na uniwersytecie, w środowisku akademii, naturalnie związanym z mistrzostwem słowa i myśli, poszukiwaniem prawdy? Jakie działania powodują, że niektórzy naukowcy, profesorem są autorytetami w swoim środowisku, a inni nigdy nimi nie zostaną? Czy decydują o tym tylko uwarunkowania wewnętrzne, czy także zewnętrzne warunki, w jakich obecnie pracuje się na uczelni? Zatrzymajmy się na chwilę przy wymienionych kwestiach.

Mówi prawdę, pobudza, zmienia na lepsze

Niedawno zapytałam swoich studentów nie tyle o to, kto jest dla nich autorytetem, ile: co spowodowało, że nim został, jakie zachowania/cechy go charakteryzują? Powiedzieli mi wtedy, że autorytet to „ktoś taki, o kim bez sprawdzania się wie, że mówi prawdę”, „ktoś, kto staje po stronie słabszych”, kto „ocenia rzeczywistość zgodnie z faktycznym stanem rzeczy, a nie z ogólnymi trendami”, „ktoś, kto ma znaczące osiągnięcia i swoimi działaniami potrafi pobudzać do rozwoju, motywuje do wysiłku”, „osoba, która bezinteresownie dzieli się tym, co wie i potrafi”, „ktoś, komu z własnej woli chcemy się podporządkować”, „ktoś, kto mówi to, co myśli i robi to, co powiedział”, „ktoś, kogo słowa i czyny, a czasem sama obecność zmienia nas na lepsze”, „ktoś, kto podał mi rękę, kiedy byłem w bardzo trudnej sytuacji i nie widziałem z niej wyjścia”.

Powyższe wypowiedzi wskazują na fakt, że moi rozmówcy, młodzi dorośli, studenci uniwersytetu bez problemu rozpoznają w drugiej osobie autorytet, co więcej – widzą jego związek z wychowaniem, z kierowaniem działaniami innych, dobrowolnym poddaniem się czyjemuś kierownictwu, z odwagą cywilną, wewnętrzną spójnością, facylitującym wsparciem w trudnych czy nieoczekiwanych sytuacjach. Z wypowiedzi tych wynika, co stanowi „tworzywo” autorytetu, wskazując na pewne niezbędne warunki, jakie musi spełniać relacja międzyludzka, aby można było powiedzieć, że ktoś jest dla drugiej osoby autorytetem.

W literaturze przedmiotu wymienia się najczęściej następujące elementy konstytuujące autorytet: relacje (niekoniecznie o charakterze bezpośrednim), wpływ na czyjeś poglądy, decyzje i działania (dokonująca się pod wpływem autorytetu przemiana czy wybór pewnej drogi postępowania), więź (będąca podstawą odpowiedzialności i sprawstwa), a także wspólnotę wartości, oczekiwań i nastawień wobec rzeczywistości. Moi rozmówcy za najistotniejszy uznali wpływ na czyjeś działania, wynikające z odpowiedzialności za kogoś zachowania opiekuńcze, a także prawość, dążenie do prawdy, spójność zamierzeń, słów i czynów. Zastanawia, że nikt nie zadeklarował związku między autorytetem a charyzmą, przynajmniej nie uczynił tego wprost.

Kreuje dialog, budzi ciekawość, stawia wyzwania

W ujęciu historycznym autorytet bywał wiązany z władzą, cieniem i wiedzą. W starożytności i kolejnych epokach reprezentowali go przywódcy (religijni i świeccy), wodzowie i rycerze, mędracy czy filozofowie. Z perspektywy uniwersytetu rozumianego jako wspólnota akademicka, ale też środowisko edukacyjne, najistotniejszy wydaje się ostatni model, w którym źródłem autorytetu jest wiedza – to tutaj, w każdej szkole wyższej, się ją tworzy i przekazuje.

Autorytet w rozumieniu akademickim to zarówno Mistrz, przewodnik po świecie wiedzy, wzór do naśladowania i ekspert w zakresie reprezentowanej dziedziny. To osoba, która znacznie przewyższając wiedzą swoich studentów potrafi stworzyć horyzontalną płaszczyznę wymiany myśli, otwiera na dyskusję, kreuje dialog, budzi ciekawość, stawia wyzwania.

Niewątpliwie najistotniejszą spośród koncepcji autorytetu (i najstarszą) jest Mistrz. Rozważania na temat jego roli w życiu i procesie wychowania można odnaleźć w literaturze i tekstach filozoficznych powstających od starożytności aż po czasy nam współczesne. Kluczową kategorią analizy działań, a bywa że i samej obecności Mistrza, jest spotkanie (Buber M., *Kształcenie charakteru*, „Znak” 1968, nr 1-2), które zawiera w sobie przypadek, ale też olśnienie, ugodzenie osobowością drugiego człowieka. Mistrz oddziałuje swoją osobowością, jej jakością, siłą przyciągania emocji, wewnętrznym magnetyzmem, charyzmą. Zetknięcie z nim ma zatem naturę metafizyczną i choć oparte na wzajemnej interakcji, nie w pełni sprowadzalne jest

do tego, co nazywamy wychowaniem czy kształceniem – nie da się spotkania zaplanować, nie jest ono świadomie przeżywane ani realizowane, a analiza takich doświadczeń dostępna jest tylko retrospektywnie.

Mistrz to także wzór osobowy (Florian Znaniecki), ktoś, kogo pragniemy naśladować, odwołując się do jego sposobu myślenia i działania długo po formalnym zakończeniu edukacji. Spotkanie, relacja z Mistrzem prowadzi do rozwoju autonomii, zmienia sposób postrzegania siebie i innych poprzez modyfikujące samoświadomość komunikaty i działania oraz ich skutki.

Mistrz oferuje uczniowi poznanie, pokazuje różne drogi i sposoby dochodzenia do prawdy, proponując wielość interpretacji i możliwych rozwiązań, budzi odwagę do stawiania trudnych pytań o walorze egzystencjalnym (kim jestem? dokąd zmierzam?). Trudno porównywać relację z Mistrzem do tradycyjnie rozumianego nauczania czy codziennych interakcji edukacyjnych, ponieważ nie ma tu intencjonalności, nie ma też tradycyjnie rozumianych środków, a jedynym „narzędziem” wpływu jest zaufanie i charyzma, osobisty walor uruchamiający wrażliwość i otwarcie wobec tego, kim Mistrz jest i co swoim działaniem ilustruje. Spotkanie jest płaszczyzną porozumienia aksjologicznego, odnosi się do wartości.

Z czasem wpływ mistrza maleje, wraz z samodzielnością i autonomią wychowanka/ucznia/studenta wolność wyboru przestaje być darem, a staje się świadomie aktualizowanym potencjałem decyzyjnym. Oddziaływanie Mistrza ma charakter nieograniczony czasowo, ważniejsza jest droga, proces poznawania, poszukiwanie rozwiązań niż ich kierunek i wynik.

Atrybuty tej relacji są „niewspółczesne”, w czystej postaci z trudem mieszczą się w naszej rzeczywistości wychowawczej. Szybkie przemiany kulturowe, masowość, konsumpcyjność otaczającego świata powodują, że trudno osiągnąć taki poziom wewnętrznego skupienia czy koncentracji, aby wsłuchać się w drugiego człowieka, trudno konsekwentnie wspierać jego indywidualność, koncentrując się na długofalowych skutkach interakcji charakterystycznych dla relacji z Mistrzem.

Mimo to pozostaję przekonana, że pojawienie się w życiu Mistrza jest tą chwilą w wychowaniu, która na zawsze pozostawia ślad w psychice, w pozytywny sposób naznacza.

Ku wolności i autonomii

Nikt nie rodzi się autorytetem, lecz nim się staje w procesie budowania relacji z innymi, w tym wypadku studentami i współpracownikami, w wyniku wyteżonej pracy nad sobą i podejmowania coraz to nowych wyzwań, obejmujących sferę budowania wewnętrznego ładu i zewnętrznego porozumienia z innymi. To bywa trudne nie tylko w wymiarze personalistycznym (jak u Bubera), ale i technicznym (jak u Thomasa Gordona), bowiem wymaga nie tylko przymiotów ducha i kształtowania swego charakteru, ale i uchwycenia właściwych proporcji między doświadczeniem, profesjonalizmem i przestrzeganiem zasad (koncepcja autorytetu EJV). Konieczne jest tutaj i sprawstwo, rozumiane jako zdolność wpływania i kreowania takich sytuacji społecznych i edukacyjnych, w których druga osoba doświadcza pozytywnej zmiany, i inspiracja do tego, by inni chcieli sięgać wyżej niż dotąd, i stworzenie płaszczyzny porozumienia, wymiany myśli, i gotowość do uznania racji drugiej osoby.

Autorytet wiedzy to także facylitator – osoba, która potrafi we wspierający sposób towarzyszyć innym w zdobywaniu wiedzy i umiejętności, poszukiwaniu błędów, która pozostaje w gotowości do udzielania pomocy, odpowiedzi na pytania, zaspokajania zainteresowań i dzielenia się doświadczeniem, ale nie daje gotowych recept, nikogo nie wywęża. Zarazem pozostaje twórcza i elastyczna, bywa że zachowuje się niestan-

dardowo, potrafi wprowadzać zmiany i innowacje w codziennym działaniu. To ktoś kto przekazuje wiedzę o życiu i świecie, zastępuje werbalny, dyrektywny przekaz introspekcją, osobistym doświadczeniem, budując w ten sposób porozumienie oparte na kontakcie i otwartej komunikacji. Pojawia się tu zatem dialog i spotkanie, nie pełnią one jednak bezpośrednio funkcji regulujących zachowanie innych osób, w tym wypadku studentów. Zmiana w sferze myślenia, odczuwania czy działania musi nastąpić sama, nie w wyniku konieczności podporządkowania się komuś czy czemuś, takie bowiem zmiany są nie trwałe, ale z własnej woli, nie pod wpływem sugestii, a obserwacji i analizy tego, jak nasze zachowanie wpływa na nas samych i innych ludzi. Celem oddziaływania autorytetu jest w każdym wypadku wolność, autonomia, nierozwijanie postaw zewnętrznych.

Lekceważone są komponenty duchowego mistrzostwa

Jeszcze dwadzieścia lat temu uprawianie nauki postrzegane było jako działalność elitarna, nadzwyczajna, a naukowiec funkcjonował – jak pisze Zbyszko Melosik – niejako „ponad” czy „poza” otaczającą go rzeczywistością (Melosik Z., *Pasja i tożsamość naukowca*, w: „Rocznik Pedagogiczny KNP PAN”, 41/2018). Najistotniejszymi elementami jego działania była koncentracja na przedmiocie podjętych badań, tworzeniu i przekazywaniu wiedzy. Służyły temu wymienione przez Jerzego Brzezińskiego cztery główne wartości, wokół których skupione było funkcjonowanie uniwersytetu: różnorodność, pluralizm światopoglądowy, komplementarność badania i nauczania oraz prawda i dążenie do niej (Brzeziński J., *Trwałe wartości uniwersytetu*, w: „Forum Oświatowe” 1997, t. 1-2).

Obecnie elitarność ta zanika, uniwersytet postrzegany jest jako jeszcze jedno – cóż z tego, że silnie wyspecjalizowane – przedsiębiorstwo, którego działania mają przynieść określone, mierzalne efekty. Nie trzeba dodawać, że w przedsiębiorstwie tym lekceważone są wszystkie komponenty duchowego mistrzostwa, przewodnictwa intelektualnego, sprawowania opieki nad czymś rozwijającym się, pasją, projektami czy zamierzeniami naukowymi.

Bycie autorytetem w uniwersytecie jest poważnie zagrożone, gdyż przeciwdziałają mu:

- urzeczowienie relacji międzyludzkich w miejsce kontaktów osobowych, podmiotowości i indywidualności; permanentny brak czasu na rozmowy, kontakty, spotkania, podczas których rodziły się pomysły na badania, dojrzewały projekty, ale przede wszystkim była nawiązywana i rozwijała się międzyludzka więź;
- procedury rywalizowania w miejsce wspólnotowości, kooperacji, wymiany myśli. Autorytet, którego mechanizmami oddziaływania są zaufanie, wpływ na czyjeś działania, dobrowolne poddanie się woli drugiej osoby i sprawstwo, raczej nie pojawia się w korporacjach czy „fabrykach wiedzy i dyplomów”. Poza wszystkim – jak mawiają psychologowie – jeśli już musimy się ścierać, to najlepiej i najzdrowiej jest robić to z samym sobą – wszak uniwersytet to nie bieżnia;
- zewnętrzna motywacja – oparta na presji, doświadczaniu przymusu – znosi radość odkrywania, niweluje dojrzewanie pomysłów. To, co zewnętrzne, instrumentalne negatywnie wpływa na poczucie odpowiedzialności za rezultaty własnych działań, prowadzi do zewnętrzności i szybko przenosi się na studentów, którzy wyżej od wiedzy i rozwijania kompetencji zaczynają cenić praktyczne umiejętności (tak jakby każde studia, w tym humanistyczne, były szkołą uczącą konkretnego zawodu!), certyfikat i dyplom, a nierzadko ich wielość. Jak wpływać na wewnętrzne przemiany u innych, skoro sami ulegamy kierowaniu z zewnątrz?

- komercjalizacja badań naukowych – analizy robione na zamówienie, często z gotowymi, oczekiwanymi rezultatami, oparte na „autorskiej”, pełnej błędów metodologii nie sprzyjają ani prawdzie i dążeniu do niej, ani wielości światopoglądowej czy swobodzie myślenia, które są podstawą poznawczego rozwoju i stawiania się akademickim twórcą (a nie odtwórcą czy wykonawcą prac zleconych);

- nieprzyjazna atmosfera, oparta na monitorowaniu, przymusie, wywieraniu presji, połączona z kontrolującym językiem (stosowanie zwrotów „musisz”, „powinieneś” zamiast „możesz”, „warto się tym zająć” czy „chciałbyś”). To, co stymuluje wspieranie innych, a zarazem promuje autonomię i wolny wybór jako komponenty przewodnictwa duchowego, nie jest i nigdy nie będzie oparte na tego rodzaju strategiach;

- wskaźnikowanie pracy naukowej, nieustanne ewaluacje (czy „rozmowy diagnozujące”) organizowane w trosce o to, by naukowiec na pewno ani na chwilę nie zapomniał o parametrycznej efektywności, redukują go do „wytwórcy punktów”, uświadamiając, które z nich są „lepsze”, a które „gorsze” (najlepsze są te za artykuł w zagranicznym czasopiśmie, jako że wszystkie krajowe mają tę samą ilość punktów, gorsze przypadają za rozdział w monografii czy za książkę, ponieważ pierwsze w ogóle nie liczą się do oceny, a spośród monografii tylko nieliczne można podać jako efekty podczas zbliżającej się ewaluacji dyscypliny!). Wytwórca punktów, licząc je i porównując z innymi, a także pracując w atmosferze stresu i zastraszenia, rzadko bywa osobą zainteresowaną wewnętrznym wzrostem samego siebie i dbaniem o wzrastanie innych. Inaczej bywa tylko w przypadku osób wybitnych, naukowców o międzynarodowej renomie, którzy określenie „muszę” mogą spokojnie zamienić na „teraz zamierzam”, bo i tak nikt nie zagrozi ich wypracowanej przez lata pozycji.

Inhibitory akademickiej twórczości

Podsumowując, rozwijaniu autorytetu, sprawstwa, zdolności przywódczych, kierowania innymi przeciwdziałają te czynniki, które identyfikowane są jako inhibitory akademickiej twórczości. Sprzyja mu z kolei to, co wspiera i pomaga ją rozwijać: poczucie sukcesu zawodowego, właściwa samoocena, prawo do planowania własnych działań (także profesjonalnych), pozytywna, a przynajmniej obiektywna informacja zwrotna, efektywne sposoby radzenia sobie ze stresem i przeciążeniem obowiązkami, poczucie samokontroli i sprawstwa.

Skoro – jak zauważa Zbyszko Melosik – pasja jest rdzeniem tożsamości naukowca, możemy przyjąć, że jest nią także, a może przede wszystkim, autorytet. Jednak aby nim być, trzeba poza wskazanymi wcześniej przymiotami ducha i cechami umysłu przejawiać autorefleksywną postawę wobec własnej biografii, dbać o swój rozwój (rozumiany jako duchowy i intelektualny wzrost, a więc nierozpatrywalny w kategoriach parametryzacyjnych), poszukiwać nowych wyzwań i inspiracji, pozostając transformatywnym i zdolnym do oporu wobec tego, z czym się nie zgadzamy. Działania te stymulują bowiem wewnętrzność, harmonię, sprzyjają duchowemu i intelektualnemu przewodnictwu, rozwijaniu odpowiedzialności, autonomii innych i budowaniu zdrowych relacji w swoim otoczeniu.

Jak pisałam na początku tekstu, rozmawiałam o autorytecie z dwudziestką moich studentów. Na pytanie, czy jest w ich życiu ktoś, kogo mogą nazwać autorytetem, odpowiadali z pewnym wahaniem, na kolejne, czy spotkali lub sądzą, że mogą spotkać taką osobę na uczelni, twierdząco odpowiedziały... dwie. O nic więcej już pytać nie chciałam.

*Dr hab. Magda Karkowska, Wydział Nauk o Wychowaniu Uniwersytetu Łódzkiego.
Nauczyciel dyplomowany, tłumacz, badaczka kultury i edukacji.*

Jarosław Horowski

Autorytet nauczyciela akademickiego

Nieświadomość, nadużycie i wyzwanie

O nadużycie nietrudno w trakcie prowadzenia wykładu z uniwersyteckiej katedry. Słuchacze są zazwyczaj nieprzygotowani do odróżniania danych od ich interpretacji, a więc bezbronni wobec wpływu, który nauczyciel może na nich wywierać. W konsekwencji, uznając kompetencje nauczyciela akademickiego, przejmują nie tylko jego wiedzę, lecz także światopogląd.

Gdy Immanuel Kant w 1784 roku na łamach „Berlinerische Monatsschrift” wyjaśniał, na czym polega Oświecenie, dał impuls do marginalizacji – o ile nie do usunięcia – autorytetu z przestrzeni kultury. Jego słowa – „Niepełnoletność to niezdolność człowieka do posługiwania się swym własnym rozumem, bez obcego kierownictwa” – nietrudno zinterpretować jako krytykę odwoływania się do autorytetów i braku odwagi formułowania własnych poglądów. W konsekwencji wokół autorytetu narosły kontrowersje i niejasności, a współczesny człowiek rozwijający się w poświeceniowej kulturze do autorytetów się nie przyznaje, nawet jeżeli w różnych sferach swojego życia kieruje się wiedzą i poglądami innych. W jaki sposób ten kontekst rzutuje na relacje między nauczycielami akademickimi i tymi, do których przemawiają na co dzień? Czy oznacza to usunięcie relacji zależności, „wpływu” (czyli autorytetu) między studentami i wykładowcami, czy może przeformułowywanie relacji autorytetu? Aby rzucić światło na ten problem, należy przyjrzeć się kilku wymiarom rzeczywistości autorytetu, ale najpierw podjąć próbę ujęcia zjawiska autorytetu.

Rzeczywistość zepchnięta do nieświadomości

Próbując zrozumieć, czym jest autorytet, warto sięgnąć do refleksji wybitnego polskiego logika i filozofa analitycznego Józefa Bocheńskiego (opublikowanej pod tytułem *Co to jest autorytet?*, z podtytułem *Wprowadzenie do logiki autorytetu*). O ile bowiem słowa Kanta są niezwykle sugestywne i realizują bardziej funkcję manifestu niż podejmowanej z dystansu filozoficznej analizy, to Bocheński odwrotnie: prowadząc refleksję nad autorytetem, stara się bardziej rozumieć niż przekonywać. Jego definicja: „P jest autorytetem dla S w dziedzinie D wtedy i tylko wtedy, kiedy S przyjmuje w zasadzie wszystko, co mu P podaje do wiadomości, a co należy do dziedziny D”, uświadomienia po pierwsze, że autorytetu nie należy łączyć ani z naśladowaniem osoby (która staje się wzorem), ani z podziwem (którym

otacza się idola), ale ze swoistym zaufaniem do wiedzy danej osoby w określonej dziedzinie, po drugie – że każdy z nas funkcjonuje w dziesiątkach relacji autorytetu i nie jest w stanie porządzić sobie bez nich w życiu, wreszcie – po trzecie i najważniejsze – funkcjonujemy w relacjach autorytetu, których nie jesteśmy świadomi. Przykładowo, większość nauczycieli akademickich wchodzi w relacje autorytetu z mechanikami samochodowymi, serwisującymi ich auta, których wiedzy w dziedzinie mechaniki samochodowej bezgranicznie ufają, a równocześnie nigdy nie przyznają, że uznają autorytet mechanika samochodowego.

Swoją analizę relacji autorytetu Bocheński kończy słowami: „Mówimy, co prawda, ciągle o tym, że powinniśmy używać tylko rozumu, o tym, jak powinniśmy się uwolnić od autorytetów, ale grzeźniemy coraz głębiej w sieć bezlitosnych autorytetów. [...] Kiedy się przyjrzeć nawet najbardziej radykalnym przeciwnikom autorytetu, stwierdzi się prawie zawsze, że oni sami dają posłuch autorytetowi, co prawda innemu niż ten, który zwalczają, ale przecież autorytetowi. Czy chcemy, czy nie, żyjemy w okresie autorytetu”. W świetle tych słów nietrudno zrozumieć, dlaczego Bocheński zaliczył „wolność od autorytetu” do zabobonów, którym ulega współczesny człowiek, i opisał w swoim *Krótkim filozoficznym słowniku zabobonów*.

Uznanie logiki wywodu przeprowadzonego przez Bocheńskiego prowadzi do wniosku, że między studentami i ich wykładowcami budowane są relacje autorytetu, przy czym świadomość tego faktu jest ograniczona, a wykładowcy, czyli podmioty autorytetu, nie są w związku z tym otaczani już tak wielkim szacunkiem, jak miało to miejsce w przeszłości. Owa nieświadomość niesie jednak ze sobą pewne niebezpieczeństwa.

Wypaczenia w relacji autorytetu

Krytyka autorytetu implikuje marginalizację tematu autorytetu i konsekwentnie brak wychowania do funkcjonowania w relacji autorytetu. W tych warunkach łatwo o wypaczenia w rela-



rys. Slavomír Mětal

cji autorytetu. Jak wykazuje Bocheński, źródłem owych wypa-
czeń może być zarówno podmiot autorytetu – osoba dominu-
jąca, jak i przedmiot autorytetu – osoba w pozycji submisji. Ten
pierwszy może przede wszystkim nadużywać autorytetu, czyli
wykraczać poza dziedzinę, w której jest kompetentny i uprawnio-
niony do zabierania głosu. Wypaczeniem ze strony osoby słu-
chającej autorytetu jest z kolei uznanie kompetencji podmiotu
w dziedzinie, w której ten ich nie posiada. Z nadużywaniem
autorytetu spotykamy się przede wszystkim w ramach przeka-
zów medialnych, gdy na ekspertów wydających sądy w okre-
ślonych kwestiach powoływane są osoby słabo orientujące się
w danej problematyce, ale potrafiące w sposób przekonujący
przekazywać treść własnego światopoglądu. O nadużycie nie-
trudno jednak także w trakcie prowadzenia wykładu z uniwer-
syteckiej katedry. Pokusa, by – wykorzystując „siłę” własnych
stopni czy tytułu naukowego – kształtować światopogląd słu-
chaczy, jest ogromna. Ci ostatni są zazwyczaj nieprzygotowani
do odróżniania danych od ich interpretacji, a więc bezbronni
wobec wpływu, który nauczyciel może na nich wywierać.
W konsekwencji, uznając kompetencje nauczyciela akademic-
kiego, przejmują nie tylko jego wiedzę, lecz także światopogląd.

Wypaczenia w relacjach autorytetu są szczególnie brze-
mienne w skutki w dziedzinie nauk społecznych. Z jednej strony
dyscypliny uprawiane w tym obszarze dążą do coraz precyzyj-
niejszego ujmowania przedmiotów badań z wykorzystaniem
metod empirycznych podobnych do stosowanych w naukach
przyrodniczych. Z drugiej strony, wiedza pochodząca z badań
empirycznych jest fragmentaryczna, pomaga lepiej poznać nie-
które aspekty rzeczywistości, jednak trudno na jej podstawie
budować całościową wizję badanego przedmiotu. Jacques Mari-
tain, odróżniając w pracy *Nauka i mądrość* tytułowe zjawiska,
stwierdza, że rozum sam w sobie poznaje jedynie do pewnego
momentu, w którym może już tylko stawiać pytania i pozostawiać
je bez odpowiedzi... Poznaje w ten sposób „swoje próżnie”.
Poszukiwanie prawdy w obszarze nauk społecznych wymaga
– bardziej niż w innych dziedzinach – postawy pokory, czyli
docenienia uzyskanej wiedzy i równocześnie świadomości nie-
wiedzy; wymaga umiejętności formułowania pytań, które na
danym etapie poszukiwań pozostają bez odpowiedzi i równo-
cześnie umiejętności przyznawania, że syntetyczny opis danej
rzeczywistości uwzględni nie tylko dane pochodzące z badań,
ale także wyniki intelektualnej spekulacji, prowadzonej w świa-
tle przyjętych przez danego badacza założeń.

O tym, jaką rolę w naukach społecznych odgrywa interpre-
tacja, świadczą chociażby różnice między teoriami socjologicz-
nymi. Dysponujący tymi samymi danymi socjologowie potra-
fil sformułować zarówno teorie kwestionujące podmiotowość
jednostek (Durkheim, Parsons, Bourdieu), jak i je zakładające
(Archer). Jeżeli nauczyciel akademicki, wykładowca w dziedzi-
nie nauk społecznych, nie wskazuje studentom, jakie granice
osiąga i jakich nie jest w stanie przekroczyć wiedza, a przy tym
łączy fakty z preferowaną przez siebie ich interpretacją, wyko-
rzystuje de facto autorytet, jaki posiada, do kształtowania świa-
topoglądu studentów.

Nadużycie autorytetu może jednak przybrać bardziej sub-
telną formę. Uprawiający badania w dziedzinie nauk społecz-
nych mogą – jako nauczyciele akademicy – nie zwracać uwagi
studentów na fragmentaryczność wiedzy sprawdzalnej empi-
rycznie poprzez niewspominanie o obszarach, które na tej
drodce są trudne do opisu. Wyznaczenie granic własnej wie-
dzy implikuje bowiem wyznaczenie granic własnemu autory-
tetowi, ograniczenie „strefy wpływu”. Zjawiska sprowadzania
całej rzeczywistości do rzeczywistości poznawalnej empirycz-
nie trudno jednak nie zauważyć, gdy przeanalizuje się problemy
podejmowane współcześnie w ramach refleksji nad życiem spo-

łecznym. Kategorie analizowane chociażby przez Platona, takie
jak „cnota” czy „honor”, albo obecna na przestrzeni wieków pro-
blematyka pokory, przebaczenia, ubóstwa, ascezy, zostały prak-
tycznie wyeliminowane z badań w naukach społecznych i kon-
sekwentnie przestają w kulturze stanowić klucz do interpreta-
cji relacji międzyludzkich. Zamiast nich za kluczowe uznano
kategorie „potrzeb”, „aspiracji”, „opresji”, „oporu” czy „roli
społecznej”.

Nietrudno zauważyć, że efektem zachodzących zmian jest
budowanie ubogiego, „mechanicznego” rozumienia rzeczywi-
stości człowieka oraz tworzonych przez niego relacji – rozu-
mienia przekazywanego w sposób zakamuflowany w ramach
uniwersyteckich wykładów. Allan Bloom w książce *Umysł
zamknięty* kreuje obraz absolwentów amerykańskich uczelni,
którzy – zdobywając coraz bardziej specjalistyczną wiedzę –
uzyskanie kompetencji zawodowych muszą przypłacić brakami
w wiedzy ogólnej. Brak refleksji ogólnej, filozoficznej nad czło-
wiekiem i wyzwaniem, z jakimi mierzy się w relacjach społecz-
nych, sprawia, że przestają oni być elitą społeczeństwa, funkcyj-
nując w przestrzeni kultury na podobnym poziomie, jak osoby
nieposiadające wyższego wykształcenia.

Wydaje mi się, że pracę amerykańskiego filozofa można by
kontynuować, pytając o to, w jaki sposób współczesna edukacja
kształtuje studencką umysłowość i wpływa na rozumienie przez
absolwentów uniwersytetów otaczającego ich świata. U źródeł
nakreślonych powyżej zjawisk znajduje się niewątpliwie auto-
rytet, który z jednej strony (nauczycieli akademickich) jest nad-
używany, a z drugiej strony (studentów) ulega wypaczeniu
polegającym na niedostrzeganiu granic autorytetu.

Wychowanie do autorytetu

Implikowane w oświeceniowych postulatach zniesienie autory-
tetu nietrudno – za Bocheńskim – nazwać zabobonem. Tak jak
nie jest możliwe wyeliminowanie z przestrzeni relacji między-
ludzkich słabości, krzywdy, zemsty, przebaczenia czy poświę-
cenia, tak trudno wyobrazić sobie funkcjonowanie jednostki
– szczególnie współcześnie – poza relacjami autorytetu. Czło-
wiek nieustannie poznaje i uczy się poruszania w nowych prze-
strzeniach, bardziej lub mniej świadomie poszukując przewod-
ników, dzięki radom których popełni mniej błędów, nie będzie
krzywdził siebie i innych. W tym kontekście może czas przestać
budować alternatywę między rozumem i autorytetem, a w kon-
sekwencji przyznać, że nierozumne jest kwestionowanie autory-
tetów i – z drugiej strony – rozum rozwija w pełni swój poten-
cjał, gdy wykazuje zaufanie do wiedzy i kompetencji osób bar-
dziej doświadczonych.

Być może taka zmiana stereotypowych sposobów rozumie-
nia autorytetu otworzyłaby furtkę dla edukacji w odniesieniu
do autorytetu. Przydałaby się ona zarówno wykładowcom, jak
i studentom. Tym pierwszym, aby kształtować postawę pokory,
rozumianej między innymi jako adekwatne podejście do swojej
wiedzy i niewiedzy, tak aby w ramach akademickiego wykładu
przekaz wiedzy łączył się z ukazywaniem obszarów niewiedzy
i możliwych sposobów interpretacji uzyskanych danych. Tym
drugim – wchodzącym w świat nauki – przydałaby się z kolei
umiejętność świadomego określania, komu i dlaczego ufają,
a także sprawność wytyczania granic, w jakich dany nauczyciel
akademicki posiada kompetencje. Biorąc jednak pod uwagę, że
uniwersyteckie sale odzwierciedlają do pewnego stopnia procesy
zachodzące w przestrzeni kultury, trudno nie konstatować, że
wychowanie do autorytetu jeszcze długo nie znajdzie wielu zwo-
lenników wśród osób tworzących rzeczywistość akademicką.

Dr hab. Jarosław Horowski, prof. UMK,
Instytut Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

Mądrość w pułapce autorytetu

Czy istnieje sposób, aby bezpiecznie oddzielić nierozzerwalnie związane ze sobą składniki autorytetu, jakimi są kompetencje i towarzysząca im pozycja społeczna? Wygląda na to, że tak, choć jest to mało znany wynalazek ludzkości pochodzący z okresu, kiedy żyliśmy w plemionach zbierackich. Najtrafniej opowiada o tym koncepcja antropologa Christophera Boehma.

„A po tych wydarzeniach Bóg wystawił Abrahama na próbę. Rzekł do niego: *«Abrahamie!»* A gdy on odpowiedział: *«Oto jestem»* – powiedział: *«Weź twego syna jedynego, którego miłujesz, Izaaka, idź do kraju Moria i tam złóż go w ofierze na jednym z pagórków, jakie ci wskażę»*. Nazajutrz rano Abraham osiodłał swego osła, zabrał z sobą dwóch swych ludzi i syna Izaaka, narąbał drzewa do spalenia ofiary i ruszył w drogę do miejscowości, o której mu Bóg powiedział. Na trzeci dzień Abraham, spojrzawszy, dostrzegł z daleka ową miejscowość. I wtedy rzekł do swych sług: *«Zostańcie tu z osłem, ja zaś i chłopiec pójdziemy tam, aby oddać pokłon Bogu, a potem wrócimy do was»*. Abraham, zabrawszy drwa do spalenia ofiary, włożył je na syna swego Izaaka, wziął do ręki ogień i nóż, po czym obaj się oddalili. Izaak odezwał się do swego ojca Abrahama: *«Ojcie mój!»* A gdy ten rzekł: *«Oto jestem, mój synu»* – zapytał: *«Oto ogień i drwa, a gdzie jest jagnię na całopalenie?»* a Abraham odpowiedział: *«Bóg upatrzy sobie jagnię na całopalenie, synu mój»*. I szli obydwa dalej. A gdy przyszedli na to miejsce, które Bóg wskazał, Abraham zbudował tam ołtarz, ułożył na nim drwa i zwiąawszy syna swego Izaaka położył go na tych drwach na ołtarzu. Potem Abraham sięgnął ręką po nóż, aby zabić swego syna” (Księga Rodzaju 22, 1-10).

To chyba najbardziej wstrząsający przykład uległości wobec autorytetu, jaki możemy odnaleźć w źródłach pisanych, które pozostawiła po sobie nasza cywilizacja. Tragedia rozgrywająca się w duszy Abrahama powtarza się w mniej lub bardziej dramatycznych okolicznościach zawsze wtedy, kiedy wierność autorytetowi staje w głębokiej sprzeczności z wyznawanymi przez nas wartościami. W naszych głowach pojawia się lawina pytań: Czy ulec? Dlaczego? Dlaczego właśnie ja? Jaką cenę za to zapłacić? Jak zmieniony po tym wyjdę? A jednak tragedia Abrahama rzadko bywa wykorzystywana jako ilustracja ślepego posłuszeństwa wobec bezmyślnie okrutnego autorytetu. Nasze zhierarchizowane społeczności instynktownie bronią przywileju posiadania autorytetów i zawierania im nawet na takich obszarach jak nauka, gdzie samokrytycyzm jest najwyższą wartością. Dlaczego?

Niewiarygodne efekty uczenia się

Odpowiedź na pytanie o przyczyny ulegania znalazłem w świecie zwierząt, gdzie mechanizm nie tylko podporządkowywania się (to wśród zwierząt jest oczywiste), ale również ślepego

naśladownictwa ma wyraźne, biologicznie uzasadnione funkcje. Spojrzenie z bardziej „zwierzęcej” perspektywy na dramat Abrahama i nasze codzienne dylematy, będące kolejnymi iteracjami jego tragedii, może paradoksalnie nadać mu bardziej ludzki wymiar.

Konrad Lorenz w klasycznej książce *Tak zwane zło* opisuje sposoby przekazywania informacji kolejnym pokoleniom zwierząt. Oczywiście ten najbardziej rozpowszechniony, to przekaz genetyczny. Ale zwierzęta bardziej rozwinięte potrafią również przekazywać wartościowe dla przeżycia informacje poprzez różnego rodzaju formy społecznego uczenia się. Wynik takiego uczenia jest czasami wręcz niewiarygodny. Oto na przykład szczury potrafią przez kilkadziesiąt pokoleń przekazywać sobie skutecznie informację o zapachu zatrutego pożywienia. A jak się to odbywa? Jeden z przewodników stada podchodzi do pokarmu i obwąchuje go. Jeśli uzna, że pokarm jest zatruty, nie zaczyna jeść, lecz odchodzi. Pozostałe szczury podchodzą do pożywienia i obwąchują je, aby zapamiętać zapach. Na końcu wreszcie oznaczają pokarm moczem i kałem jako nienadający się do spożycia. Robią to nawet wówczas, gdy pożywienie jest w miejscu, w którym trudno pozostawić takie ślady. Cóż jednak stałoby się w sytuacji, gdyby szczur przewodnik nie znał tego zapachu, a byłaby to trucizna? Prawdopodobnie przypląciłby to życiem, lecz szczury, które przeżyłyby taką przygodę, zajęłyby miejsce swego poprzednika, mądrzejsze o jeden zapach więcej. W ten sposób, poprzez ślepe naśladownictwo autorytetu, szczury nie tylko są w stanie przetrwać w trudnych warunkach urządzanych na nie ciągłych polowań i zasadzek, lecz stają się coraz mądrzejsze i nie korzystają przy tym wyłącznie z bardzo powolnego mechanizmu przekazywania informacji, jakim jest dziedziczenie.

Zwierzęta żyjące społecznie często naśladowują autorytet. Szczególnie obrazowo pokazuje to jeden z eksperymentów opisywanych przez Lorenza, a przeprowadzony na grupie małp żyjących w niewoli. W klatce, gdzie przebywały, postawiono dość przemyślnie skonstruowany pojemnik, w którym umieszczano widoczne banany. Jednakże żadne zwierzę, pomimo prób, nie było w stanie ich dosięgnąć. Odizolowano od grupy jedną z małp zajmujących niską pozycję w hierarchii społecznej, a następnie uczono ją wydobywać banany z pojemnika. Kiedy opanowała tę czynność do perfekcji, wpuszczano ją z powrotem

do klatki, gdzie przebywały pozostałe zwierzęta. Na ich oczach wydostawała i zjadała smakołyki, a jednak żadna małpa nie poszła w jej ślady. Badacze w ten sam sposób postąpili z przewodnikiem stada. Odizolowali go, nauczyli obsługi urządzenia, a następnie umieścili z powrotem w klatce. Kiedy niekwestionowany autorytet w stadzie zaczął wydobywać banany z pojemnika, pozostałe małpy z uwagą przyglądały się jego działaniom. Wkrótce wszystkie zwierzęta bez trudu były w stanie dostać się do pożywienia.

Kompetencje i pozycja

To doświadczenie może być kluczem do zrozumienia istoty autorytetu również u ludzi i to nawet w tak wyrafinowanych obszarach działalności jak nauka. Uderzające jest to, że małpy nie próbowały nawet naśladować osobnika, który posiadał wiedzę, lecz nie miał wystarczającej pozycji społecznej, aby stanowić dla innych autorytet. W tym wypadku można by dojść do wniosku, że mechanizm naśladowania autorytetu jest nieprzystosowawczy. I rzeczywiście, może się takim wydawać w klatce, gdzie występuje daleko posunięta ingerencja badacza w naturalny tryb funkcjonowania stada. Prawdopodobnie w naturalnych warunkach naśladowanie osobników stojących nisko w hierarchii jest rzeczywiście nieprzystosowawcze. Na szczycie hierarchii stoją zwierzęta, których nie tylko siła i sprawność, lecz także wiedza i zdolności uczenia się są dużo wyższe od przeciętnych. Wysokie kompetencje zapewniają im odpowiednią pozycję społeczną, weryfikowaną ciągle przez panujące wokół warunki środowiska, które zdzierają wszelkie pozory i fałsz. W ten sposób owe dwa składniki autorytetu, jakimi są kompetencje i pozycja zlewają się w jedno, a podążanie za osobnikiem dominującym jest równoznaczne z naśladowaniem najbardziej kompetentnego.

A jednak badaczom przeprowadzającym eksperyment z małpami udało się oddzielić owe dwa składniki i pokazać, że w sztucznych warunkach, w których do głosu dochodzą inne czynniki niż tylko te naturalne, priorytetem staje się pozycja, nie kompetencje. Środowisko, które człowiek przekształcił

i dostosował do własnych potrzeb, podobnie jak klatka, w której przeprowadzano te wiele mówiące eksperymenty, już dawno przestało być probierzem doświadczenia i wiedzy. Dzisiaj największe wpływy na pozostałych mają celebryci – ludzie znani z tego, że są znani i wyróżniający się niemal wyłącznie umiejętnością utrzymywania się w centrum uwagi innych, a mimo to podążamy za nimi równie bezrefleksyjnie, jak gdyby posiadli wiedzę kilkudziesięciu poprzedzających ich pokoleń. To oni mają znacznie większy wpływ na to, czy tysiące rodziców zaszczepi swoje dzieci niż większość profesorów medycyny. To oni, wespół z niedouczonymi politykami, a nie profesorowie genetyki czy biologii, będą decydować o tym, czy żywność GMO rozwiąże problem głodu na świecie. Zmiany klimatyczne, których doświadczamy, jednoznacznie pokazują, jak potraktowaliśmy tych z nas, którzy posiadli samą tylko wiedzę.

Obluda świata akademickiego

Jak to się jednak wszystko ma do nauki, jedynej formy ludzkiej działalności, która powstała w wyniku nieustannego doskonalenia metod przeciwdziałania ludzkiej tendencji do samooszukiwania się? Niestety, nie jest ona w tym względzie żadnym wyjątkiem. Pomimo tego, że większość przedstawicieli świata nauki pewnie chętnie zgodzi się ze stwierdzeniem, że nie ma w niej miejsca na demokrację i nierzadko jednostka ma więcej racji niż ogół, to jednak woźny uniwersytetu, który zdobył wiedzę i na jej podstawie sformułował trafne twierdzenie, nie ma szans w rywalizacji z profesorem, który ma pustą głowę, ale potrafił, podobnie jak celebryta, rozegrać swoją karierę tak, aby znaleźć się w centrum uwagi akademickiego świata i to za nim przedstawiciele owego świata będą podążać.

Nie są to tylko puste stwierdzenia zgorzkniałego obserwatora obludy akademickiego świata. Wskazują na to twarde dane gromadzone systematycznie od lat przez zespół badaczy z MIT testujących pod kierownictwem Pierre'a Azoulaya stwierdzenie Maxa Plancka, który powiedział kiedyś, że: „Nowa prawda naukowa z reguły nie zaczyna odnosić sukcesu dlatego, że jej oponenti zostają przekonani, ale dlatego, że oponenti ci stop-



Rys. Sławomir Makal

niewo wymierają, a młode pokolenie zaznaja się z tą prawdą od początku”. Wyniki kolejnych opracowań publikowanych pod znamienym tytułem *Does Science Advance One Funeral at a Time?* przynoszą ponurą odpowiedź: „Tak, pogrzeb kolejnego naukowego autorytetu zapewnia postęp nauki, a najlepsze co dla owego postępu mogą oni zrobić to umrzeć”.

Analizy zespołu z MIT pokazują, że kiedy umierają naukowe gwiazdy, w dziedzinach, w których pracowały, obserwowany jest wzrost publikacji autorstwa badaczy, którzy wcześniej nie współpracowali ze zmarłymi – średnio o 8,6%. Mało tego, prace publikowane przez naukowców spoza kregów autorytetów mają znacznie większy wpływ na całą dziedzinę i są częściej cytowane niż badania uczonych skupionych wokół gwiazd. Azoulay twierdzi, że postępu nauki nie hamuje samo istnienie naukowych autorytetów, lecz to, że po dotarciu na szczyt mają oni tendencję do zbyt długiego pozostawania tam w otoczeniu wierzących uczniów. Przy rosnącej średniej długości życia i średniej długości aktywności zawodowej nie wróży to nauce najlepiej.

Samiec pod pantoflem

Czy istnieje zatem sposób, aby bezpiecznie oddzielić od siebie nierozzerwalnie związane ze sobą składniki autorytetu, jakimi są kompetencje i towarzysząca im pozycja społeczna? Wygląda na to, że tak, choć jest to mało znany wynalazek ludzkości pochodzący z okresu, kiedy żyliśmy w plemionach zbierackich. Najtrafniej opowiada o tym koncepcja antropologa Christophera Boehma, który zwraca uwagę na to, że ocena plemion zbierackich jako żyjących bez jakiegokolwiek hierarchii jest z gruntu błędna. Boehm zasugerował, że wśród poszukiwaczy pożywienia zachowania hierarchiczne nie zanikły, lecz raczej przyjęły odmienną od znanej nam formę. Postawił hipotezę, że kierunek dominacji został w plemionach zbierackich przeorientowany tak, by grupa jako całość trzymała swojego dominującego samca mocno „pod pantoflem”, a nie odwrotnie. Hipotezę tę testował z powodzeniem w wielu różnych społecznościach z całego świata uznawanych za egalitarne. Tak więc, jego zdaniem, ludzie nie utracili charakterystycznej dla dużych czelkoksztalnych dyspozycji do zachowań dominacyjnych, lecz raczej wykorzystali ją w odmienny sposób.

Badania Boehma, prowadzone na wielkiej próbie zbieraczy pożywienia i członkach pierwotnych plemion, pokazały wiele ciekawych prawidłowości, ale szczególnie jedna z nich jest cenna na potrzeby naszej analizy. Okazało się, że sankcje moralne są specyficznym narzędziem neutralizowania tendencji dominacyjnych w grupach uznawanych za egalitarne. Umiejętność podporządkowania się, która decyduje o obniżeniu poziomu hierarchiczności grup, została scharakteryzowana przez niego jako „dominacja pionków”. Boehm kładzie nacisk na to, że charakterystyczne dla poszukiwaczy pożywienia tłumienie indywidualizmu i tendencji formowania hierarchii są zasadniczo świadome i zamierzone. Jak jednak, tłumiąc tendencje hierarchiczne, nie wylać dziecka z kąpielą i nie usunąć ze stada osobników o ponadprzeciętnych kompetencjach?

Zdaniem Boehma, egalitarianie, oceniając jakiegokolwiek użycie władzy poza własną rodziną jako moralnie nieprawne i filozoficznie definiując polityczne relacje pomiędzy dorosłymi lub przynajmniej pomiędzy dorosłymi mężczyznami, głowami rodzin, jako „równe”, jednocześnie rozpoznają wartość jednostek i aktywnie zachęcają indywidualną rywalizację w obszarach kompetencyjnych, takich jak polowanie czy walki plemienne. Często rozpoznają „lidera grupy” i obdarzają go specjalnym statusem tak długo, jak długo nie dochodzi do nadużycia władzy. Potrafią zatem podporządkować się ekspertowi podczas polowania lub walki, ale nie dość, że nie nadają mu statusu przywódcy, to jeszcze intensywnie tłumią wszelką próbę dominacji.

Autorytety konserwują stan rzeczy

Czy w nauce ma miejsce „dominacja pionków”? Jestem bardzo sceptyczny, choć nie tracę nadziei. Mój sceptycyzm nie ma źródeł wyłącznie w fakcie, że wśród przedstawicieli najbardziej samokrytycznej dziedziny działalności człowieka nie słabnie uwielbienie dla gronostajów, berel, łańcuchów, pierścieni, biletów, tóg i rytuałów przesiąkniętych średniowieczną hierarchicznością, a kulturowanych z tak ogromnym namaszczeniem do dzisiaj. Moje wątpliwości biorą się głównie z tego, że w nauce, a w szczególności w dziedzinie, którą znam najlepiej, w psychologii, z niemożliwością graniczy odebranie autorytetu naukowemu celebrycie, który okazał się oszustem. Jednocześnie zniszczenie i strącenie w otchłań niebytu młodego niepokornego naukowca, który wskazuje na błędy autorytetów, a nie zbudował sobie jeszcze pozycji, nie stanowi najmniejszego problemu.

Kryzys w nauce, o którym otwarcie mówi się od kilku już lat, nie powstał na początku XXI wieku. W samej tylko psychologii Jacob Cohen od początku lat sześćdziesiątych nawoływał do opamiętania w zakresie metod testowania hipotez zerowych, które dzisiaj dopiero zaczyna się dostrzegać jako problematyczne. W tym samym czasie Leroy Wolins i kilku jego następców zainicjowali dyskusję na temat dostępu do danych surowych pochodzących z badań i pomimo upływu ponad pół wieku wielu uczonych otwarcie wyraża swoją wrogość w stosunku do tych propozycji. Od czasu wielkiej afery sir Cyrila Burt'a w latach siedemdziesiątych systematycznie co parę lat ujawniane są oszustwa psychologów fabrykujących swoje dane. O niechęci do publikacji negatywnych wyników badań, którą nazwano „efektem szuflady” i problemach, jakie to powoduje, mówi się co najmniej od lat siedemdziesiątych. Artykuł zatytułowany *The desperate need for replication* John Hunter opublikował już w roku 2000, kilkanaście lat przed ogłoszeniem kryzysu replikacyjnego. W ciągu dziesięcioleci naukowe autorytety w większości konserwowały istniejący stan rzeczy, odrzucając propozycje zmian.

Ale mimo całego pesymizmu pozostała mi odrobina nadziei. Jest nią ruch na rzecz otwartej nauki, którego źródła tkwią w XVII wieku, kiedy społeczne zapotrzebowanie na dostęp do wiedzy naukowej osiągnęło punkt, w którym stało się konieczne, aby grupy naukowców zaczęły dzielić się swoimi odkryciami. W wyniku tego zapotrzebowania powstały pierwsze czasopisma naukowe. Zachowania zwolenników otwartej nauki do złudzenia przypominają zachowania egalitarian próbujących stłumić dominacyjne zapędy osobników alfa. Żądają dostępu do danych surowych, replikują, sprawdzają metodologię, podobnie jak członkowie zbierackich plemion publicznie i otwarcie dyskutują o próbach oszustw. Przenieśli się jedynie z placów swoich wiosek do mediów społecznościowych. Pomimo sięgających XVII wieku korzeni, na razie bywają nazywani „metodologicznymi terrorystami”, „zadymiarzami”, „replikacyjnymi przesła-downcami”, „detektywami danych”, „policją tropiącą fałszywie pozytywne wyniki”. Nadal stanowią mniejszość, ale w ostatnich latach cały czas rośnie ich znaczenie. Jeśli dzięki dominacji pionków ludzkość potrafiła ujarzmić zachowania dominacyjne jednostek, stworzyć i utrzymać społeczności egalitarne przez niemający precedensu w historii rodzaju ludzkiego czas, to być może jest to rozwiązanie, które pomoże nauce znaleźć drogę do odróżnienia autorytetów dysponujących mądrością od tych, które korzystają wyłącznie z zajmowanej pozycji. Uwolnienie mądrości z pułapki autorytetu to jedna z najbardziej palących potrzeb nauki.

Dr Tomasz Witkowski,
psycholog, pisarz, współzałożyciel Klubu Sceptyków Polskich

Richard Holmes

Polskie uniwersytety w międzynarodowych rankingach

Konsolidacja niewielkich uczelni specjalistycznych mogłaby spowodować znaczną poprawę pozycji polskich uniwersytetów w rankingach.

Po falstarcie rankingu Asiaweek z lat 1999-2000 międzynarodowe rankingi uniwersytetów ruszyły na dobre w roku 2003 wraz z Akademickim Rankiem Uniwersytetów Świata (ARWU), opublikowanym przez Uniwersytet Jiao Tong w Szanghaju, a następnie kontynuowanym przez Shanghai Ranking Consultancy. Dwa kolejne rankingi pojawiły się w roku 2004: Ranking Web of World Universities, bardziej znany jako Webometrics, który początkowo mierzył wyłącznie aktywność w sieci, oraz the Times Higher Education Supplement (THES) – Quacquarelli Symonds (QS) World University Rankings (w 2004 r. ranking był wykonany wspólnie przez THE i QS; rankingi rozdzieliły się w 2009 r. – red.), kładący nacisk na badania naukowe i uwzględniające źródła instytucjonalne oraz wskaźniki internacjonalizacji.

Od tamtej pory liczba rankingów, sposobów pomiarów i źródeł danych wzrosła tak bardzo, że zasugerowało to Danielowi Guhrowi, konsultantowi ds. rankingów, określenie „bez-kresne jezioro danych”. Rankingi stały się bardziej złożone i wyrafinowane. Posługują się często technikami statystycznymi, takimi jak standaryzacja i normalizacja obszarowa.

Oprócz rankingów globalnych pojawiły się też specjalistyczne rankingi regionalne, dyscyplinowe (by subject) czy szkół biznesu. Rankingi międzynarodowe wciąż są ukierunkowane głównie na badania naukowe, ale niektóre próbują znaleźć sposób na uchwycenie danych, które mogą mieć znaczenie dla kształcenia czy też dla trzeciej misji (third mission) uniwersytetów, czyli np. trwałości, równości płciowej i otwartego dostępu do danych naukowych. Stały się one też istotne w kształtowaniu państwowej polityki kształcenia akademickiego i strategii instytucji szkolnictwa wyższego.

Chociaż w mediach zazwyczaj mówi się o Wielkiej Czwórcie Rankingów Międzynarodowych (ARWU, THE, QS, *US News* BGU), a niekiedy tylko o wielkiej trójce lub nawet jedynie wielkiej parze rankingów, faktycznie obecnie istnieje ich znacznie

więcej. W spisie IREG jest 17 rankingów globalnych oprócz rankingów regionalnych i wyspecjalizowanych oraz innych zestawień uczelni, dyscyplin naukowych i systemów szkolnictwa wyższego. Od czasu publikacji IREG inventory pojawiły się kolejne rankingi globalne, a niewątpliwie będzie ich jeszcze więcej.

Rankingi i media

Niestety, postrzeganie rankingów globalnych przez media i społeczeństwa ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. The Times Higher Education World University Rankings uznawane są za najbardziej prestiżowe, a przecież mają poważne wady. Mimo uszeregowania jedenastu wskaźników wykorzystywanych do tworzenia porównań w trzy obszerne grupy, wciąż nie są one wzorem przejrzystości. Bazują bowiem na subiektywnych badaniach i niepewnych danych dostarczanych przez instytucje. Nie są też zrównoważone z 30-procentową wagą wskaźnika cytowań, na który wpływać może kilka prac w zbiorowym projekcie międzynarodowym, który podniósł kilka mało znanych pracowników do rangi światowych centrów nauki. Chodzi np. o University of Reykjavik (Islandia), Babol Noshirvani University of Technology (Iran), Aswan University (Egipt) czy Anglia Ruskin University (Wielka Brytania).

Problemy światowych rankingów THE znajdują odbicie w rankingowych losach wiodącego uniwersytetu polskiego. W rankingach za rok akademicki 2014-2015 Uniwersytet Warszawski uplasował się na miejscach 301-350, ale już w roku akademickim 2015-16 spadł na pozycje 501-600. Było to spowodowane wyłącznie dramatycznym spadkiem liczby cytowań, co z kolei wynikało tylko ze zmiany metodologii rankingu. W roku 2015 THE przestał liczyć cytowania prac z ponad tysiącem autorów. Miało to niekorzystny wpływ na Uniwersytet Warszawski, który uczestniczył w badaniach na Wielkim Zderzaczu Hadronów, co zaowocowało wieloma publikacjami wieloautorskimi.

Spadek Uniwersytetu Warszawskiego w rankingach nie miał nic wspólnego z jakimkolwiek problemem samego uniwersytetu. Był po prostu wynikiem poprawiania samego rankingu THE.

Chociaż media poświęcają im niewiele uwagi, obecnie istnieje kilka rankingów globalnych, publikowanych przez uniwersytety i rozmaite instytucje, obejmujących więcej uniwersytetów, szerszy zakres wskaźników, a technicznie równie dobrych lub lepszych niż Wielka Czwórka. Należą do nich np.: National Taiwan University Rankings, University Ranking by Academic Performance publikowany przez turecki Middle East Technical University, the Scimago Institution Rankings (Hiszpania) i ranking CWTS Leiden (Holandia).

Gdzie jesteśmy?

Pozycja uniwersytetów polskich w rankingach międzynarodowych jest bardzo zróżnicowana. W rankingach THE widocznych jest 14 polskich uniwersytetów, w tym 4 w pierwszym tysiącu. Za to w Webometrics ujęto 410 polskich uczelni, w tym aż 10 w TOP 1000. Ranking z najlepszą reprezentacją polskich instytucji to Scimago z 54 uczelniami w pierwszym tysiącu.

Wśród wielkiej czwórki międzynarodowych rankingów – THE, QS, Shanghai i *US News Best Global Universities* – najlepszy do analizowania aktualnej pozycji uniwersytetów uczestniczących w finansowanym przez MNiSW a realizowanym przez Fundację Perspektywy projekcie International Visibility (InfVP)

Polskie uczelnie w ostatnim *US News BGU*:

Uniwersytet Warszawski 286
 Uniwersytet Jagielloński 343
 Politechnika Warszawska 611
 Akademia Górniczo-Hutnicza 635
 Uniwersytet im. Adama Mickiewicza 799
 Uniwersytet Wrocławski 833
 Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu 926
 Politechnika Wroclawska 961
 Uniwersytet Mikołaja Kopernika 984
 Uniwersytet Medyczny w Gdańsku 995
 Uniwersytet Medyczny w Warszawie 1033
 Uniwersytet Śląski 1082
 Uniwersytet Gdański 1096
 Uniwersytet Łódzki 1119
 Politechnika Gdańska 1148
 Politechnika Poznańska 1148
 Politechnika Łódzka 1194
 Uniwersytet Medyczny w Łodzi 1203
 Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego 1221
 Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej 1303
 Pomorski Uniwersytet Medyczny 1303
 Uniwersytet Medyczny w Poznaniu 1312
 Politechnika Śląska 1351
 Politechnika Krakowska 1363
 Uniwersytet Warmińsko-Mazurski 1363
 Śląski Uniwersytet Medyczny 1399
 Uniwersytet Medyczny w Lublinie 1414
 Uniwersytet Rzeszowski 1430
 Politechnika Częstochowska 1445
 Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu 1457
 Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu 1465
 Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie (brak w zestawieniu ogólnym, nauki rolnicze – 214)
 Uniwersytet Medyczny w Białymstoku (brak w zestawieniu ogólnym, medycyna kliniczna – 680)

jest *US News Best Global Universities (BGU)*. THE i QS nie są zbilansowane, ponieważ kładą zbyt duży nacisk na pojedynczy wskaźnik, odpowiednio: cytowania i ankietę akademicką. W rankingu szanghajskim zbyt wiele zależy zaś od zatrudnionych laureatów nagród Nobla i medali Fieldsa, czasami zatrudnionych w dalekiej przeszłości... BGU jest rankingiem opartym wyłącznie na badaniach. W zestawieniu głównym znalazło się 31 polskich uczelni, a do tego dwie w rankingach dyscyplinowych (patrz ramka).

Z *US News BGU* wynika niezbiecie, że polski system szkół wyższych traci w tym rankingu, ale także w innych, z powodu istnienia specjalistycznych uniwersytetów technicznych, ekonomicznych, rolniczych czy medycznych. Konsolidacja niewielkich uczelni specjalistycznych mogłaby spowodować znaczną poprawę pozycji polskich uniwersytetów w rankingach, jak to ostatnio stało się we Francji.

W różnych zestawieniach polskie uczelnie zajmują różne, często bardzo odmienne pozycje. W większości rankingów najlepszy polski uniwersytet jest na pozycji 300-400 lub 400-500. Są jednak wyjątki. Podstawowy wskaźnik w rankingu leideńskim – całkowita liczba publikacji – wywindował Uniwersytet Jagielloński na pozycję 247; w dalekowschodnim rankingu GreenMetric na miejscu 160 znalazł się Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, a moskiewski Three Missions University Rankings usytuował Uniwersytet Warszawski na pozycji 113. Z drugiej strony żaden z polskich uniwersytetów nie przekracza pozycji 600-800 w rankingu THE.

Różne rankingi mają odmienne metodologie i stosują różne wskaźniki. Na przykład wśród trzech wskaźników stosowanych w rankingu THE znajdują się przychody z gospodarki (industry income). Ranking QS przyznał aż 50% wagi ankietom dotyczącym reputacji instytucji. Scimago uwzględnił patenty, a arabskie zestawienie CWUR docenia osiągnięcia absolwentów. Warto dokładnie przyjrzeć się treści i metodologii wszystkich tych rankingów, zanim posłużymy się nimi w celu ewaluacji lub analizy porównawczej uczelni.

Polskie uniwersytety: mocne i słabe strony

Polska ma pewne walory liczące się w rankingach międzynarodowych. Posiada doskonały system szkół średnich, na co dowodem są świetne wyniki PISA i innych ustandaryzowanych testów międzynarodowych. Bieżące dane wskazują, że posiada wystarczający zasób nauczycieli, co wykazują statystyki proporcji studentów do wykładowców (SSR). Ma także związki kulturalno-gospodarcze ze Wschodem, ze światem anglojęzycznym oraz powiązania wewnątrz Unii Europejskiej. W przyszłości prawdopodobnie zaowocują one powstaniem efektywnych partnerstw i sieci badawczych.

Z drugiej jednak strony rankingi pokazują niedofinansowanie polskich uniwersytetów oraz ograniczony dostęp do studiów doktoranckich. Reputacja polskich uczelni jako światowych ośrodków badawczych nie jest zbyt wysoka, wypadają one za to całkiem dobrze na poziomie regionalnym.

Jedynym wyjątkiem od słabej międzynarodowej reputacji polskich uniwersytetów jest niedawno nakręcony brytyjski film *Ostatni pasażer (The Last Passenger)*, w którym porwany pociąg ratuje kilku bohaterów, a jednym z nich jest inżynier po Politechnice Gdańskiej.

Polska a rankingi

Dla Polski, jak i dla każdego innego kraju, nierozsądne byłoby skupianie się na pojedynczym rankingu. Niektóre z nich zmieniły metodologię i prawdopodobnie nadal będą to robić, co może prowadzić do nieoczekiwanych awansów i spadków pozycji ocenianych instytucji. THE zapowiedział kolejną wersję 3.0.



Każdy uniwersytet lub system kształcenia akademickiego, chcący wziąć udział w rankingach, powinien mieć na uwadze to, że faworyzują one pewnego rodzaju instytucje. Ranking szanghajski na przykład wyżej od innych ceni badania medyczne, za to całkowicie ignoruje sztukę i nauki humanistyczne. Scimago zawiera dane o patentach, co wzmacnia szanse uczelni technicznych. Obecna metodologia THE daje ogromne przywileje instytucjom biorącym udział w projektach zbiorowych. QS stosuje kilka kanałów pozyskiwania respondentów ankiet akademickich i pracodawców. Jednym z nich jest lista potencjalnych respondentów dostarczona przez uniwersytety. Mogą one zatem wskazać takich, którzy chętnie wesprą je w swoich odpowiedziach.

Wytczne dla polskich uniwersytetów starających się o poprawę pozycji międzynarodowej

Po pierwsze, trzeba mieć świadomość, że poprawa widoczności międzynarodowej będzie czasochłonna. Szybkie rozwiązania, takie jak rekrutacja kadry z wysokimi cytowaniami lub udział w wysoko produktywnych projektach, mogą się okazać nieskuteczne, zwłaszcza w przypadku niezapowiadanych zmian w metodologii rankingów.

Po drugie, przed rozpoczęciem walki o wyższą pozycję w rankingach międzynarodowych warto rozważyć udział w rankingach regionalnych lub specjalistycznych, takich jak THE Europe Teaching Rankings, ranking zatrudnienia absolwentów, stworzony przez QS, indonezyjski GreenMetric lub rankingi szkół biznesu.

Po trzecie, uniwersytety powinny również brać pod uwagę koszt udziału w rankingach. *US News*, *QS* i *THE* wymagają od uniwersytetów przygotowania i podania danych, co może być czasochłonne, zwłaszcza gdy *THE* żąda informacji o dziesięciu dyscyplinach. Czasami może to oznaczać potrzebę zatrudnienia trojga lub czworga pracowników specjalnie do obsługi rankingów.

Po czwarte, rozsądne jest monitorowanie wszystkich rankingów międzynarodowych pod kątem danych, które można wykorzystać do ewaluacji wewnętrznej lub reklamy.

Po piąte, uniwersytety powinny dopasować swoje profile oraz słabe i mocne strony do metodologii konkretnych rankingów. Uniwersytety, których mocną stroną są badania naukowe w dziedzinie medycyny, mogą myśleć o udziale w rankingu szanghajskim, bo tam mają większe szanse.

Po szóste, nie jest dobrym pomysłem skupiać się jedynie na pojedynczym rankingu lub traktować jakikolwiek ranking jako miarę doskonałości.

Tłumaczenie: Agnieszka Mizera

Richard J. Holmes jest światowej klasy analitykiem w zakresie rankingów akademickich, wydawcą „University Ranking Watch”, a jesienią 2019 uczestniczył jako ekspert zewnętrzny w audycie rankingowym polskich uczelni, realizowanym przez Fundację Edukacyjną Perspektywy w ramach „International Visibility Project” (program DIALOG). Artykuł jest rozwinętą wersją wystąpienia autora podczas konferencji „Polskie uczelnie w światowej perspektywie – Rankingi a strategiczne zarządzanie szkołą wyższą”, która odbyła się w grudniu 2019 r.

Nie wiem, ale...

Pewien prominentny polityk z najwyższej półki kiedyś powiedział: „nie wiem, czy ocieplenie klimatu jest następstwem działalności człowieka”, dając przy tym do zrozumienia, że tak naprawdę w to nie wierzy. Pewnie lepiej by było, żeby zapytał kogoś, kto się na tym zna, zamiast ufać swojej niewiedzy. Głupota nie polega na tym, że się czegoś nie wie, lecz na przeświadczeniu, że to, o czym się nie wie, nie istnieje.

W czasach lawinowego przyrostu wiedzy świadomość tego, czego się nie wie, wydaje się niekiedy bardziej użyteczna od erudycji. Konia z rzędem temu, kto zapamiętał więcej niż 10% tego, czego nauczył się w szkole z matematyki, fizyki, biologii, geografii, historii itp., o ile nie korzysta z zasobów tych przedmiotów nauczania w pracy lub życiu codziennym. Nadto, w wyniku postępu, wiedza się dezaktualizuje. Dlatego czasami lepiej uzupełniać ją na bieżąco z powszechnie dostępnych źródeł, niż gromadzić na zapas.

We wstrząsającym reportażu o uczniu, który popełnił samobójstwo, ponieważ zamiast oczekiwanej za wypracowa-

nie szóstkę dostał piątkę („Gazeta Wyborcza” z 18.12. 2019 r.), czytamy m.in.: „Projekt szkoły, jaką znamy, powstał dwieście lat temu w Prusach. Do Polski dotarł sto lat później. Od tego czasu na świecie zmieniło się wszystko, ale główne założenia systemowe w edukacji pozostały takie same”.

Do najbardziej służebnych wobec człowieka dziedzin poznania można zaliczyć nauki o zdrowiu i nauki o edukacji. Postęp, jaki dokonał się w ciągu ostatnich stu lat w naukach o zdrowiu, może być porównywalny jedynie z rozmiarami stagnacji w naukach o edukacji.

Żeby uzdrowić chronicznie chorą u nas służbę zdrowia, wystarczy zwiększyć na nią nakłady finansowe i ulepszyć jej organizację, tak aby dostęp do nowoczesnych zdobyczy nauk o zdrowiu i leczeniu chorób był bardziej powszechny i mniej odroczony w czasie. Na sanację systemu oświaty nie wystarczą żadne środki finansowe ani dokonania logistyczne. Potrzebny jest nowy paradygmat w naukach o wychowaniu i nauczaniu, który wciąż czeka na swych odkrywców.



Fot. Stefan Ciecchan

Zbigniew Drozdowicz

Akademickie wolności

Nowe regulacje prawne nie sprawiają, iż rektorzy będą się rozliczać ze swoich poczynań jedynie przed ministrem i własnym sumieniem. Sprawiają one jednak, że zarówno przy podejmowaniu przez nich określonych decyzji, jak i rozliczaniu z ich efektów ograniczona została rola tradycyjnych gremiów uczelnianych.

Akademickie wolności przypomina się zwykle wówczas, gdy są poważnie zagrożone. Na pytanie, czy obecnie mamy do czynienia z taką sytuacją, nie mógłbym udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Jeśli jednak ktoś utrzymywałby, że nie są one niczym zagrożone lub też, że zagrożenie jest jedynie potencjalne, to dawałby świadectwo braku rozeznania w realiach akademickiego życia. Moim zdaniem jest ono jak najbardziej realne.

Zagrożenia w przeszłości

Odpowiedź na pytanie, co należy do akademickich wolności, znaleźć można nawet w takich popularnych wydawnictwach jak *Encyklopedia Britannica* – w jej świetle zalicza się do nich „wolność nauczycieli i studentów do nauczania, studiowania i pogłębiania wiedzy i badań bez nieuzasadnionej ingerencji lub ograniczeń wynikających z prawa, przepisów instytucjonalnych lub nacisków społecznych”. W uzasadnieniu stwierdza się, że służy to zarówno społeczeństwu, jak i rozwojowi wiedzy. Sprawa zaczyna się komplikować w momencie, gdy przechodzimy od ogólnych określeń do konkretnych związanych z realizowaniem wolności w konkretnym miejscu i czasie. Okazuje się bowiem, że występowały i występują między nimi spore różnice, a wpływ na to miały zarówno istotnie różniące się realia akademickiego życia, jak i jego społecznego otoczenia.

Jacques Le Goff w książce pt. *Inteligencja w wiekach średnich*, przypominając początki uniwersytetów europejskich, wskazuje m.in. na ich walkę z władzami kościelnymi („ludzie uniwersytetu to klerkowie, miejscowy biskup uważa ich za swoich podwładnych”) oraz z władzami świeckimi („toczy się ona przede wszystkim z władzą królewską, która usiłowała położyć rękę na korporacjach, które przynosiły bogactwo i zapewniało prestiż jej państwu”). Czasami przybierała ona tak dramatyczny charakter jak w 1229 roku w Paryżu; doszło wówczas „do starć między studentami a królewską policją. W bójce z pachołkami królewskimi pada wielu studentów”. Podobne wydarzenia miały miejsce w Oksfordzie za panowania Henryka III (zakończyły się kapitulacją króla). Ludzie tych i innych uniwersytetów walczyli nie tylko o swoje wolności w zakresie programów kształcenia i prowadzenia badań, ale także pobierania opłat za studia, wynagradzania profesorów, ustalenia czynszów, a nawet cen żywności (w tych ostatnich przypadkach „uniwersytety walczyły również z władzami municypalnymi”). Walczyły i niejednemu wywalczyły, żeby tytułem przykładu przywołać pozba-

wienie w 1213 roku na uniwersytecie paryskim kanclerza (był on desygnowany przez miejscowego biskupa) prawa do udzielania licencji, tj. zezwolenia na nauczanie.

Uniwersytety, wychodząc z tych walk zwycięsko, stopniowo umacniały swoje wolności, rozumiane jak „uprawnienia do...”. Przynajmniej do pewnego czasu przynosiło to dobre efekty, a nawet sprawiło, że niektóre z nich stawały się swoistymi świątyniami wiedzy i dzieliły się nią ze wszystkimi, którzy pukali do ich bram. Stosunkowo wcześniej pojawiły się jednak również negatywne strony wywalczonych wolności. Le Goff pisze, że profesorowie uniwersytetów w wieku XIV i XV „z coraz większą chciwością żądali od studentów opłat za naukę”, co sprawiło, że „przestali napływać na uniwersytety ubodzy studenci”. Prawdziwy jednak upadek przeżywały one w XVIII stuleciu; nie tylko zresztą w Europie kontynentalnej, lecz także na Wyspach Brytyjskich. Okazało się bowiem wówczas, że najpoważniejszym zagrożeniem dla uniwersytetów nie są siły zewnętrzne, lecz wewnętrzne, w tym ta część profesury, która bogato wyposażona w wolności „w swoim sumieniu rozgrzeszała się z trudu czytania, myślenia i pisania” oraz wykładania i egzaminowania, a swój czas wypełniała plotkami i „pijaństwem na umór” (to opinia ówczesnego absolwenta Oksfordu Edwarda Gibbona). W drugiej połowie XIX stulecia w wielu krajach zachodnich uczelnie wprowadziły reformy, dzięki którym nie tylko kadra zmuszona była poważniej podchodzić do swoich obowiązków, ale zaczęto je w jakiejś mierze egzekwować także od studentów.

Zapatrzenie w Amerykę

Nie jest to wprawdzie to samo zapatrzenie w Amerykę, które miało miejsce w minionych stuleciach i które sprawiło, że ze Starożytności do Nowego Świata zaczęły napływać liczne grupy poszukujące lepszych warunków do życia, jednak pozostało z niego m.in. przekonanie, że stanowi ona oazę wolności i otwartych możliwości. Co więcej, traktowana jest niejednokrotnie jako wzorzec do naśladowania i upowszechniania w innych częściach świata. Dotyczy to również amerykańskich uczelni.

Rzecz jasna, zarówno w przeszłości, jak i obecnie, amerykańska rzeczywistość okazywała się i okazuje daleka od wyidealizowanego obrazu i rodzi nie tylko rozczarowanie, lecz także kontestację. Pojawia się ona m.in. na kartach książki Allana Blooma pt. *Umysł zamknięty*. W jej podtytule stwierdza się, że „amerykańskie szkolnictwo wyższe zawiodło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów”, natomiast na

wielu stronach wykazuje się, na czym to „zubożenie” polega (i przy okazji idealizuje szkolnictwo wyższe Francji czy Wielkiej Brytanii).

Również inni znawcy realiów amerykańskiego szkolnictwa wyższego wyrażają swoje wątpliwości co do doskonałości amerykańskich rozwiązań. Wskazuje na nich m.in. Zbyszko Melosik, autor książki *Uniwersytet i społeczeństwo*. „Dyskursy wolności, wiedzy i władzy”, o których się mówi w jej podtytułach, dotyczą zarówno procedur awansu akademickiego, jak i relacji uczelni z otoczeniem społecznym (w szczególności komercjalizacji edukacji akademickiej oraz prowadzonych badań naukowych i ich wyników). Jednym z generalizujących wniosków pojawiających się na kartach tej książki jest stwierdzenie, że „uniwersytet staje się zaledwie jedną z wielu instytucji społecznych, a jego działania postrzegane są w kategoriach dostarczania usług i produktów”. Można zapytać: co w tym złego? Odpowiedź na to pytanie znajduje się również w tej książce.

W opinii Roberta Wintera „nauczyciel akademicki przestaje być mistrzem czy mędrcom” i staje się „prostym przekąźnikiem pożądanego wiedzy i kompetencji”, a osiągnięcia uczonych oceniane przestają być w kategoriach obiektywnej wiedzy i stają

się „towarem” ocenianym w kategoriach rynkowych. Nawet w takich realiach można znaleźć jakieś wolności, tyle tylko że mają one już mało wspólnego z akademickimi wolnościami, natomiast wiele z gospodarką kapitalistyczną i z gospodarowaniem kapitałem zorientowanym na uzyskiwanie możliwie jak największego i najbardziej wymiernego zysku.

Nasuwa się pytanie: skoro z akademickimi wolnościami w Ameryce jest tak źle, to dlaczego jest tak dobrze, że amerykańscy uczeni notorycznie uzyskują prestiżowe nagrody i wyróżnienia za swoje osiągnięcia, a amerykańskie uczelnie od lat zajmują czołowe miejsca w różnego rodzaju rankingach? Odpowiedź nie jest trudna. Wystarczy się przyjrzeć nieco uważniej temu, jakie warunki pracy i płacy oferuje się tym uczonym, ile swobody pozostawia się im w podejmowaniu i realizowaniu problemów badawczych oraz jak wygląda swoboda na uczelniach, które zajmują czołowe miejsca. Rzecz jasna, w jednym i drugim przypadku jest to elita. Natomiast amerykańskie szkolnictwo wyższe (liczące kilka tysięcy uczelni) i zatrudnieni na nich wykładowcy w swojej zdecydowanej większości nie tylko nie prowadzą badań na światowym poziomie, ale nawet się od nich tego specjalnie nie oczekuje.

Fot. Sławomir Makal



Można dyskutować, czy akademickie wolności są jedynie dla akademickiej elity, czy również dla tych, którzy w sztuce prowadzenia badań naukowych na wysokim poziomie są jedynie stacjami. Swoją rolę w dyskusji ograniczę do stwierdzenia, że na akademickie wolności trzeba sobie zasłużyć wieloletnią i efektywną pracą i nie powinni na nie liczyć ci, którzy do wypełniania zawodowych obowiązków się nie przykładają.

Krajowe realia

Dzisiejsze realia akademickie w Polsce pod niejednym względem różnią się od tych sprzed kilkadziesiąt lat temu. Sporo jednak z nich pozostało w myśleniu różnych grup społecznych z okresu, kiedy lud pracujący miast i wsi budował „światłą” przyszłość, a ci, którzy go nie wspierali lub – co gorsza – utrudniali mu realizację tego zadania, zaliczani byli do wrogów. W tym gronie znalazła się m.in. część społeczności akademickiej, która miała odwagę dopominać się o swoje wolności. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych minionego stulecia była to grupa uniwersyteckich profesorów. Natomiast w 1968 roku była to już znacznie liczniejsza grupa studentów, którzy zapisali w najnowszej historii Polski kartę pt. „wydarzenia marcowe”.



Wielką batalię o autentyczne wolności (nie tylko zresztą akademickie) zapoczątkowały jednak dopiero wydarzenia sierpniowe 1980 roku na wybrzeżu. Na uczelniach nie przebiegały one aż tak dramatycznie, jak w przypadku wystąpień robotniczych, jednak ich następstwa odczuły boleśnie nie tylko tzw. docenci marcowi (osoby zawdzięczające swoją pozycję akademicką nie tyle osiągnięciom naukowym, ile ideowym), ale także Bogu ducha winna część kadry, którą skusiły uczelniane posady rektorów, dziekanów i kierowników innych jednostek organizacyjnych. Doszło bowiem wówczas do generalnej wymiany władz, a przy wyborze nowych kierowano się zasadą: im jakaś część społeczności akademickiej jest liczniejsza, tym ma większy wpływ na realia akademickie. Taką grupę stanowili nie tylko studenci, ale także pracownicy uczelni, którzy zorganizowali się w nowe związki zawodowe i ich głos w niejednym przypadku miał istotny wpływ na to, kogo powoływano na uczelniane urzędy. Miało to wprowadzić sporo wspólnego z demokracją, jednak nie za wiele z akademickimi wolnościami, które przez wieki broniły uczelni przed zależnością nie tylko od polityków i Kościoła, ale także od korporacji zawodowych, które kierowały się przede wszystkim swoim materialnym interesem.

Rzecz nie w tym, że mam zasadnicze zastrzeżenia do zasad demokratycznego życia społecznego, lecz w tym, że na pierwszym miejscu stawia się w nich zasadę równości, a społeczność akademicka nie była i nie jest wspólnotą osób równych, zarówno w zakresie kompetencji i umiejętności jej członków, jak też osiągnięć naukowych i dydaktycznych.

Dzisiaj po szalejącej na początku lat osiemdziesiątych minionego stulecia uczelnianej demokracji pozostały wspomnienia, ale i uprawnienia, jak np. obecność przedstawicieli związków zawodowych w uczelnianych gremiach przedstawicielskich i doradczych oraz ich występowanie z głosem doradczym lub opiniującym przy omawianiu spraw pracowniczych czy przyjmowaniu nowych rozwiązań organizacyjnych. Nie inaczej jest z przedstawicielami studentów w tych gremiach. Wprowadzie obecnie stanowią oni 20% składu, jednak w niejednym przypadku ich głos jest rozstrzygający „za” lub „przeciw”; rzecz jasna, byłoby dobrze, aby był to głos rozsądku.

Stosunkowo liczne obawy wyrażane są obecnie również w związku z zapisami Ustawy 2.0, które oznaczają wyraźne wzmocnienie uprawnień rektora. Nie można powiedzieć, że wraca „stare”, bowiem w okresie przewagi ideologii nad zdrowym rozsądkiem rektor miał wprowadzić sporą władzę nad podległą mu społecznością uczelnianą, ale zależny był nie tylko od ministra, który powoływał go na urząd (i mógł go jednym pociągnięciem pióra odwołać), ale także od partii, która była przekonana, że wie najlepiej, jak urząd powinien być sprawowany. Nowe regulacje prawne nie sprawiają, iż rektorzy będą się rozliczać ze swoich poczynań jedynie przed ministrem i własnym sumieniem. Sprawiają one jednak, że zarówno przy podejmowaniu przez nich określonych decyzji, jak i rozliczaniu z ich efektów ograniczona została rola tradycyjnych gremiów uczelnianych (takich np. jak rady wydziałów). Wprowadzie pojawił się na uczelniach nowy organ opiniodawczy, tj. rada uczelni, ale ma ona dosyć mocno ograniczone uprawnienia. Podobnie zresztą jest z powoływanymi na uczelniach (niekiedy dosyć licznie) innego rodzaju radami. Nie chciałbym już dzisiaj twierdzić, że będą one miały jedynie dekoracyjny charakter. Takie niebezpieczeństwo będzie jednak istniało dopóty, dopóki ich opinie nie nabiorą mocy wiążącej dla rektora.

Tak czy inaczej już w pierwszym roku obowiązywania Ustawy 2.0 szerokie uprawnienia rektora wywołują „iskrzywienie” w środowisku uczelnianym. Trudno się zresztą temu dziwić, bowiem mało kto skłonny jest oddać bez walki swoje wolności.

Bee Gees do symulatorów

Symulacja jest metodologią nauczania, procesem kształcenia wykorzystującym sprzęt edukacyjny – od prostych trenażerów, służących do nauki pojedynczych zadań, po fantomy zaawansowane, tzw. symulatory pacjenta, wiernie naśladowujące człowieka i jego parametry.

Nową metodą kształcenia kadr medycznych jest symulacja medyczna. Tę właśnie metodę wdrożyła Państwowa Uczelnia Stanisława Staszica w Pile, tworząc Centrum Symulacji Medycznych. Zgodnie z zaleceniami Krajowej Rady Akredytacyjnej Szkół Pielęgniarek i Położnych realizowane są tam wszystkie zajęcia kształtujące umiejętności praktyczne w ramach podstaw pielęgniarstwa, badań fizykalnych oraz podstaw ratownictwa medycznego i pielęgniarstwa w zagrożeniu życia. Dodatkowo minimum 5% godzin w ramach zajęć praktycznych uczelnia realizuje w Centrum Symulacji Medycznych.

Symulacja jest metodologią nauczania, procesem kształcenia wykorzystującym sprzęt edukacyjny – od prostych trenażerów, służących do nauki pojedynczych zadań, po fantomy zaawansowane, tzw. symulatory pacjenta, wiernie naśladowujące człowieka i jego parametry. Pozwala ona na trening procedur i umiejętności praktycznych bez konieczności angażowania pacjenta. Ułatwia wcielenie się studenta w określoną rolę i odgrywanie jej w wyreżyserowanym zdarzeniu dzięki wykorzystaniu posiadanej wiedzy, umiejętności i wyobraźni. To wielotorowa forma nauczania: student musi zdobyć wiedzę teoretyczną, umiejętności manualne, a także umiejętności miękkie pozwalające na efektywny kontakt z pacjentem. Symulacja medyczna staje się kluczowym elementem nowoczesnego kształcenia przyszłej kadry medycznej, a jej strategicznym zadaniem jest upraktycznienie studiów.

Od lotnictwa do medycyny

Początki symulacji medycznej jako metody kształcenia wywodzą się z lotnictwa. Piloci już od dawna nie siadają za sterami samolotu bez wcześniejszych ćwiczeń w symulatorach lotów. Wprowadzenie technik symulacyjnych do ich szkolenia zaowocowało radykalnym ograniczeniem incydentów, katastrof lotniczych i stało się bodźcem do wprowadzenia podobnych metod w edukacji medycznej.

Praca studenta z rzeczywistym pacjentem w realnej sytuacji klinicznej obarczona jest przypadkowością i nie gwarantuje opanowania umiejętności praktycznych w wymaganym zakresie. Jedną z metod nauczania medycyny, które powinny poprzedzić kontakt z pacjentem i zapewnić kompleksowe opanowanie różnych czynności i procedur, są właśnie symulacje. Metoda ta wypełnia zatem lukę między teorią i praktyką. Zapewnia także inne korzyści, pozwalając na bardziej przemyślane i powtarzalne ćwiczenie umiejętności z wykorzystaniem bezpośredniej

informacji zwrotnej udzielanej przez elektronicznego pacjenta. Symulacja jednak nigdy nie powinna być traktowana jako alternatywa dla rzeczywistych warunków pracy z pacjentem, tylko jako dodatek do nauki klinicznej. Symulator to jednak tylko „pacjent elektroniczny” – pozbawiony zapachu, intonacji, gestykulacji, mimiki, spojrzenia, tuszy, fryzury itd.

Wady i zalety symulacji

Przed przystąpieniem do projektowania Centrum Symulacji Medycznych zadaliśmy sobie pytania: Dlaczego potrzebujemy symulacji medycznej w kształceniu pielęgniarek, skoro wcześniejszy model nauczania funkcjonował poprawnie przez tyle lat? Dlaczego musimy szkolić studentów kierunku pielęgniarstwa na fantomach, kiedy mamy tak wielu pacjentów? Czy pielęgnacji chorego można się nauczyć na symulatorach?

Odpowiedzi były dość oczywiste. Główną barierą podczas odbywania studiów, na którą napotykał nasi studenci, jest brak możliwości przećwiczenia na zajęciach praktycznych rzadkich przypadków klinicznych oraz częste odmowy pacjentów poddania się czynnościom medycznym wykonywanym przez studentów. Symulacja medyczna rozwija się także ze względu na uwarunkowania prawne i związany z nimi coraz trudniejszy dostęp do pacjenta. Chory powinien wyrazić zgodę na badanie i ma prawo odmówienia ich wykonania. Pacjent może się nie zgodzić na obecność studentów podczas przeprowadzania wywiadu, wykonywania badań i innych czynności zabiegowych. To powoduje ograniczenie możliwości udziału studenta w różnych procedurach medycznych, a czasem blokuje nawet możliwość obserwacji klinicznej. Z drugiej strony liczba studentów na kierunkach medycznych rośnie.

W tej sytuacji symulatory sprawdzają się doskonale, zastępując pacjenta wtedy, gdy studenci uczą się podstawowych działań medycznych w stanach zagrożenia życia, czyli takich, których nie można ćwiczyć na człowieku. Wbrew obawom sceptyków, wprowadzenie symulatorów nie powoduje zmniejszenia kontaktu studentów z pacjentami czy zmniejszenia liczby procedur wykonywanych przez studentów pod nadzorem instruktora lub samodzielnie. Jest wręcz odwrotnie – studenci są lepiej przygotowani do wykonywania czynności medycznych, a pacjenci są bardziej skłonni skorzystać z pomocy wyszkolonych już studentów.



Pierwsze efekty symulacji medycznej

Szpital Specjalistyczny im. Stanisława Staszica w Pile, jako wieloprofilowy i wysokospecjalistyczny podmiot leczniczy, od wielu lat uczestniczy w przygotowaniu studentów publicznej uczelni o tym samym imieniu do wykonywania zawodów medycznych. Współpracę tę wzmocniło dodatkowo utworzenie CSM i partnerstwo w zakresie wdrożenia symulacji medycznej w proces kształcenia na kierunku pielęgniarstwo. Program działania został opracowany przy udziale szpitala, a główną ideą współpracy obydwu instytucji stało się zapewnienie placówce wykwalifikowanej kadry pielęgniarskiej. Realizacja wspólnych zamierzeń odbywa się w ramach projektu dofinansowanego ze środków EFS w ramach PO WER. Mimo że przedsięwzięcie jeszcze trwa, efekty projektu i wdrożonej współpracy już widać.

W CSM PUSS w Pile znajduje się sześć pomieszczeń: sala opieki pielęgniarskiej wysokiej wierności oraz sale niskiej wierności – z zakresu ALS, czyli zaawansowanych czynności resuscytacyjnych, z zakresu BLS (podstawowych zabiegów resuscytacyjnych), sala umiejętności pielęgniarskich, sala umiejętności technicznych czy sala egzaminu OSCE, realizowanego w warunkach symulowanych. Kształcenie odbywa się w pracowniach multimedialnych. Wyposażenie CSM jest tożsame z tym, które znaleźć można w szpitalu, a elektroniczni pacjenci wiernie oddają stan chorego. Kształcenie praktyczne w CSM rozpoczyna się w sali niskiej, a następnie przebiega w pośredniej i w końcu wysokiej wierności. Po osiągnięciu efektów uczenia się przypisanych do realizacji w CSM, studenci pielęgniarstwa kontynuują kształcenie w szpitalu.

CSM tworzy wykwalifikowana kadra instruktorów i techników symulacji. Centrum to również kilkadziesiąt scenariuszy medycznych przypadków skomplikowanych i rzadkich, stanowiących podstawę zajęć. Wszystkie scenariusze symulacyjne powstające na uczelni są opiniowane przez kadrę szpitala. Tworząc scenariusz, wykładowca może zaprojektować teoretyczny przebieg symulacji lub skorzystać z własnej praktyki, nadając fantomowi historię choroby konkretnego pacjenta. Symulacja kształtuje umiejętności. Kluczowe staje się przypomnienie sobie wiadomości zdobytych w dotychczasowym kształceniu.

Każde zajęcia z symulacji składają się z teoretycznego wprowadzenia, w tym sprawdzenia wiedzy studentów, następnie realizacji scenariusza oraz omówienia postępowania i wyciągnięcia wniosków edukacyjnych.

Tworzenie scenariuszy, oprócz doświadczenia klinicznego, wymaga sprawnego posługiwania się oprogramowaniem symulatora. Scenariusz do oprogramowania wprowadza zwykle technik symulacji, pod merytorycznym nadzorem instruktora/wykładowcy. Przydatne okazało się stworzenie uniwersalnego wzorca scenariusza. Schemat taki można wypełnić treścią zawierającą wszystkie potrzebne elementy.

Symulacja przyszłości

Ważne jest nauczanie współpracy w zespołach interdyscyplinarnych. Akcje ratunkowe wymagają koordynacji działań kilku grup zawodowych. By ratować życie i zdrowie pacjenta, współpracę podejmują lekarze, pielęgniarki, ratownicy medyczni i wiele innych osób. CSM doskonale rozwija umiejętności pracy zespołowej. Podczas zajęć trzeba się wykazać zdolnością komunikacji z członkami zespołu oraz umiejętnością koordynowania i zarządzania jego pracą. Zainteresowaniem cieszą się zajęcia prowadzone wspólnie przez kadrę szpitala i uczelni.

Z okazji światowych dni zdrowia członkowie Studenckiego Koła Naukowego stworzyli i opublikowali w internecie film pokazujący, jak właściwie wykonywać ucisk klatki piersiowej u osoby dorosłej i dziecka. Pomocny okazał się utwór *Stayin Alive* zespołu Bee Gees.

Gdyby nie powstało CSM, kształcenie pielęgniarek i ratowników medycznych polegałoby głównie na poznawaniu teorii oraz udziale w zajęciach praktycznych na oddziałach szpitalnych. Podczas zajęć w szpitalu udział studentów zwykle ograniczałby się do obserwacji trudnych sytuacji klinicznych. Dzięki zajęciom w CSM problem ten został całkowicie wyeliminowany – studenci są doskonale przygotowani do aktywnego udziału w działaniach zespołu medycznego.

Mgr Anna Zdanowicz, kierownik Centrum Symulacji Medycznych Państwowej Uczelni Stanisława Staszica w Pile

Misjonarze i stratedzy 2

Choć nie jest to recenzja najnowszej gry komputerowej, lecz nawiązanie do mojej publikacji z FA 1/2013, to po siedmiu latach temat powraca z właściwą mu wdzięcznością na gruncie Ustawy 2.0.

Analizę aktualnych prawnych niuansów misji uczelni rozpocznijmy od preambuły, gdyż tam „awansowała” owa misja, z dawnego art. 4 PSW. Dziś: „uczelnie oraz inne instytucje badawcze realizują misję o szczególnym znaczeniu dla państwa i narodu: wnoszą kluczowy wkład w innowacyjność gospodarki, przyczyniają się do rozwoju kultury, współkształtują standardy moralne obowiązujące w życiu publicznym”. Tak więc „wnoszenie”, „przyczynianie się” i „współkształtowanie” to misja o dyskusyjnym – bo zawartym w preambule – znaczeniu normatywnym. Zaś w ustawie właściwej (art. 2) mamy zdefiniowaną misję całego systemu szkolnictwa wyższego i nauki, którego przecież uczelnie, ale i wymienione w art. 7 „instytucje badawcze” (?) – że użyję pojęcia z preambuły – są częścią. Jest tą misją systemu: „prowadzenie najwyższej jakości kształcenia oraz działalności naukowej, kształtowanie postaw obywatelskich, a także uczestnictwo w rozwoju społecznym oraz tworzeniu gospodarki opartej na innowacjach”. Skoro odmiennie zdefiniowano misje w preambule i w dalszej treści ustawy, to jest zbędne, a może i bezpodstawne, odmienne ich definiowanie w statutach uczelni. Choć statut ma (wedle art. 34 ust. 1) określać „zasady organizacji i funkcjonowania uczelni”, to w tym pojęciu wydaje się nie mieścić kreowana na jego poziomie misja, zwłaszcza inna niż ustawowo przewidziana.

Na marginesie warto dostrzec, że „prawda” nie tylko straciła wyraźne znaczenie normatywne, bo z tekstu właściwego (art. 3 ust. 3 PSW), gdzie definiowała misję: „Uczelnie, pełniąc misję odkrywania i przekazywania prawdy poprzez prowadzenie badań i kształcenie studentów, stanowią integralną część narodowego systemu edukacji i nauki”, „awansowała” do preambuły PSWiN, ale odkrywanie prawdy już nie jest istotą misji, a jakby założeniem ją poprzedzającym, zresztą z użyciem zwrotu „dążenie do...” w miejsce dawnego „odkrywania i przekazywania”.

Strategia...

Pojęcia misji i strategii były ważne na gruncie art. 48a ust. 3 PSW, stanowiącego, że: „Komisja dokonuje oceny jakości kształcenia na kierunkach studiów (ocena programowa), mając na uwadze: 1) programy kształcenia, z uwzględnieniem misji i strategii rozwoju uczelni”. Praktyczne znaczenie strategii dziś to m.in. użycie jej jako wzorca oceny PKA (art. 54 ust. 2 pkt 1 i art. 258 ust. 1 pkt 2), która wedle par. 4 ust. 1 pkt. 2 swego statutu przedstawia MNiSW ocenę, m.in.: „związku studiów ze strategią uczelni”, zaś wg zał. 2 do Statutu PKA: „Koncepcja i cele

kształcenia są zgodne ze strategią uczelni...”. Także koszty jej przygotowania i wdrażania mogą powiększać wysokość opłat za usługi edukacyjne, jednak wniosek dowodowy z dokumentacji finansowo-księgowej uczelni zmierzający do wykazania, jaką część opłaty stanowi ten koszt, chyba jeszcze w żadnym sądzie nie padł.

Strategia uczelni wydaje się lepiej prawnie dookreślona, jednak nie jest jasne jej normotwórcze znaczenie w ramach uczelni. Projekt strategii przygotowuje rektor (art. 23 ust. 2 pkt 3), opiniuje rada uczelni (art. 18 ust. 1 pkt 1), a uchwała senat (art. 28 ust. 1 pkt 3). Podobnie sprawozdanie z jej realizacji składa rektor (art. 23 ust. 1 pkt 4), opiniuje rada (art. 18 ust. 1 pkt 6), zatwierdza senat (art. 28 ust. 1 pkt 3). Czy senat może nie uchwalić strategii w ogóle albo dokonać w niej zmian niezgodnych z projektem rektora? Czy rektor powinien najpierw skierować projekt do rady, a po ewentualnej opinii go skorygować przed przekazaniem senatowi? Czy senat może odmówić zatwierdzenia sprawozdania i jakie są tego skutki?

...narzędziem oddziaływania na rektora

Większość tych pytań może w praktyce nie paść, o ile strategia będzie zbiorem gładkich słów o charakterze aktów strzelistych z domieszką wishfull thinking. Taki nurt był silny jeszcze kilka lat temu. W *Analizie strategii rozwoju szkół wyższych w Polsce* (Agnieszka Piotrowska-Piątek, Urząd Statystyczny w Kielcach, s. 105) znajdujemy: „Autorzy *Diagnozy stanu szkolnictwa wyższego w Polsce* wskazują, że niektóre uczelnie przyjmują strategię rozwoju, ale często ich jakość jest niska, nie spełniają one podstawowych warunków, które mogłyby z tych strategii uczynić efektywne narzędzie zarządzania. Strategie zazwyczaj mają charakter fasadowy i bywają traktowane jako zbędne wymagania biurokratyczne przy wypełnianiu wniosków o środki Unii Europejskiej. (...) O ile prawie wszystkie strategie zawierały określone cele strategiczne (94%), o tyle nieco częściej niż co druga strategia zawierała operacjonalizację tych celów (53%), a tylko 41% analizowanych dokumentów zawierało wskaźniki realizacji strategii”.

Jeśli jednak coraz więcej uczelni pokusi się o uczynienie strategii narzędziem oddziaływania na swe codzienne działanie, np. poprzez korygowanie konkretnych decyzji organów uczelni pod wymiar wizji skrojonej w strategii, to powróci pytanie o sposób, w jaki to zrobić i skutki niedochowania tego. Jednym z pomysłów może być wpisywanie do statutu obowiązku zgodności decyzji organów uczelni ze strategią, choć ustawa wprost tego nie przewiduje.

Także do kompetencji rektora zawartych w art. 23 trudno skutecznie wprowadzać modyfikujące je ograniczenia, o ile sama ustawa ich nie przewiduje – w odróżnieniu chociażby od określenia trybu wprowadzenia regulaminu organizacyjnego, gdzie dopuszczalne jest ograniczenie kreowania treści proponowanego aktu określeniem trybu jego przygotowania (art. 23 ust. 3 w zw. z art. 34 ust. 1 pkt 11). Rektor może więc uwzględniać wytyczne wywodzone z treści strategii nawet przez inny umocowany do tego statutem organ, ale na gruncie i w zakresie art. 23 ust. 1-2 moim zdaniem nie musi. Inaczej uchwalenie strategii byłoby sposobem wiązania rąk w zakresie ustawowych kompetencji rektora.

...albo rektorskiej demonstracji

Tak też odczytuję stanowisko komentatora do art. 23 w: Woźnicki Jerzy (red.), *Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Komentarz* (Opublikowano: WKP 2019): [podkreśl. moje] „Ustęp 2 wskazuje w 11 punktach zadania rektora, w szczególności w odniesieniu do uczelni: jej reprezentowanie, zarządzanie, przygotowywanie projektów statutu i strategii oraz składanie sprawozdania z jej realizacji, powoływanie do pełnienia funkcji kierowniczych, prowadzenie polityki kadrowej i gospodarki finansowej, zapewnienie wykonywania przepisów, a w odniesieniu do studiów i szkół doktorskich – ich tworzenie. Wykonując te zadania, rektor może podejmować decyzje po konsultacjach lub na wniosek, odwołując się do opinii różnych podmiotów. **Nie może to jednak prowadzić do ograniczenia ustawowych kompetencji rektora**”.

Tak więc strategia wydaje się programem działania rektora, programem, który, jeśli nie zostanie uchwalony przez senat, stanowić będzie negatywny komunikat pod adresem niego samego lub jego zamierzeń, niezależny od poparcia wyborczego udzielonego przez kolegium elektorów, ale nie mający wpływu na zakres jego ustawowych kompetencji i swobody ich wykonywania. Komunikaty z recenzji sprawozdań czy ich niezatwierdzenie stanowią istotne narzędzia dyskursu wewnątrz wspólnoty uczelni i dla jej interesariuszy, ale nie niosą skonkretyzowanych skutków prawnych. W związku z tym powstaje pytanie: z jaką częstotliwością rektor ma obowiązek przygotować projekt strategii oraz poddawać ocenie sprawozdanie z jej realizacji? Art. 23 ust. 1 pkt 4 mówi o składaniu sprawozdania, a nie sprawozdań. Stąd wniosek, że raz w kadencji wystarczy. Czy nakładanie na rektora obowiązku częstotliwości czy układu sprawozdawania z realizacji strategii nie będzie naruszeniem art. 23 w powyżej przywołanej interpretacji? Czy, tym samym, nie będzie to obligowaniem rektora za pomocą statutu do odnoszenia się do sygnalizacji dokonywanych przez uprawniony statutem organ, że dany akt rektora nie jest, zdaniem tego organu, zgodny ze strategią? Odpowiedzi na te pytania przyniesie praktyka prawa najbliższych lat.

Marcin Chałupka, radca prawny, specjalizuje się w prawie i instytucjach szkolnictwa wyższego i awansu naukowego. Więcej na www.chalupka.pl Tekst pisany 2.01.2019 r. bez założenia nieomyślności. Decyzje w danych stanach faktycznych powinny być konsultowane z radcami prawnymi uczelni.



Rozmowa z prof. **Janem Rylke**, artystą malarzem, wieloletnim wykładowcą warszawskiej SGGW, obecnie zatrudnionym w Katedrze Architektury Krajobrazu UP w Lublinie

Artysta niezależny

Sztuka została przypisana do nauk humanistycznych mniej więcej od końca lat siedemdziesiątych, co podkreślało jej istotną rolę społeczną. U nas, jeżeli nie jest związana z naukami humanistycznymi, to właściwie można powiedzieć, że nie wiadomo po co jest i jaką pełni rolę.

Jak to się stało, że artysta malarz, poeta i performer związał się na wiele lat ze Szkołą Główną Gospodarstwa Wiejskiego?

Po studiach miałem zostać na warszawskiej ASP, gdzie obroniłem dyplom z podwójnym wyróżnieniem. Jednak w wyniku jakichś ruchów kadrowych wyrzucili mnie – to był rok 1968. Tak się złożyło, że na SGGW poszukiwano kogoś do prowadzenia zajęć z rysunku. Zgłosiłem się i już tam pozostałem. W tych latach nie było możliwości robienia stopni naukowych na uczelniach artystycznych. Na marginesie: jestem pierwszym rocznikiem, który musiał mieć maturę, żeby studiować na akademii sztuk pięknych, wcześniej nie było to wymagane. Ponieważ ministerstwo zatwierdzało kandydatów na stanowisko adiunkta czy docenta, musiałem uzyskać stopnie naukowe: pierwszy – z historii sztuki ogrodowej, drugi – z konserwacji zabytków. Łączyłem więc jedno doświadczenie z drugim.

Gdy rozpoczynał pan pracę, na SGGW nie było kierunku architektura krajobrazu.

Architektura krajobrazu prowadzona była na tej uczelni jeszcze od przedwojnia. W 1949 roku zmarł prof. Franciszek Krzywdza-Polkowski, kierownik Zakładu Architektury Krajobrazu i Parkoznawstwa, u którego studiowała córka Bieruta. Po roku 1948 wprowadzano marksistowską metodę naukową – nie było w niej miejsca na genetykę, cybernetykę czy architekturę krajobrazu. Wtedy kierunek został zlikwidowany. Po Krzywdzie-Polkowskim zakład przejął dobrze ustosunkowany politycznie prof. Alfons Zielonko, który wywalczył utworzenie kierunku kształtowanie terenów zieleni, z uprawnieniami inżynierskimi. Do lat osiemdziesiątych SGGW miała monopol na przyjmowanie studentów na ten kierunek.



W jakim stopniu zakres nowego kierunku odpowiadał wcześniejszej architekturze krajobrazu?

Architektura krajobrazu jest pojęciem utworzonym w końcu XIX wieku, kiedy powstały nowe dyscypliny naukowe. Wcześniej urbanistykę i architekturę krajobrazu traktowano łącznie w obrębie szeroko pojętej architektury. Urbanistyka stała się nauką, rezygnując z akcentowania walorów estetycznych, natomiast architektura krajobrazu zajmuje się pięknem w otoczeniu człowieka i szerzej – w scenerii kraju. Kształtowanie terenów zieleni jest jej drobną częścią; sprowadzić ją tylko do tego zakresu, to tak jakby zakazać architektury, a pozwolić na budownictwo. W związku z układem politycznym absolwenci kształtowania terenów zielonych mogli pracować w miejskich przedsiębiorstwach robót ogrodniczych. Stawali się więc pracownikami służb państwowych.

W latach osiemdziesiątych, kiedy rozluźniono rygory, w Poznaniu powstało kształtowanie terenów zieleni, a potem na SGGW wznowiono architekturę krajobrazu. Niestety w 1989 roku wprowadzono podział na dyscypliny i kierunek znów został zlikwidowany. Dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych wprowadziliśmy go ponownie, dzięki zgodzie i determinacji rektora. Pełniłem wtedy funkcję prodziekana i odpowiadałem za Oddział Architektury Krajobrazu, moim szefem był genetyk z Poznania, prof. Stefan Malepszy, było też trochę innych osób, chętnych i zaangażowanych. Studia zostały przypisane do Wydziału Ogrodnictwa, jednak po ostatniej reformie większość ośrodków przeszła na inżynierię środowiska, więc kontakt z ogrodnictwem został trochę utracony. Inżynieria środowiska z kolei jest bardziej komplementarna: współpracujący architekt krajobrazu i inżynier środowiska mają więcej możliwości działania.

Czy po przejściu na architekturę krajobrazu znalazło się więcej miejsca dla sztuki?

Od czasów renesansu podstawowym językiem porozumiewania się w projektowaniu architektonicznym, we wzornictwie czy architekturze krajobrazu jest rysunek, i to nie powinno się zmienić. A ponieważ u nas znalazło się kilku specjalistów po akademii sztuk pięknych, a także po architekturze, więc stworzyliśmy Pracownię Sztuki i potem w tym kierunku zśliśmy. Architektura krajobrazu już od XIX wieku jest bardziej zwrócona w kierunku sztuki. Apogeum nastąpiło w latach osiemdziesiątych, kiedy sztuka ogrodowa stała się na pewien czas wiodącą dziedziną sztuki w Europie. Istnieje porozumienie uczelni starej Unii, które określa dziedziny, jakimi zajmuje się architektura krajobrazu, np. place miejskie, cmentarze itp. W zaleceniach OECD, które powinny wyznaczać kierunek reform, projektowanie architektoniczne znajduje się w dziale „sztuka”, a sztuka znajduje się w dziale „nauki humanistyczne”. U nas projektowanie architektoniczne jest przypisane do nauk technicznych. Sztuka została wyodrębniona, nawet wyraźnie nie traktuje się jej jako nauki, a nauki humanistyczne są osobną dziedziną. Można powiedzieć, że cofnęliśmy się do lat międzywojennych. Zmiana prędzej czy później będzie musiała nastąpić, bo raczej świat się do nas nie dostosuje, tylko my będziemy musieli dostosować się do świata. Niestety szkody mogą być bardzo duże – sztuka została przypisana do nauk humanistycznych mniej więcej od końca lat siedemdziesiątych, co podkreślało jej istotną rolę społeczną. U nas, jeżeli nie jest związana z naukami humanistycznymi, to właściwie można powiedzieć, że nie wiadomo po co jest i jaką pełni rolę.

Swojego czasu, na łamach „Forum Akademickiego”, prof. Tomasz Miczka, ówczesny przewodniczący Konferencji Rektorów Uczelni Artystycznych, zwracał uwagę na istotność hasła



„sztuka = nauka”, które nie zawsze jest rozumiane przez środowisko naukowe.

Obecnie mamy silny trend, żeby stosować w nauce „miękkie” metody wypracowane w sferze sztuki. Był taki okres w latach sześćdziesiątych, kiedy konceptualizm bardzo mocno wpłynął na naukę, więc silne powiązania istniały już wcześniej.

Kierunek architektura krajobrazu ma charakter interdyscyplinarny. Jak wyglądają prace dyplomowe studentów?

Na Uniwersytecie Przyrodniczym w Lublinie, gdzie obecnie pracuję, dyplomy inżynierskie i magisterskie mają charakter prac projektowych. Oprócz pracy pisemnej przedstawia się plansze, czyli taki mniej więcej standard, jak na wydziałach architektury. Do pracy inżynierskiej muszą być dołączone rysunki techniczne i kosztorys.

A jak przebiega współpraca wykładowców reprezentujących różne specjalności? Czy nie ma przepaści pomiędzy narracją artystyczną a ściśle inżynierską?

Istotą sprawy jest ekologia, ale w sensie naukowym, a nie ideologicznym. Tak rozumiana ekologia to dziedzina fizyki, więc trudno z nią dyskutować; te związki są oczywiste. Czasami się troszeczkę spierałem, bo ortodoksyjni ekologodzy, przyrodnicy nie uwzględniają człowieka i jego potrzeb, a dla nas te potrzeby są istotne. Istnieje podział: są nauki, takie jak geografía czy przyroda, które nie służą bezpośrednio człowiekowi, i takie, które mu służą, jak rolnictwo, ogrodnictwo, architektura krajobrazu, inżynieria środowiska czy architek-

tura. Na tej płaszczyźnie występują czasami rozbieżności między geografami i przyrodnikami a naukowcami reprezentującymi pozostałe dziedziny, co jest widoczne np. na konferencjach. Oni mają swoje standardy – przyroda jest traktowana jako constans. Tymczasem my postrzegamy ją bardziej jako element ulegający zmianom, czego przykładem może być globalne ocieplenie, różne inwazje zwierząt, roślin; to się ciągle zmienia i traktowanie tego sztywno jest przez nas uważane za błąd. Architektura krajobrazu jest dziedziną, w której pracuje wiele osób. Żeby móc się porozumieć, trzeba orientować się mniej więcej we wszystkim, ale nie trzeba być specjalistą od wszystkiego. Na SGGW prowadziłem zajęcia nie tylko na architekturze krajobrazu, także na gospodarce przestrzennej, na turystyce i rekreacji – w sumie wiele przedmiotów. Napisałem podręcznik o historii sztuki ogrodowej. Opracowaliśmy też m.in. Rysunek odręczny dla architektów krajobrazu. Teraz w Lublinie zajmuję się głównie projektowaniem, współpracuję z prof. Małgorzatą Milecką, która była moją doktorantką i jest bardziej praktykiem, podczas gdy ja prowadzę raczej stronę teoretyczną. Aktualnie piszę książkę Historia sztuki dla artystów, bo nie uczyłem się historii sztuki na uniwersytecie – miałem ją przez pięć lat w liceum, potem pięć lat na akademii, a potem prowadziłem wykłady z tego przedmiotu, lecz nie dla historyków sztuki. Prof. Piwocki, mój wykładowca z akademii, mówił, że uczenie na akademii sztuk pięknych jest dla niego bardzo ciekawym doświadczeniem, bo studenci traktują artystów sprzed tysiąca lat ahistorycznie – jako kolegów, z których można korzystać bezpośrednio. Piszę więc pod takim kątem, aby można było zwrócić uwagę na to, jak ich osiągnięcia wykorzystać w pracy.

Jak pan skomentuje słowa prof. Ksawerego Piwockiego: „Sztuka ogrodowa jest ciekawą dziedziną, gdyż wszystkie problemy historii sztuki występują tam w skrajnej postaci”.

Prof. Piwocki był moim promotorem. Po studiach miałem półroczny staż na uniwersytecie, na historii sztuki, i robiłem

opracowanie na temat Ogrodu Saskiego. Zajmując się historią ogrodów, widzimy – co jest dosyć oczywiste – że ta materia jest płynna, szybko się starzeje i wiele aspektów trzeba brać pod uwagę. Istota sztuki polega na możliwości wykorzystania tego co trwałe. Byłem kiedyś w Anglii, w ogrodzie, który został zaprojektowany i założony przez Gertrudę Jekyll, czołową angielską projektantkę z przełomu XIX i XX wieku. Pani, która się tym ogrodem zajmowała, mówiła, że w zasadzie nie musiała przeprowadzać rekonstrukcji, wypielili tylko, i te roślinki, które Gertruda przewidziała, po prostu się rozwinęły. Jeżeli ogród jest dobrze zaprojektowany, to trwa. Z kolei w Ogrodzie Saskim z czasów saskich zostały tylko kasztanowce. Rzeźby, które tam stoją, przeniesiono z Ujeżdżalni, bo tamte już uległy zniszczeniu. Po pałacu nie ma śladu, zresztą ten przedwojenny pałac to nie był Pałac Saski tylko dom kupca Skwarcowa. Pałac rozebrano w ramach represji po powstaniu listopadowym i żeby upodlić warszawiaków, oddano działkę kupcowi. Trzeba pamiętać, że w carskiej Rosji nawet zawiadowca stacji musiał być szlachcicem, a ponieważ kupiec nie mógł mieć pałacu, to pozwolono mu wybudować tylko oficynę – zamiast pałacu była kolumnada.

W latach osiemdziesiątych organizował pan domowe prezentacje sztuki niezależnej. Czy pana zdaniem obecne czasy bardziej sprzyjają niezależności artystów, czy może pojawiły się nowe zjawiska, które ograniczają ich wolność twórczą?

Przez cały okres PRL-owski mieliśmy bardziej do czynienia z marchewką niż z kijem.

Nie spotykały pana represje?

W latach osiemdziesiątych wielu artystów wycofywało się z oficjalnego nurtu wystawienniczego, co jak się później okazało, było nawet korzystne, bo instytucje państwowe zaczęły kupować prace tych artystów bez ich zgody. Tu raczej chodziło o coś innego, o pewną chęć oglądania sztuki i udziału w kulturze niezależnej. W Warszawie, dzięki zaangażowaniu prof. Aleksandra Wojciechowskiego, powstał ruch otwartych pracowni – na wystawy przychodziło bardzo dużo ludzi. To było całkiem przyjemne: dostawali herbatkę i mogli poznać artystę. Do mojego domu przychodziło do tysiąca osób. Pamiętam, że jeździłem też do Poznania, mieszkaliśmy u robotników Cegielskiego. W Warszawie, na skutek zaborów, działalność niezależna zawsze funkcjonowała, w czasach PRL-u był teatr Białoszewskiego czy inne inicjatywy. Tak więc nie otwierało się nowych drzwi, tylko przymknięte otworzyło się szerzej.

A jak pan postrzega obecną sytuację? Pisał pan o roli kuratorów, którzy tworzą własne narracje i starają się tłumaczyć intencje artystów...

Jako naukowiec robiłem pewne badania. Mam wykres, który pokazuje setkę najważniejszych artystów wg „Artefaktu” i wg „Kompasu Sztuki”. W latach pięćdziesiątych, kiedy nastąpił rozwój sztuki polskiej, zostało wyłansowanych wielu obecnie znanych artystów, chociażby Strumiłło, Wróblewski, Wajda... Okazało się, że w czasach zimnej wojny Amerykanie zwyciężyli gospodarczo, ekonomicznie, wojskowo, ale kulturalnie pozostawali w cieniu komunistów – Picassa czy socrealizmu. W związku z tym zaczęli lansować swoich artystów, szczyt nastąpił w latach osiemdziesiątych. Później wprowadzona została instytucja kuratora, ponieważ konstytucja zabrania rządowi bezpośredniego finansowania sztuki. Amerykanie nie poszli, tak jak faszyci czy komuniści, w XIX-wieczny realizm, tylko lansowali tzw. american way of life, stąd Roy Lichtenstein i cała ta ekipa. W międzyczasie opracowano Scenic Beauty Estimation – metodę badania preferencji.



Jan Rylke, *Kuchnia*



Jan Rylke, Muzy

Przestano już tworzyć sztukę w sposób abstrakcyjny, a badano preferencje odbiorców. Teraz każda galeria bada preferencje, żeby zamawiać u artystów konkretne obrazy; to jest już taki przemysł. Niestety, gdy zamknięto kurek z pieniędzmi, wzór amerykański przestał funkcjonować. W latach dziewięćdziesiątych kuratorzy organizowali cały rynek artystyczny, natomiast nie sprawdzili się jako pośrednicy pomiędzy państwem a odbiorcą sztuki.

Z racji zawodu odwiedzam galerie w różnych miastach. Patrzą na mnie trochę jak na wariata. Co więcej, czasami przychodzę i wystawy już nie ma, bo w zasadzie ludzie przychodzą tylko na wernisaż, a później nikt już nie odwiedza tych galerii, stoją puste. Czyli kuratorzy nie sprawdzili się jako pośrednicy. Kurator został zatrzymany na tzw. krótkiej smyczy: ma spełniać oczekiwania polityczne, a jak nie spełnia, to się go wyrzucą. A często tylko nie przedłuża mu się zatrudnienia, nie zostaje wybrany w czasie kolejnego konkursu. To są dramaty kuratorów, którzy przestają służyć artystom, odbiorcom i zaczynają służyć politykom, co na dłuższą metę jest dla nich zabójcze.

A kwestia niezależności artysty w tym układzie?

Artyści zaczynają omijać prestiżowe galerie, które tracą i prestiż, i publiczność. Zaczynają odżywać związki twórcze. Ja działałam także w granicach parafii, która ma galerię. Na Ursynowskich Spotkaniach Twórców pojawia się z reguły około siedemdziesięciu artystów i nie są to tylko dziwacy z lokalnej parafii, ale twórcy powszechnie znani. Kuratorem jest pani Maria Wollenberg-Kluza, a ja robię katalog.

Czyby historia zatoczyła koło? Pana zdaniem mamy sytuację analogiczną do tej z lat osiemdziesiątych?

Tak, w pewnym sensie wracamy. Uruchomiłam już swoją pracownię. Wie pani, zaczyna być tak, że jeżeli chcę się czegoś o sztuce dowiedzieć, to sięgam do internetu. Jeżeli chcę wiedzieć, co robią moi koledzy, sięgam do Facebooka, bo tam pokazują na bieżąco. Gdy robię wystawę, to na klatce wieszam informację. Zaczyna funkcjonować z jednej strony przekaz internetowy, a z drugiej przekaz osobisty. To jest coś innego niż prezentują anonimowe galerie – inny kanał przekazu i inna

tematyka. Dzisiaj jest taki nurt, który funkcjonuje w obiegu akademickim, że robi się abstrakcje. Mnie to trochę śmieszy, bo one są raczej dekoracyjne. Jest też nurt awangardowy. Ja zawsze, w sensie postawy, byłem artystą awangardowym, w związku z tym maluję teraz męczenników, na zasadzie szukania innych środków wyrazu, bo w tej sytuacji trzeba odnieść się do wcześniejszych przedstawień. To są raczej względy formalne niż religijne. Oprócz zajmowania się niezależnym wystawiennictwem prowadzę także niezależne wydawnictwo.

Mam obrazy, które wystawiałem w latach siedemdziesiątych, a dziś nie mógłbym ich wystawić, bo będą ocenzone. Kiedyś na Mysiej urzędowali specjaliści od cenzury, od podprogowych informacji, którzy byli dobrze wyszkoleni. Mysia była jednym z elementów całego systemu i to nie decydującym, bo decydujące było uderzenie po premii redaktora, który wypuścił coś, czego nie powinien był wypuścić. Zdarzało się też, że cenzura puszczą, a towarzysze z KC zdejmowali moje prace z wystawy. Natomiast teraz każdy uważa, że pieniądze, które daje na wydawnictwo, to są jego pieniądze i może nimi w sposób dowolny dysponować. Dzisiaj cenzorem jest każdy szef galerii i każdy szef wydawnictwa.

Przez kilka dobrych lat prowadziłem z kolegami klub performance, funkcjonowało tam około stu artystów. Byliśmy związani z dwiema galeriami: z galerią Pokaz na Krakowskim Przedmieściu, która już nie istnieje, oraz z Kordegardą, która aktualnie stała się agendą Ministerstwa Kultury. Organizowaliśmy tam performance, było to działanie bezgotówkowe. Do zaproszeń na wystawy organizowane w tych galeriach wkładaliśmy też nasze zaproszenie. Mieliśmy zaprzyjaźnionego filmowca i fotografa, który robił dokumentację. Opisywałem te działania w „Arteonie” czy „Artluku”, a później wydaliśmy książkę. A teraz sami prowadzimy galerię i też wydajemy książki. Pojawiła się na przykład dosyć unikalna książka facebookowa, która jest zapisem dyskusji na Facebooku Przemka Kwieka z ostatnich dwóch lat. Facebook jest ulotny, a w ten sposób można utrwalić jego zawartość łącznie z komentarzami. Prowadzimy też strony internetowe.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska



Marek Misiak

Wydawnictwo jest współtwórcą publikacji

Fot. Stefan Ciechan

Jeden z najpiękniejszych momentów w pracy redaktora: gdy z drukarni przychodzi gotowa książka i mogę po prostu wziąć w dłonie fizyczny przedmiot – rezultat pracy koleżanek i mojej.

W niewielkim wydawnictwie naukowym czas płynie na ogół intensywnie, ale w ustalonym rytmie. Obróbka redakcyjna artykułów do czasopism daje się ująć w przewidywalne ramy czasowe, gdyż praca nad pojedynczym artykułem na danym etapie przygotowania do publikacji zajmuje z reguły mniej więcej tyle samo czasu, co nad innym tekstem do tego samego czasopisma. Można się nawet bawić w ustanawianie norm dla szeregowych redaktorów: znormalizowany redaktor w ciągu ośmiu godzin redaguje tyle i tyle artykułów w ramach przygotowania do składu, wykonuje tyle i tyle pierwszych korekt, a tyle drugich korekt itp. Na pierwszy rzut oka może to wyglądać zabawnie, ale osoby zarządzające pracą wydawnictwa muszą dysponować choćby takimi instrumentami umożliwiającymi ocenę i planowanie pracy.

Prawdziwe wyzwanie pojawia się wtedy, gdy wydawnictwo ma opublikować książkę, choćby był to skrypt czy publikacja okolicznościowa. Nie sposób przewidzieć, ile zajmie praca na dowolnie wskazanym etapie: redakcji przed składem, składu, wszelkich ustaleń z autorami, korekty autorskiej, kolejnych korekt redakcyjnych. Nie wiadomo, w jakiej postaci tekst publikacji i ewentualne ilustracje dotrą do wydawnictwa, czy wydawnictwo będzie w stanie spełnić oczekiwania autorów, jeśli chodzi o szatę graficzną (w tym typograficzną) książki, czy autorzy

będą współpracować między sobą podczas korekty autorskiej (w przypadku publikacji zbiorowych), ile kwestii trzeba będzie ujednotliwić w tekście w ramach redakcji i korekty, ilu poprawek będzie wymagał sam tekst... Taką listę można dowolnie wydłużać. Poniżej omówię tylko wybrane, najczęstsze problemy.

Co ważne: nie jest tak, że otrzymujemy do wydania rzeczy źle napisane, a z autorami nie sposób się dogadać. Wręcz przeciwnie – autorom zależy, żeby dojść do porozumienia z redaktorami, a też pracujemy z doświadczonymi naukowcami, którzy naprawdę umieją napisać zarówno książkę naukową, popularnonaukową, jak i skrypt. Problemy pojawiałyby się także wtedy, gdyby nasi zleceniodawcy byli skrzyżowaniem Ludwika Pasteura z Tomaszem Mannem. Po prostu wydanie książki, nawet skryptu, to złożone przedsięwzięcie. Dlatego wiele wydawnictw opracowuje i udostępnia wskazówki zarówno dla autorów artykułów, jak i samodzielnych prac.

Konwencja wydawnicza jest na ogół dokumentem wewnętrznym i zawiera bardzo szczegółowe wytyczne dla redaktorów i korektorów. Wskazówki dla autorów lub zasady przygotowania manuskryptu to często wyciąg z konwencji uzupełniony o kwestie, które dla fachowców są oczywiste, ale dla nie-edytorów wcale takie być nie muszą (np. wymóg przesyłania tekstu w postaci znormalizowanego maszynopisu). Jeśli planu-

jemy przygotowanie książki naukowej/popularnonaukowej lub skryptu i wiemy już, jaki podmiot ją wyda, warto ustalić, czy dane wydawnictwo dysponuje wskazówkami dla autorów; powinny znajdować się na stronie internetowej wydawnictwa, ale nawet jeśli ich tam nie ma, może się okazać, że zostaną przesłane na życzenie. Łatwiej jest po prostu pisać ze świadomością istnienia konkretnych reguł niż później dostosowywać do nich gotowy już tekst.

Jeśli dana książka jest pracą zbiorową, z zasadami sformułowanymi przez wydawnictwo powinien zaznajomić się autor, pod którego redakcją pozostaje cała przygotowująca publikacja. Rola takiej osoby jest bardzo istotna. Nie może się ona ograniczyć do pilnowania terminów nadesłania poszczególnych rozdziałów/części książki przez współautorów i przesyłania ich do wydawnictwa, lecz powinna – przynajmniej do pewnego stopnia – czuć nad jakością i jednolitością przesyłanych materiałów. Zdarzają się niestety także sytuacje zbiorowego autorstwa, gdy grupa nawet kilkunastu autorów nie wyłania spośród siebie nikogo, kto brałby odpowiedzialność za całość publikacji. Żadna ustawa tego nie nakazuje (to w redakcji gazety/czasopisma istnienie redaktora naczelnego jest prawnie wymuszone), ale znacznie ułatwia pracę – wtedy to autor redagujący całość wyjaśnia sporne kwestie. Konieczność czynienia przez redakcję ustaleń z każdym autorem z osobna znacząco wydłuża pracę.

Skróty sprawiają kłopot

Zagadnieniem o niskim na ogół stopniu złożoności, ale zajmującym redaktorom sporo czasu, są zastosowane w danej pracy skróty (zarówno skróty właściwe, jak i skrótowce). Nawet w książkach przygotowanych przez autorów bardzo starannie lub w tekstach mających tylko jednego autora do konsekwencji w tym obszarze często bardzo daleko, a przy pracach zbiorowych jest praktycznie pewne, że trzeba będzie nad tym spędzić sporo czasu. Przede wszystkim redaktor musi skontrolować, czy ten sam termin lub nazwa są jednolicie skracane w obrębie całej publikacji (a zdarza się, że dwa różne skróty pojawiają się w jednym rozdziale). Jeśli konsekwencji brak, są dwie drogi postępowania. Gdy w literaturze z danej dziedziny wiedzy jeden skrót jest spotykany zdecydowanie częściej niż pozostałe, redaktorzy z reguły wprowadzają go w całej pracy. Jeśli nie sposób podjąć takiej decyzji – autorzy muszą zdecydować, którą możliwość wybierają. Po skróceniu wyrażenia w obrębie całego rozdziału (całej pracy) autorzy powinni posługiwać się już tylko skrótem.

Jeżeli praca zawiera znaczną liczbę skrótów, zaleca się umieszczenie na początku publikacji alfabetycznego wykazu skrótów. I tu jednak czyha pułapka – taki wykaz można sporządzić na kilka sposobów. Zasady przygotowywania manuskryptów zawierają często wzór wykazu skrótów (podobnie jak wzory indeksów osobowych i rzeczowych). Jeśli decydujemy się na wykaz skrótów, w całej publikacji nie rozwijamy skróconych nazw, posługując się skrótami z wykazu. Szczególnie istotne są skróty statystyczne. W niektórych wydawnictwach preferowany jest konkretny zestaw skrótów z tego obszaru, gdyż używanie innych może utrudniać lekturę nawet osobie dobrze obeznanej z daną dziedziną wiedzy, a ponadto – wprowadzać czytelnika w błąd. Zdarzają się wreszcie skróty i skrótowce znane nawet laikom (np. WHO czy BMI). Redaktor musi ustalić z autorami, czy w ogóle należy je rozwijać.

Odpowiedzialność za poprawność cytowania

Problematycznym obszarem jest także bibliografia, zarówno jedna na końcu książki, jak i osobna do każdego rozdziału. Zdarzają się sytuacje, gdy w pracy zbiorowej w jednym rozdziale mamy przypisy bibliograficzne tradycyjne, a w drugim – hardwardzkie. Nasuwa się wniosek, że autorzy ustalili ze sobą kwe-

stie merytoryczne (np. dokładny zakres tematyczny każdego rozdziału), ale już nie formalne. Tego rodzaju niekonsekwencja zdarza się też, gdy praca ma tylko jednego lub dwóch autorów, ale niektóre rozdziały to zmienione wersje już opublikowanych artykułów. Warto przypomnieć, że to autorzy ponoszą odpowiedzialność za poprawność sposobu cytowania literatury. Redaktor może nie być po prostu w stanie wstecznie odtworzyć, z czego korzystali autorzy. Cytowanie prac należy ograniczyć tylko do pozycji najnowszych i bezpośrednio powiązanych z przedstawionym tematem. W pracach zbiorowych i innych publikacjach o dużej objętości należy sporządzić piśmiennictwo do każdego rozdziału z osobna, umieszczając listę cytowanych pozycji na końcu rozdziału. W krótszych książkach i skryptach zalecane jest sporządzenie piśmiennictwa do całej publikacji łącznie i umieszczenie go na końcu książki.

Jeśli publikacja jest przygotowywana po angielsku, wytyczne wydawnictwa zawierają na ogół informację, jaka odmiana tego języka – brytyjska czy amerykańska – jest stosowana w danym wydawnictwie. Większość polskich wydawnictw naukowych preferuje American English. Niektórzy autorzy – zwłaszcza obeznani szczególnie dobrze z piśmiennictwem naukowym z Wielkiej Brytanii albo ci, którzy studiowali tam lub pracowali – mimo to stosują ortografię brytyjską. Ujednolicenie tego jest zadaniem redaktora, ale zdarzają się autorzy obstający przy swoich preferencjach. Jest to jednak na ogół zasada obowiązująca we wszystkich anglojęzycznych publikacjach danego wydawnictwa, która nie podlega negocjacji, a pisanie np. w jednym rozdziale pracy zbiorowej *tumour*, a w drugim *tumor* jest niedopuszczalne.

Warto też dbać o to, by poszczególne rozdziały miały podobną konstrukcję (o ile tylko jest to możliwe). Jakiś czas temu koleżanka po fachu redagowała publikację, w której część rozdziałów została napisana bardziej narracyjnie, ciągłym tekstem, a inne zredagowano w krótkich żołnierskich słowach w podpunktach. Nie obniżało to komunikatywności tekstu, ale – ujmując rzecz obrazowo – książka naukowa lub skrypt to nie zbiór opowiadań kilku pisarzy i takie eksponowanie autorskiej indywidualności niekoniecznie jest wskazane. Jeśli czytelnik będzie się zapoznawał z książką w całości, takie – cytując Dilberta – zmiany paradygmatu bez użycia sprzęgła mogą utrudniać lekturę. Praca zbiorowa jest jednak bardziej całością; to zbiór artykułów stanowi raczej sumę poszczególnych części. Takie stylistyczno-estetyczne kwestie mogą się wydawać dość akademickie, ale warto pamiętać, że wydawnictwo jest współtwórcą publikacji – przynajmniej jej edytorskiej postaci – a nie jedynie podwykonawcą.

Z tym ostatnim wiąże się jeden z najpiękniejszych momentów w pracy redaktora: gdy z drukarni przychodzi gotowa książka. W dobie e-booków taką satysfakcję mamy coraz rzadziej, ale wciąż są momenty taktylności, gdy mogę po prostu wziąć w dłoń fizyczny przedmiot – rezultat pracy koleżanek i mojej. Ma to w sobie coś przekraczającego codzienność: ta książka po mnie zostanie, to mój ślad na tym świecie. Wprawdzie chwilę później następuje deziluzja i brutalne przebudzenie, gdy zaczynam kartkować książkę, w której już nic nie mogę zmienić, i znajduję kolejne błędy i niedopatrzania, ale pierwszy moment „jest... już jest...” to coś nieosiągalnego w wielu innych profesjach. Właśnie: jest. Istnieje. Nie rozplynie się w cyberprzeźreni (choć równoległe wydanie e-booka to dobry pomysł). A kilka miesięcy później widzę, jak stojący w kolejce do uczelnianego bistro studenci uczą się ze skryptu, w którego redagowaniu uczestniczyłem. Stopki żaden z nich nie przeczyta, ale to nieważne. Ważne, że to, co robię, komuś służy.

Za pomoc w przygotowaniu tekstu dziękuję red. Aleksandrze Król.

Studenci zagraniczni 2019

Najwięcej obcokrajowców studiuje w Polsce na dużych, renomowanych uczelniach w znaczących ośrodkach akademickich. W pierwszej pięćdziesiątce uczelni z największą liczbą studentów zagranicznych są aż 23 uczelnie niepubliczne, w tym wszystkie najlepsze, akademickie, z czołówki krajowych rankingów. Znajdziemy w niej też 8 uniwersytetów medycznych.

Nie wszystkie uczelnie i regiony wykorzystują swoje atuty i szanse na umiędzynarodowienie kształcenia wyższego – pokazują dane, zawarte w publikowanym co roku przez Fundację Edukacyjną Perspektywy i Konferencję Rektorów Uniwersytetów Polskich raporcie *Studenci zagraniczni w Polsce*. Swoje naturalne szanse wykorzystują duże ośrodki akademickie. Windują one w górę regiony, w których są ulokowane.

Dzięki umiędzynarodowieniu najwięcej studentów zagranicznych jest w województwie mazowieckim – ponad 24 tys. Dobrze radzi sobie małopolskie (8,2 tys.), dolnośląskie (prawie 7,5 tys.), łódzkie (6,2 tys.) i wielkopolskie (5,7 tys.). Tylko jedno województwo przy wschodniej granicy skorzystało na bliskości Ukrainy i Białorusi, czyli krajów, skąd mamy najwięcej studentów międzynarodowych – lubelskie, gdzie kształcą się prawie 7 tys. z nich.

Nie wykorzystują boomu umiędzynarodowienia, jaki obserwujemy od kilku lat, pozostałe województwa ściany wschodniej: podlaskie (1395 studentów zagranicznych) i podkarpackie (2661, z czego większość, 1542 w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie). Najsłabiej wypada umiędzynarodowienie w lubuskim, które graniczy z Niemcami, gdzie kształcą się tylko 128 obcokrajowców. Równie marnie wypada warmińsko-mazurskie (443 osoby). Trochę lepiej, ale też słabo, jest w świętokrzyskim (1022), opolskim (1668), zachodniopomorskim (1501) i kujawsko-pomorskim (1959).

W województwie mazowieckim więcej obcokrajowców wybrało uczelnie niepubliczne (16156) od publicznych (8110). Podobna sytuacja miała jeszcze miejsce tylko w podkarpackim, ale skala zjawiska jest znacznie mniejsza: 1845/816.

Liczba obcokrajowców na polskich uczelniach wciąż rośnie. W roku akademickim 2018/19 przekroczyła 78 tys. i była o 5,5 tys. większa niż rok wcześniej. W roku akademickim 2017/18 obcokrajowcy stanowili 5,63% studentów w ogóle, a obecnie – 6,37%. Ten wzrost wynika nie tylko z większej liczby obcokrajowców, ale także ze spadku liczby studentów w ogóle. W kontekście międzynarodowym wypadamy nieco gorzej. Dane za rok 2017, gdy studiowało u nas 65,8 tys. studentów lokowały nas na 29 pozycji w świecie pod względem umiędzynarodowienia kształcenia ze współczynnikiem 4,12% (dane OECD; różniąc się od naszych krajowych z GUS, który za rok akademicki 2016/17 pokazywał współczynnik umiędzynarodowienia 4,88% – red.). To wynik gorszy od ogólnej pozycji polskiej nauki w świecie,

a nawet polskiej gospodarki mierzonej w wartościach nominalnych (czyt. na str. 18).

Jednak liczba studentów międzynarodowych na świecie przyrasta wolniej niż w naszym kraju. Potentatami wciąż są kraje anglojęzyczne: USA (prawie 1,1 mln studentów zagranicznych), Wielka Brytania (ponad 500 tys.), Australia (371 tys.). Na trzecie miejsce na podium wdarły się Chiny z niemal 490 tys. studentów międzynarodowych. Nieco inaczej wygląda kolejność pod względem współczynnika umiędzynarodowienia. Na czele jest Luksemburg (46,73%), a za nim Australia (21,48%) i Nowa Zelandia (19,61%). USA, kraj z największą liczbą studentów międzynarodowych, dwukrotnie większą od kolejnej Wielkiej Brytanii, ze współczynnikiem 5,18% znajduje się na 24 pozycji (dane dotyczą roku 2017).

Najwięcej obcokrajowców, co nie dziwi, studiuje w Polsce na dużych, renomowanych uczelniach w znaczących ośrodkach akademickich: Uniwersytecie Warszawskim (3035 – więcej niż w województwach świętokrzyskim i kujawsko-pomorskim razem wziętych) i Uniwersytecie Jagiellońskim (2935). Kolejne cztery miejsca w pierwszej dziesiątce zajmują: Akademia Finansów i Biznesu Vistula w Warszawie – 2586, Społeczna Akademia Nauk w Łodzi – 2383, Krakowska Akademia im. A.F. Modrzewskiego – 1905 i Akademia Ekonomiczno-Humanistyczna w Warszawie – 1789. Dalej mamy Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie – 1671, Politechnikę Warszawską – 1666 i Uniwersytet Łódzki – 1661. Dziesiątkę zamyka Collegium Humanum – Szkoła Główna Menedżerska w Warszawie – 1618. Zatem w pierwszej dziesiątce połowę stanowią niepubliczne szkoły wyższe. W pierwszej dwudziestce niepublicznych jest 9. Dopiero w tej grupie pojawiają się – nie licząc UJ, który ma absolutne pierwszeństwo w próbach umiędzynarodawiania studiów medycznych – pionierzy umiędzynarodowienia studiów w Polsce, czyli uniwersytety medyczne w Lublinie (1427) i Poznaniu (1018). W pierwszej pięćdziesiątce są aż 23 uczelnie niepubliczne, w tym wszystkie najlepsze, akademickie, z czołówki krajowych rankingów. Znajdziemy w niej też 8 uniwersytetów medycznych. Poza tą grupą pozostał tylko Uniwersytet Medyczny w Białymstoku (369 obcokrajowców).

W Polsce kształcą się w szkołach wyższych studenci z większości państw świata – ze 174 krajów. Największą grupę studentów międzynarodowych stanowią Ukraińcy. Jest ich ponad 39 tys. W pierwszej dwudziestce są kraje z liczbą ponad 500

studentów. To oprócz Ukrainy także: Białoruś (7314), Indie (3571), Hiszpania (2131), Turcja (1928), Czechy (1655), Norwegia (1494), Niemcy (1315), Chiny (1259), Rosja (1187), Szwecja (1069), Kazachstan (1024), Tajwan (917), Azerbejdżan (756), Stany Zjednoczone (753), Arabia Saudyjska (697), Litwa (648), Kamerun (575), Włochy (556) i Francja (528).

Studenci zagraniczni nie są równomiernie rozlokowani w polskich uczelniach. Preferują też określone kierunki kształcenia. Najciekawsza jest sytuacja studentów z Kamerunu – większość z nich (523, czyli 90,9%) studiuje na Akademii Polonijnej w Częstochowie. Ponad 69,5% studentów z Tajwanu (637 osób) kształci się na Uniwersytecie Medycznym w Lublinie. Nie dziwi, że 44% ze studiujących w Polsce Litwinów znalazło dla siebie miejsce na Uniwersytecie w Białymstoku. Ponad połowa (55,8%) studentów z Arabii Saudyjskiej wybrała dwie publiczne uczelnie medyczne (niemal po równo): w Warszawie i Łodzi. Studenci z Niemiec preferują uczelnie medyczne położone najbliżej naszej zachodniej granicy – połowa z nich kształci się (niemal po równo) na Uniwersytecie Medycznym we Wrocławiu i Pomorskim Uniwersytecie Medycznym. Norwegowie kształcą się u nas głównie na medycynie. Aż 398, czyli 26,6%, wybrało Uniwersytet Jagielloński, a 1317, czyli ponad 88%, studia na 10 uniwersytetach medycznych (w tym kolegiach medycznych UJ i UMK). Jedna trzecia studentów szwedzkich, 357 osób, kształci się na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym. Prawie 28% studentów z Czech wybrało Wyższą Szkołę Menedżerską w Warszawie, a 1372 z nich, czyli 83%, znalazło dla siebie studia na czterech uczelniach niepublicznych. Poza już wspomnianą są to: Wyższa Szkoła Humanitas w Sosnowcu, Collegium Humanum Szkoła Główna Menedżerska w Warszawie i Dolnośląska Szkoła Wyższa we Wrocławiu. Studenci ukraińscy znaleźli dla siebie miejsca na wielu uczelniach w całej Polsce. Powyżej tysiąca studentów z Ukrainy kształci się na 8 uczelniach, w tym 6 niepublicznych: Społecznej Akademii Nauk w Łodzi (1942), Krakowskiej Akademii im. A.F. Modrzewskiego (1801), Uniwersytecie Jagiellońskim

(1277), Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (1212), Collegium Humanum w Warszawie (1130), Akademii Vistula (1118), Akademii Ekonomiczno-Humanistycznej w Warszawie (1080) i Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie (1068).

Warto zauważyć, że ponad połowę studentów międzynarodowych w Polsce stanowią kobiety. Najwięcej jest studentek z Czech (75,3% ogółu Czechów na polskich uczelniach). Wyjątkowo duży odsetek kobiet mają też: Irlandia (61,8%, choć to tylko 202 dziewczyny), Białoruś (60,8%, 4450 dziewcząt), Rosja (60,7%, 720 kobiet) i Norwegia (60,4%, 902 dziewczyny). Wśród najliczniejszej nacji – Ukraińców – jest 55,8%, czyli 21885 kobiet.

Najpopularniejszym kierunkiem studiów wśród cudzoziemców w Polsce jest zarządzanie, które wybrało aż 13 823 osoby (17,7%). Drugi pod względem popularności kierunek lekarski studiuje u nas 7478 obcokrajowców (9,5%). Ostatnie miejsce na podium zajmuje informatyka, którą wybrało 5344 osób (6,8%).

Bodaj w 2015 na konferencji *Studenci zagraniczni w Polsce* w Lublinie Waldemar Siwiński postulował, czy może prognozował, osiągnięcie w 2020 r. liczby stu tysięcy obcokrajowców studiujących w Polsce. Dziś, pięć lat od tamtego czasu, widać, że te prognozy były zbyt optymistyczne, podobnie jak zapowiedzi prof. Wiesława Banysia z końca 2013 roku – a może jego nastawionej nazbyt przebojowo do życia ówczesnej rzeczniczki prasowej – o 15 tys. Brazylijczyków, którzy w ciągu 2 lat (czyli do 2015 r.) przyjadą na studia do Polski. Dziś w naszym kraju nie studiuje ani jeden Brazylijczyk. Wciąż współczynnik internacjonalizacji szkolnictwa wyższego mamy niższy niż sąsiadujące kraje: Czechy, Węgry, Słowacja czy Litwa, nie wspominając o Niemczech. Mimo to uważam, że postęp umiędzynarodowienia polskich uczelni – przy ograniczeniach wynikających z obowiązującego u nas prawa i zwyczajów akademickich, nikłej liczby programów w językach obcych (raptem 626), a także kompetencji uczelnianej kadry nauczycielskiej i administracyjnej – jest nadzwyczaj duży.



Fot. Stefan Ciechan

Przyszło nowe

Kształcenie doktorskie to jeden z procesów, które dzięki Ustawie 2.0 zmienia swój dotychczasowy przebieg. Jak zatem wyglądać będzie tego typu ścieżka naukowa, zastanawia się „Głos Uczelni” (nr 3-4/2019). Łamy czasopi-
sma Uniwersytetu Miko-
łaja Kopernika w Toru-
niu udostępnione zostały
ekspertom, którzy podjęli
się omówienia specyfiki
nowych rozwiązań.



Wiadomo, że w miej-
sce dotychczasowych, tra-
dycyjnych studiów dokto-
ranckich, pojawią się szkoły
doktorskie. W toruńskiej
uczelni powstaną cztery
takie jednostki, w dziedzi-
nach kolejno: nauk medycz-
nych i nauk o zdrowiu,
nauk humanistycznych, nauk społecznych oraz nauk ścisłych i przyrodniczych. Prócz tego uruchomiona zostanie szkoła międzdziedzinowa, której rolę, póki co, pełnić ma istniejąca już Academia Copernicana. Istotnym elementem nowego procesu kształcenia jest z pewnością umiejętna rekrutacja, pozwalająca na wybranie najlepszych kandydatów. W ostatecznym rozrachunku chodzi przecież o to, by w szkołach doktorskich kształcili się pełni pasji ludzie, stale dążący do uzyskania doskonałości naukowej.

Ważną kwestią jest także rola uczelni, na której to w oczywisty sposób spoczywa odpowiedzialność za realizację wyznaczonych przez ustawodawcę zadań, a przez to dostosowanie do nowej rzeczywistości. Tylko wspólne połączenie sił wszystkich zaangażowanych w proces nieuchronnych zmian uczestników, pozwoli bowiem na osiągnięcie wysokiego poziomu jakości rodzimej edukacji.

Studencka aktywność po nowemu

Na temat ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce powiedziano już wiele. Szeroko komentowane i oceniane rozwiązania prezentowane były w zróżnicowanych formach w różnych mediach, w tym także w prasie akademickiej. Wpisując się



w istniejący trend dyskusyjny „Gazeta Uczelniana” (nr 8/2019) Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu tym razem udostępniła swoje łamy tematyce związanej z oddziaływaniem Konstytucji dla nauki na studencką brać.

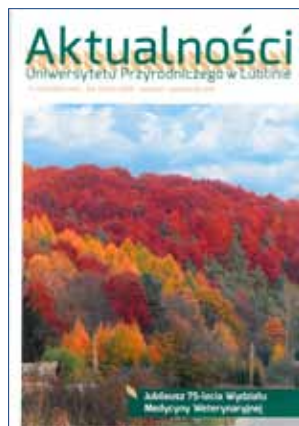
Blok prezentowanych zagadnień oparto na obszarach związanych m.in. z działalnością kół naukowych, gdzie, jak się podkreśla, nastąpiły najbardziej znaczące zmiany. Zrzeszone bowiem do tej pory w Studenckim Towarzystwie Naukowym koła na podstawie nowych przepisów otrzymały całkowitą autonomię, co w praktyce oznacza możliwość przejmowania przez nie funk-

cji pełnionych dotychczas przez STN. Jak wpłynie to na przyszłość towarzystwa? Wydaje się, że jest za wcześnie, by stawiać jednoznaczną diagnozę. Pewne jest natomiast, że nic nie zmieni się, jeśli chodzi o pozytywne oddziaływanie STN na wszystkich studentów, którzy decydują się aktywnie działać w jego ramach. Uzyskane dzięki temu umiejętności i kompetencje, zarówno te społeczne, jak i strictly specjalistyczne, z pewnością zaowocują w przyszłości swobodą poruszania się na wielu obszarach życia zawodowego i osobistego.

Niezależnie więc od ostatecznego kształtu, jaki przybierze STN, praca w towarzystwie, której istotą jest wspieranie rozwoju naukowego i społecznego, zawsze stanowić będzie cenne doświadczenie.

Przemysłana strategia

Różne są drogi prowadzące do celu. Jedni wybierają szybką ścieżkę rewolucyjnych zmian, inni wolą modyfikacje wprowadzone na drodze rozłożonej w czasie, ewolucji. Ten ostatni sposób dobrze się sprawdził w jednej z lubelskich uczelni, o czym przekonuje w rozmowie z „Aktualnościami Uniwersytetu



Przyrodniczego w Lublinie” (nr 5/2019) prof. dr hab. Tomasz Mieczan, dziekan Wydziału Biologii Środowiskowej UP. To właśnie historia tego wydziału stanowi doskonałą egemplifikację tezy dotyczącej ewolucyjnego zmierzania do założonego celu.

Powołana do życia 1 września 2019 r. jednostka ma za sobą kilka etapów rozwoju, które doprowadziły ostatecznie do jej obecnego kształtu.

Wszystko zaczęło się od utworzenia w 1993 r. na Wydziale Zootechnicznym Oddziału Ochrony Środowiska. Aktywne działania władzy uczelni pozwoliły następnie uruchomić kierunek biologia, uzupełniony w 2011 r. o specjalność biologia sądowa. Wieloletnie zaangażowanie władz doprowadziło w kolejnym etapie do uzyskania prawa doktryzowania w dyscyplinie biologii, a finalnie do stworzenia zupełnie nowego Wydziału Biologii Środowiskowej. Obecnie w jego ramach realizowane są cztery kierunki studiów. Oprócz biologii i ochrony środowiska, dostępna jest także biokosmologia oraz biobezpieczeństwo i zarządzanie kryzysowe. Jak podkreśla prof. Mieczan, dwa ostatnie z nich są na tyle unikatowe, że możliwość ich studiowania dostępna jest w Polsce wyłącznie na lubelskiej uczelni.

Podsumowując trzeba powiedzieć, że przemysłana i realizowana krok po kroku strategia pozwoliła osiągnąć efekt, dzięki któremu przyszłość jawi się jako czas możliwości doskonalenia badawczego i rozwoju dyscyplin naukowych, nie tylko, choć przede wszystkim, z zakresu nauk biologicznych, ale także obejmujących rolnictwo i ogrodnictwo, weterynarię, czy zootechnikę i rybactwo, oraz inżynierię środowiska, górnictwo i energetykę, wspólnie tworzących „silny trzon szeroko pojętych nauk przyrodniczych”.

Aneta Zawadzka

Anna Jaskowiak

W małym mieście w Pensylwanii

czyli studia daleko od domu

Kiedy mieszka się za granicą, wszystko co związane z Polską, staje się ważniejsze, jest owiane nutą nostalgii i zadumy. Flaga Polski staje się ważnym symbolem. Jakiegokolwiek jedzenie, chociaż trochę zbliżone do polskiego, staje się cudem.

Prawie dziesięć tysięcy metrów nad ziemią, przelatując ponad Atlantykiem podczas najdłuższej dotąd podróży samolotem, siedziałam przy oknie i zadawałam sobie pytanie: Co ty robisz?! Pierwszy raz w życiu leciałam na kontynent oddalony o ponad pięć tysięcy kilometrów od Europy i ojczystego kraju. Leciałam sama i całym ciałem czułam strach przed nieznanym. Wiele miesięcy wcześniej, podekscytowana na myśl o tym, że już niedługo będę studiować w Stanach, czułam się szczęśliwa. Dostałam list potwierdzający przyjęcie na uniwersytet, a potem, gdy otrzymałam Jim Thompson Sister City Scholarship, który finansował 80% mojej studenckiej przygody w Ameryce, mówiłam do siebie: Tak, to jest to! Jednak gdy z biletem w rękę pomyślałam o pakowaniu, przeszył mnie wewnętrzny paraliż, całe ciało mówiło: „Przestań!”, „zawróć!”, „zostań!”, „jak chcesz to zrobić?!”. Bez wątplenia robiłam najbardziej szaloną rzecz, na którą się w życiu zdobyłam. Nigdy wcześniej nie byłam sama poza domem dłużej niż dwa tygodnie. Tutaj czekał mnie cały semestr (trzy i pół miesiąca) życia w kraju, którego nie znałam, pomiędzy ludźmi, których nigdy wcześniej nie widziałam, a także inną kulturą, do której trzeba przywyknąć. I byłam z tym wszystkim zupełnie sama z walizką ważącą 23 kilogramy.

Pierwszy dzień był dość przyjemny. Zostałam odebrana z lotniska przez pracownika szkoły, który na co dzień zajmował się studentami międzynarodowymi. W jego biurze poznałam innych ludzi zaangażowanych w podobne sprawy. Mogłam stamtąd zatelefonować do domu. Wyjaśniono mi zasady funkcjonowania na kampusie uniwersyteckim. Dostałam poduszkę. I tyle. Pierwszą noc w amerykańskim akademiku spędziłam na samym materacu, przykryta małym, trochę wilgotnym ręcznikiem. Spałam jak zabita z powodu tzw. *jet lagu*. Wiedziałam, że moje życie właśnie teraz się zaczyna.

Najpierw poznałam chłopaka z Nepalu

Myślę, że każdy ma swoje wyobrażenie o studiach w USA. Oglądamy amerykańskie filmy i myślimy, że w rzeczywistości jest tak, jak na ekranie. Byłam jedną z takich osób. Znam innych,

którzy po prostu zawsze chcieli tam przyjechać, żeby zrealizować najskrytsze marzenie. To prawda, oczekiwałam wielkiej przygody, ale Stany nigdy nie były moim największym marzeniem, nie idealizowałam tego kraju, jak wiele innych osób. Traktowałam wszystko z pewnym dystansem.

Mercyhurst University w Erie, gdzie podjęłam studia, to niewielki uniwersytet w małym mieście w Pensylwanii. Byłam jedną spośród około czterech tysięcy studentów tej prywatnej katolickiej uczelni. Każdy mógł iść do uniwersyteckiej kaplicy na niedzielną mszę, ale nie było to obowiązkowe. W Mercyhurst studiowało wówczas około dwustu studentów zagranicznych. Myślę, że nie będzie przesadą, gdy powiem, że mogłam poznać przedstawicieli wszystkich wielkich religii świata. Jedną z największych zalet uniwersytetu była dla mnie właśnie społeczność międzynarodowa. Najpierw poznałam chłopaka z Nepalu. Miałam również paru znajomych z Polski; na moim pierwszym roku było ich tylko ośmioro. Mówi się, że ciągnie swój do swego i na pewno jest w tym wiele racji. Najbliższą koleżanką była Polka. Z czasem w kręgu towarzyskim pojawili się studenci z Rwandy, Etiopii, Hondurasu, Jamajki, Hiszpanii, Nepalu, Buthanu, a nawet Arabii Saudyjskiej i sąsiadujących z nią państw. Najwięcej międzynarodowych studentów pochodziło z Ameryki Południowej.

Zaskakujące, że dużo więcej łączyło mnie ze znajomymi z Afryki czy krajów latynoskich, niż z Amerykanami. Wszyscy byliśmy daleko od domu, w obcym kraju, mieliśmy te same problemy, np. jak dostać się do sklepu, skoro nie mamy samochodu, a autobus jeździ bardzo rzadko, albo gdzie zostawić rzeczy podczas wakacyjnej przerwy. Podobnie, a inaczej niż Amerykanie, spędzaliśmy czas wolny. Oni bawili się do pierwszej, a my do piątej rano. Amerykanie mieli wszystko „podstawione pod nos” przez rodziców, którzy np. pakowali i rozpakowywali ich rzeczy na początku i pod koniec roku, dawali im samochody itd. My musieliśmy o wszystko zadbać sami i pomagać sobie nawzajem. W wielu sytuacjach musieliśmy kombinować bardziej niż obywatele USA. Mieliśmy też mniej pieniędzy

niż Amerykanie i funkcjonowaliśmy na innym poziomie materialnym. Wiele razy odwiedzałam pokoje kolegów, w których były tylko łóżko i walizka, bo międzynarodowi studenci albo mieli mało pieniędzy, albo po prostu oszczędzali na inne rzeczy. Amerykanie mieli całe mieszkania umeblowane i udekorowane rzeczami przywiezionymi przez rodziców.

Oczywiście uniwersytet zaopatrywał nas w łóżko, biurko czy lodówkę, które w zupełności zaspokajały podstawowe potrzeby. Studenci pierwszego roku mieszkali w akademikach, ale wyglądały one zupełnie inaczej niż w Polsce. Na pierwszym roku mieszkalam w dość małym pokoju z Amerykanką. Łazienkę dzieliłyśmy z dwiema dziewczynami z sąsiedztwa. Nie nawiązałam jednak z nią specjalnej więzi, głównie przez to, że nie miałyśmy ze sobą wiele wspólnego.

Różnice kulturowe na pewno odegrały tu znaczącą rolę. Na drugim roku sytuacja się zmieniała. Starsi studenci – *sophomores* – mieszkali w budynkach położonych w odległej części kampusu, czyli na obrzeżach uczelni.

Rygory i zakazy

Kampus składał się z głównego budynku, gdzie znajdowała się kaplica i rezydowali prezydent, czyli rektor, a także inni przedstawiciele uczelni, oraz z biblioteki, trzech akademików i paru innych budynków, w każdym odbywały się zajęcia. W jednym było Performing Arts Center, czyli miejsce, gdzie wystawiano sztuki, występowali studenci z wydziału tanecznego i przyjmowano przyjezdnych artystów. Inny budynek miał księgarnię i kafejkę. Można tam było robić projekty czy się uczyć, a przy okazji napić się dobrej kawy. Na kampusie mieliśmy również siłownię i salę do koszykówki, boisko do footballu amerykańskiego czy lacrosse oraz lodowisko, które niestety było dostępne tylko dla drużyny hokejowej, za to można było tam przychodzić na mecze. Marcyhurst University jest położony poza centrum, do którego można dojechać samochodem w około siedem minut. Problemem był dojazd do sklepu spożywczego, centrum handlowego czy kina, które znajdowały się w zupełnie innej części miasta.

Każdy miał co najmniej dwóch współlokatorów i mieszkał w dwupokojowym apartamencie z małą łazienką i aneksem kuchennym. W budynku było osiem apartamentów nadzorowanych przez RA (*resident assistant*) pilnującego mieszkańców. Jego głównym zadaniem było „ściszanie” imprez, jeśli były zbyt huczne, i pilnowanie, aby nieletni nie pili alkoholu (w Stanach Zjednoczonych można kupić i spożywać alkohol od 21 roku życia) oraz organizowanie raz w semestrze spotkania rezydentów. Można też było się do tej osoby zwrócić z problemami związanymi z mieszkaniem. RA mógł zostać każdy student, który nie miał na koncie poważnych przewinień. W zamian za pilnowanie porządku dostawał mieszkanie i wynagrodzenie. Mer-



cyhurst było bardzo rygorystyczną uczelnią, jeśli chodzi o imprezowanie i picie alkoholu. Mieszkaliśmy na tzw. *dry campusie*, co znaczy, że picie alkoholu na jego terenie jest zabronione.

Kolejnym ważnym aspektem życia studenta zagranicznego był *meal plan*. Każdy z nas musiał mieszkać i odżywiać się na kampusie. Opłata za studia składała się z czesnego oraz kosztów zakwaterowania w akademiku i wyżywienia w stołówce studenckiej. Stypendium pokrywało tylko 80% rachunku. Resztę musieli dopłacić rodzice. Podstawowy *meal plan* zawarty w moim stypendium obejmował dwa posiłki dziennie – wybierałam lunch i kolację. Jedzenie nie było najlepszej jakości, ale na pewno możliwość żywienia się w stołówce studenckiej ułatwiała życie. Nie musiałam się zastanawiać, gdzie i za co zjeść. Choć mieszkanie poza kampusem było dużo tańsze, dzięki stypendium nie miałam wyboru miejsca zamieszkania. Za to jeśli coś się zepsuło w mieszkaniu, dzwoniłyśmy do uniwersyteckich konserwatorów, którzy naprawiali usterkę. Każdy akademik miał dwie pralki i dwie suszarki w piwnicy, za które na szczęście nie trzeba było płacić dwudziestopięciocentówkami (mała, ale znacząca oszczędność).

Kupić czy pożyczyć?

Książki, głównie podręczniki akademickie, to kosztowna sprawa. Ich kupowanie było zmartwieniem każdego semestru. Kiedy jechałam do Erie po raz pierwszy, uniwersytet zaproponował, że może mi kupić książki na pierwszy semestr. Uznałam, że ułatwi mi to życie i się zgodziłam. Po miesiącu z konta pobrano dość dużą sumę. Okazało się, że za książki zapłaciłam prawie sześćset dolarów, a były potrzebne tylko na trzy i pół miesiąca. Zrozumiałam, że trzeba zdobywać podręczniki w inny sposób. Wypożyczałam je na portalach internetowych (co wcale nie było dużo tańsze), pożyczałam od znajomych, nabywałam starsze wersje, kopiowałam je (choć było to zabronione i raczej żaden Amerykanin tego nie robił) albo po prostu szłam na żywiol i nie kupowałam (jeśli wiedziałam, że na konkretnym przedmiocie i tak ich nie używają). Ceny wahały się od 20 do 300 dolarów za książkę. Ważna była edycja, a profesorowie zawsze życzyli sobie, byśmy używali najnowszych i najbardziej kosztownych wersji. Przy odsprzedaży książek nie można było odzyskać nawet połowy ich wartości, szczególnie jeśli co roku wchodziła nowsza, uaktualniona wersja.

Kontakt z profesorami na pewno różnił się od tego, jak wygląda to w Polsce. Praktycznie z każdym nauczycielem można było łatwo porozmawiać czy umówić się na *office hours* (konsultacje), aby omówić postęp w przedmiocie czy następny projekt. Zawsze byliśmy zapewniani, że jeśli mamy wątpliwości, wykładowcy służą nam pomocą. Co ciekawe, przychodzenie na spotkania i pytanie o różne sprawy było traktowane

jako dodatkowe zaangażowanie studenta w przedmiot. Nie praktykowano odpytywania. Generalnie Amerykanie kładą duży nacisk na samodzielne zgłaszanie się do odpowiedzi. Często aktywność tego typu wchodziła w skład oceny końcowej lub dawała dodatkowe punkty. Również chodzenie na dodatkowe wykłady czy eventy, branie udziału w wydarzeniach były zaliczane jako *extra credit*, co dawało możliwość poprawienia ocen. Obecność na większości zajęć była obowiązkowa i zwykle wpływała na ocenę końcową. Każdy profesor miał swój system, a forma oceniania zależała również od przedmiotu i stopnia zaawansowania. Zwykle w ciągu semestru mieliśmy trzy testy pisemne, które były główną częścią ogólnej oceny, jednakże zadawano też różne projekty, niektóre trwające pół semestru i równie ważne, plus inne dodatkowe zadania, jak np. eseje. Oceny zależały od zdobytych procentów, różniły się one nieznacznie na różnych przedmiotach, ale trzeba było zdobyć chociaż 60%, żeby dostać najgorszą z nich, czyli D. W zależności od kierunku każdy musiał zaliczyć określone przedmioty o różnej trudności, były to tak zwane *core classes*, można było też wybierać dodatkowe zajęcia (*electives*), byle tylko nie przekroczyć sześciu przedmiotów na semestr.

Zaliczenia, egzaminy...

Semestr trwał trzy i pół miesiąca. Mniej więcej w połowie mieliśmy tzw. *mid-terms* w zależności od przedmiotu, czasami po prostu parę sprawdzianów w ciągu całego semestru. Oczywiście z większości przedmiotów mieliśmy egzaminy końcowe. Muszę przyznać, że przeważnie nie były one kumulowane, czyli był to po prostu kolejny sprawdzian, zwykle o większej wartości procentowej. Na ogół wiedzieliśmy dokładnie, z czego będzie dany sprawdzian i w jakich rozdziałach podręcznika można

znaleźć potrzebne informacje. Sama ocena semestralna składała się z wszystkich ocen wystawionych w ciągu semestru. Oceny zaczynają się od A, a najniższą jest D. Ocena F, czyli *fail*, oznacza niezdanie przedmiotu.

W zależności od kierunku każdy dostawał swojego *advisor*, czyli osobę, która doradzała wybór konkretnych przedmiotów na dany semestr i pomagała w różnych sprawach czy ewentualnych problemach. Student mógł wybrać do sześciu przedmiotów na semestr; za każdy dostawało się trzy kredyty; za niektóre naukowe nawet cztery, czyli do osiemnastu kredytów na semestr. Choć niektóre przedmioty można było wybierać dowolnie, każdy miał listę wymogów związanych ze swoim kierunkiem i musiał zdać poszczególne przedmioty co najmniej na C. *Graduation*, czyli zaliczenie całych studiów, było możliwe po zdobyciu 121 kredytów.

Chociaż normalnie na studia licencjackie przeznaczają się cztery lata lub nawet więcej, ja skończyłam je w trzy i pół roku. Dzięki zdaniu międzynarodowej matury mogłam przetransferować przedmioty zdane w IB. IB to dwuletni program, w ciągu którego wybiera się sześć przedmiotów (w tym podstawowe: polski, matematyka i angielski), trzy na podstawowym poziomie i trzy na rozszerzonym, pod koniec liceum zdaje się egzamin w języku angielskim (oprócz polskiego). Ten program na pewno ułatwia dostanie się na zagraniczne uczelnie i odnalezienie się na nich, szczególnie w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Dzięki zdaniu międzynarodowej matury mogłam przetransferować pięć przedmiotów, co sprawiło, że byłam o cały semestr do przodu i będąc na uczelni, nie musiałam wybierać takich przedmiotów jak biologia czy matematyka. Na pierwszym roku studiów miałam również mentorkę, z którą spotykałam się raz na semestr i mogłam porozmawiać także o prywatnych sprawach.





Każdy student mógł również dodatkowo zarobić. Było to jednak obwarowane pewnymi regulami. Pod hasłem *work study* kryła się możliwość dorobienia małej kwoty poprzez pracę w poszczególnych departamentach na uczelni w wymiarze pięciu godzin w tygodniu. W USA *international student* nie może być oficjalnie zatrudniony poza kampusem i może zarobić do 1200 dolarów na rok szkolny, z czego trzeba się rozliczyć z IRS-em, czyli urzędem skarbowym. To bardzo pomaga w życiu, ale taka kwota to zaledwie kropla w morzu potrzeb.

Szok kulturowy i własne korzenie

Po ukończeniu studiów każdy międzynarodowy student ma możliwość aplikowania o OPT, czyli przedłużenie wizy studenckiej F1. Pozwala ona na pracę przez rok i zdobycie doświadczenia w swoim zawodzie. Założenie jest dobre, jednak praktyka jest zupełnie inna. Na OPT trzeba aplikować zanim skończy się studia. Na odpowiedź czeka się około trzy miesiące, w ciągu których nie można podjąć żadnej pracy, a utrzymanie jest kosztowne. Jeśli nie znajdzie się zatrudnienia w ciągu trzech miesięcy od otrzymania tego dokumentu, trzeba wracać do domu. Skorzystałam jednak z tej opcji, zdecydowałam się pojechać do Nowego Jorku i znaleźć pracę w przemyśle muzycznym. Kończąc kierunek Arts Management oraz Marketing, chciałam się zatrudnić w firmie, która dałaby mi potrzebne doświadczenie. Okazało się to niemożliwe, bo Nowy Jork to bardzo konkurencyjne miejsce i nawet staż, który odbyłam w jednym z lokalnych centrów kulturalnych (MIAC – Mercyhurst Institute for Arts and Culture), nie pomógł mi dostać pracy w żadnej firmie z branży rozrywkowej. Udało mi się za to znaleźć pracę w biurze, ale nie była to praca moich marzeń.

Myszę, że ważnym elementem wyjazdu na studia za granicą jest szok kulturowy. Nie mówi się o tym dużo, a wiele osób sądzi, że są odporne na tęsknotę za swoim środowiskiem czy zderzenie z zupełnie innym światem. Ja też sądziłam, że szok kulturowy mnie ominie. Po dwóch miesiącach nadal miałam się dobrze i nie odczuwałam szczególnego dyskomfortu. Jednak po paru następnych, szczególnie na drugim semestrze, poczułam się bardzo samotna i tęskniłam za krajem. Kiedy mieszkam się za granicą, wszystko co związane z Polską, staje się ważniejsze, jest owiane nutą nostalgii i zadumy. Flaga Polski staje się ważnym symbolem. Jakiegokolwiek jedzenie, chociaż trochę zbliżone do polskiego, staje się cudem.

Myszę, że dlatego społeczność międzynarodowa była tak bardzo ważna dla mnie i dla innych. Każdy z nas w jakiś sposób tęsknił za domem, rodziną czy przyjaciółmi i swoim zwykłym życiem. Nawet zwykłe wspomnienia były jak skarb i przeżywało się je wciąż na nowo. Zapraszaliśmy się na kolacje – każdy z nas gotował tradycyjne potrawy ze swojego kraju. Spróbowałam kuchni indyjskiej, bangladeskiej, arabskiej, rwandyjskiej czy etiopskiej. Każdy chciał się pochwalić swoim dziedzictwem. I to właśnie robiliśmy. Uczyliśmy się podstawowych słów w różnych językach, poznawaliśmy zwyczaje, a niektóre nawet przejmowaliśmy. Tańczyliśmy do różnorodnej muzyki. Do dziś nie umiem już sobie wyobrazić spotkania towarzyskiego bez jamajskich czy latynoskich brzmień.

Poznanie właśnie tych ludzi zmieniło moje życie. Zrozumiałam, co to znaczy być obywatelem świata. Tu nie chodzi o ignorowanie korzeni, ale właśnie o pokazywanie światu swojej kultury i tradycji oraz przyjmowanie innych zwyczajów. Tak żeby zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo różnorodny, piękny i bogaty jest ten świat oraz móc z niego czerpać pełnymi garściami. Przebywanie z ludźmi z innych krajów na pewno wyzwala w człowieku umiejętność spojrzenia na swoje życie z dystansem oraz z zupełnie innej perspektywy. Myszę, że to jest największa korzyść studiowania za granicą.

Marek Wroński

Ekspresowy doktorat

Dyplom prywatnej Społecznej Akademii Nauk w Łodzi otrzymał w lipcu 2016 r. po skończeniu studiów licencjackich i magisterskich w tej uczelni. Niecały rok później, 28 czerwca 2017 r., na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Medycznego w Łodzi (dyscyplina: biologia medyczna) obronił dysertację doktorską.

Pod koniec każdego miesiąca, kiedy pojawia się konieczność wyboru tematu do kolejnego odcinka „Z Archiwum Nieuczciwości Naukowej”, mam wielki problem, gdyż spraw wartych upublicznienia jest kilkadziesiąt, a miejsca na stronach „Forum Akademickiego” mało. Tym razem postanowiłem opisać sprawę doktoratu mgr. Roberta Haładaj, na którego dysertację zwrócił mi uwagę już rok temu jeden z profesorów z Warszawy, który napisał, że „wyniki są zbyt piękne, aby były prawdziwe”. Stwierdził też, że mimo wieloletniego doświadczenia klinicznego nigdy dotąd nie spotkał się z sytuacją, kiedy wszyscy spośród prawie dwustu kilkakrotnie badanych pacjentów skończyli eksperyment kliniczny zgodnie z protokołem i nikt z niego nie wypadł ani nie zrezygnował.

Przypomniał mi także, że kiedy w maju 2008 r. odkryłem w Warszawskim Uniwersytecie Medycznym sfabrykowane badania na szczurach, pierwszą przesłanką nierzetelności był fakt, iż doktorantce w ciągu dziewięciu miesięcy badań nie zdechł ani jeden szczur z 66 osobników poddanych skomplikowanym zabiegom chirurgicznym transplantacji wysepek trzustkowych do wątroby.

Błyskawiczny doktorat

Robert Haładaj jest z wykształcenia magistrem fizjoterapii, dyplom prywatnej Społecznej Akademii Nauk w Łodzi otrzymał w lipcu 2016 r. po skończeniu studiów licencjackich i magisterskich w tej uczelni. Niecały rok później, 28 czerwca 2017 r., na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Medycznego w Łodzi (dyscyplina: biologia medyczna) obronił dysertację doktorską pt. *Wykorzystywanie oceny napięć mięśnia prostownika grzbietu w celu określenia skuteczności terapii wielokrotnego impulsu u pacjentów z przewlekłymi bólami*. Promotorem doktoratu był prof. dr hab. Mirosław Topol, kierownik Katedry i Zakładu Anatomii Prawidłowej i Klinicznej UM w Łodzi (specjalista ginekolog-położnik), zaś recenzentami: dr hab. Adam Kosiński z Zakładu Anatomii Klinicznej GUMed w Gdańsku (specjalista chorób wewnętrznych) oraz dr hab. Dariusz Witoński (specjalista chirurg-ortopeda) z Katedry Fizjoterapii Klinicznej Instytutu Zdrowia Publicznego Społecznej Akademii Nauk w Łodzi.

Jak wynika z autorskiego streszczenia, badania miały charakter kliniczny, a ich celem było wykazanie skuteczności miorelaksacyjnej oraz przeciwbólowej tzw. terapii wielokrotnego impulsu (Multiple Impulse Therapy – MIT) wykonywanej nieinwazyjnym urządzeniem PulsStar FRAS (Force Recording & Analysis System), produkowanym w USA i kosztującym

około kilkanaście tysięcy dolarów, stosowanym w gabinetach chiropraktycznych. Oceniono też aktywność bioelektryczną powierzchniowej elektromiografii (sEMG) i jej korelację ze spoczynkowym napięciem mięśnia prostownika grzbietu części lędźwiowej kręgosłupa oraz zakres jego ruchomości i obniżenia stopnia niepełnosprawności chorych poddanych badaniom. Zbadano 180 chorych (67 kobiet, 113 mężczyzn) w wieku od 30 do 55 lat (śr. 45,89), cierpiących na udokumentowane medycznie przewlekłe bóle korzeniowe kręgosłupa lędźwiowego.

Autor stwierdził, że badania prowadził w Specjalistycznym Szpitalu Rehabilitacji Leczniczej FIORT-CLINIC (placówka niepubliczna) oraz w Samodzielnym Szpitalu Wojewódzkim w Piotrkowie Trybunalskim w okresie od 7 maja 2016 r. do 2 marca 2017 roku. O włączeniu pacjenta do badania decydowało potwierdzone rozpoznanie oraz pisemna zgoda pacjenta na uczestnictwo w badaniu i samej terapii (która powinna być włączona do historii choroby – MW).

Metodyka badań

Osoby biorące udział w badaniach zostały losowo (?) podzielone na trzy grupy po 60 osób, z których jedna była grupą badaną, a dwie pozostałe grupami porównawczymi. W grupie badanej pacjenci zostali poddani leczeniu MIT. Każdemu wykonano trzy do pięciu zabiegów za pomocą interaktywnej głowicy urządzenia PulStarFRAS. Pacjenci drugiej grupy zostali poddani 20-minutowemu masażowi klasycznemu przeprowadzanemu dziesięciokrotnie w ciągu 14 dni. Natomiast pacjentom trzeciej grupy przez 14 dni podawano tylko silny przeciwzapalny niesteroidowy lek Ketonal Forte (dwa razy dziennie po 100 mg). Wszystkie trzy grupy zostały poddane ocenie diagnostycznej za pomocą urządzenia PulStarFRAS oraz miotonometru Szirmai, jak również sEMG. Ponadto każdy pacjent oceniał nasilenie bólu przed i po zabiegach za pomocą skali oceny bólu VAS i wskaźnika oceny bólu wg Laitinena oraz kwestionariusza bólu krzyża Rolanda-Morrisa, jak również przechodził test ruchomości lędźwiowej Schobera.

Badania jakoby wykazały, że terapia wielokrotnego impulsu (MIT) statystycznie istotnie zmniejsza spoczynkowe napięcie mięśnia prostownika grzbietu u pacjentów z przewlekłymi bólami korzeniowymi kręgosłupa lędźwiowego i jest terapią o dużej skuteczności przeciwbólowej. Co więcej, MIT znacząco obniża aktywność bioelektryczną części lędźwiowej mięśnia prostownika grzbietu u pacjentów z przewlekłymi bólami korzeniowymi kręgosłupa lędźwiowego, co zostało dowiedzione elektromiografią powierzchniową sEMG. Tera-

pięta, w porównaniu z masażem klasycznym i farmakoterapią, jest najskuteczniejszą i najdłużej utrzymującą efekty terapeutyczne, a jednocześnie nieinwazyjną metodą leczenia przewlekłych bólów korzeniowych kręgosłupa lędźwiowego.

Zapytanie i odpowiedź

Obie recenzje doktorskie były pozytywne, ale powierzchowne. Recenzenci nie zauważyli, że zgoda Komisji Bioetyki Uniwersytetu Medycznego w Łodzi na „eksperyment medyczny” została wydana pod koniec września 2016 r., natomiast doktorant stwierdził, że badania wykonywał od 7 maja 2016 r. i ukończył je 2 marca 2017 r. – w pięć miesięcy od uzyskania zgody. Należy pamiętać, że rozpoczęcie badań klinicznych przed uzyskaniem zgody Komisji Bioetycznej jest nielegalne i automatycznie przekreśla te badania i unieważnia pracę.

Ocenę wyników leczenia wykonywano trzykrotnie (przed leczeniem, bezpośrednio po dwutygodniowym leczeniu oraz po 4 tygodniach od zakończenia leczenia). Ogółem przebadano 180 pacjentów, z których żaden nie zrezygnował, co jest mało prawdopodobne.

Na moje pisemne zapytanie, wysłane do obu ośrodków, gdzie jakoby doktorant wykonał badania, odpowiedzi były następujące: „5 września 2019 r. Dyrekcja Samodzielnego Szpitala Wojewódzkiego im. M. Kopernika w Piotrkowie Trybunalskim informuje, że w dniu 16 listopada 2015 r. p. Robert Haładaj zwrócił się do dyrekcji szpitala z prośbą o wyrażenie zgody na uczestnictwo w badaniu i diagnostyce czynności elektrycznej mięśni i nerwów obwodowych oraz o udostępnienie wyników testów przebadanych pacjentów. Z Pańskiego pisma wynika, że w pracy doktorskiej wykorzystano wyniki badań przeprowadzonych w okresie od 7 maja 2016 r. do 7 marca 2017 r. Uprzejmie informujemy, iż we wskazanym przedziale czasowym [...] nie wykonywano badań EMG. Z-ca Dyrektora ds. Lecznictwa, dr n. med. Aneta Baranowska”.

Z kolei prezes Zarządu Fiort Clinic, dr n. med. Mariusz Pingot, w liście z 18 września 2019 r. napisał: „W odpowiedzi na pismo dotyczące badań wykorzystanych w dysertacji doktorskiej p. Roberta Haładaja, pragnę poinformować, iż badania, o których mowa, nie miały miejsca w naszej klinice i nie były prowadzone z udziałem leczonych u nas pacjentów. W dokumentacji medycznej u żadnego z leczonych w naszym Zakładzie pacjentów nie odnotowano takiego faktu. Nie mogę zatem podać terminów prowadzonych badań, ilości badanych pacjentów, podziału i przydziału do grup badanych oraz listy indywidualnej zgody pacjenta”.

Oba listy jasno sugerują, że wyniki badań medycznych przedstawione w dysertacji doktorskiej p. Roberta Haładaja nie mogły zostać uzyskane tam, gdzie wskazał doktorant i prawdopodobnie zostały sfabrykowane.

Z tego powodu zwracam się do przewodniczącego Rady Doskonałości Naukowej, prof. dr. hab. Grzegorza Węgrzyna, o wznowienie tego przewodu doktorskiego i wszczęcie postępowania prowadzącego do unieważnienia stopnia. Jednocześnie apeluję do rektora Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, prof. dr. hab. n. med. Radzisława Kordka, wybitnego patomorfologa, o powołanie rektorskiej komisji, która drobiazgowo sprawdzi rzetelność zgromadzenia danych i wykonania badań, łącznie ze sprawdzeniem dokumentacji szpitalnej, na których dr n. med. Robert Haładaj, obecnie adiunkt w Zakładzie Anatomii Prawidłowej i Klinicznej (kierownik: prof. dr. hab. Michał Polgaj), oparł swój doktorat. Nie można odwracać głowy od takich spraw i powinno się je „ku przestrodze” upubliczniać. Takie przypadki pokazują też, jak ważne są stałe i obowiązkowe wykłady z rzetelności naukowej dla doktorantów oraz wszystkich nauczycieli akademickich.

Chciałbym dodać, że ponad dwadzieścia lat temu grupa siedmiu adiunktów zarzuciła dr. Andrzejowi Wilczyńskiemu z I Katedry i Kliniki Ginekologii i Położnictwa Akademii Medycznej we Wrocławiu fałszerstwo i fabrykację badań w jego monografii habilitacyjnej *Prognozowanie masy urodzeniowej noworodka w ciąży powiklanej cukrzycą*. Ówczesna komisja rektorska, powołana w tej sprawie przez prof. Jerzego Czernika, pojechała do domów kilku pacjentek (wylosowanych z grupy dwunastu kobiet, które wcześniej ustnie potwierdziły brak badań), aby zapytać je i uzyskać formalne oświadczenie, czy przechodziły konkretne badania. Okazało się, że deklarowanych badań u nich nie wykonano, co jednoznacznie potwierdziło fabrykację danych i spowodowało postępowanie dyscyplinarne. Na skutek opieszałości uczelni i „kalectwa” ówczesnych przepisów dyscyplinarnych postępowanie uległo przedawnieniu, co poskutkowało brakiem formalnej kary. Habilitant, spodziewając się negatywnych recenzji, wycofał wniosek habilitacyjny i po jakimś czasie odszedł z uczelni w atmosferze publicznego wstydu, gdyż sprawę opisały wrocławskie gazety oraz „Rzeczpospolita” i „Forum Akademickie” w obszernym artykule *Granice absurdu* (FA 11/1999).

Czy doktorant ma być etyczny?

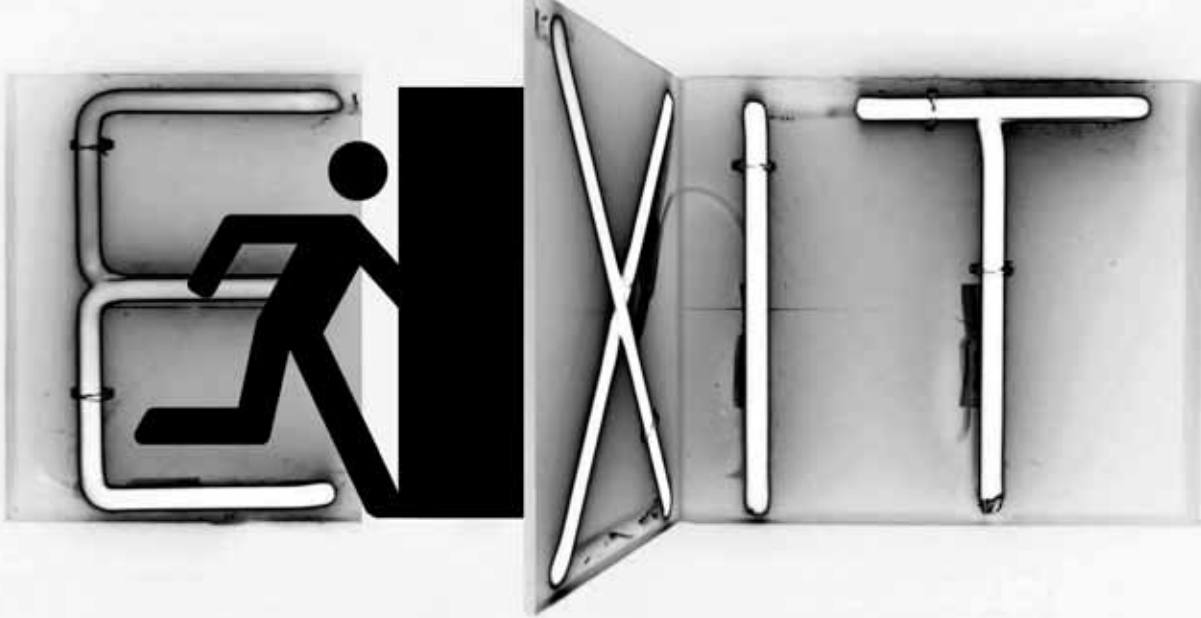
Kolejna historia, którą przedstawiam poniżej, jest dla mnie bulwersująca. Dotyczy ona nadania stopnia doktora nauk prawnych przez Wydział Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego doktorantce (studia doktoranckie w okresie 2012-2015) i później asystentce Katedry Postępowania Karnego (kierownik: prof. Jerzy Skorupka), która została aresztowana w czasie wykonywania obowiązków adwokackich za próbę przekupstwa prokuratora.

Anna Drozd to młoda, zdolna oraz prężna prawniczka, która maturę uzyskała 2005 r. w I Liceum „Carolinum” w Nysie i następnie w 2010 r. skończyła pięcioletnie studia magisterskie na Wydziale Prawa UWr. W latach 2011-2014 r. odbyła aplikację adwokacką, zakończoną egzaminem zdany w marcu 2014 r. W międzyczasie rozpoczęła też studia doktoranckie, zaś przewód doktorski pod promotorstwem prof. Jerzego Skorupki, sędziego Sądu Apelacyjnego we Wrocławiu, otworzono pod koniec czerwca 2013 r. Doktorantka była też stypendystką w projekcie „Rozwój potencjału i oferty edukacyjnej Uniwersytetu Wrocławskiego szansą zwiększenia konkurencyjności Uczelni” w okresie 02.2014–02.2015 r.

Po skończeniu studiów doktoranckich (ale bez napisania pracy doktorskiej) od 1 października 2015 została na okres dwóch lat zatrudniona w Katedrze Postępowania Karnego (kierowanej przez promotora – MW), zapewne w celu umożliwienia jej ukończenia i obrony doktoratu.

Jak wynika z licznych relacji prasowych, 22 maja 2017 r. mecenas Anna Drozd została zatrzymana przez agentów Centralnego Biura Antykorupcyjnego we Wrocławiu i przewieziona do Rzeszowa. Następnego dnia w Podkarpackim Wydziale Zamiejscowym Departamentu do spraw Przeszłości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej postawiono jej zarzuty. Zdaniem prokuratury, dwukrotnie złożyła w połowie 2016 r. obietnicę udzielenia asystentce prokuratorskiej z Dolnośląskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do spraw Przeszłości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej we Wrocławiu korzyści majątkowej w wysokości 200 tys. złotych lub pokrycia kosztów zakupu mieszkania. W zamian za te korzyści asystentka (która była jej koleżanką ze studiów – MW) miała udzielić podejrzanej informacji w zakresie prowadzonego postępowania przygotowawczego wobec znanego przedsiębiorcy, założyciela imperium medialnego Polski Holding Medyczny – Polskie Centrum Zdrowia (PCZ). Dr Romuald Ś. (stomatolog) został na początku grudnia 2016 r. czasowo aresztowany na okres prawie roku. Areszto-

Rys. Sławomir Matal



wano też kilku jego bliskich współpracowników. Od października 2018 r. przed wrocławskim sądem biegnie jego proces o doprowadzenie inwestorów (nabywców obligacji i Bank Millennium) do niekorzystnego rozporządzenia mieniem i doprowadzenia do strat w wysokości ok. 79 mln złotych z holdingu, który kontrolował. Do winy się nie przyznaje i uważa, że to były konieczne decyzje biznesowe, mające na celu wzmocnienie spółek-córek. Jako holding zrzeszający spółki prowadzące działalność operacyjną PCZ zadebiutowało na giełdzie NewConnect w 2011 r. Kurs akcji spółki wzrósł szybko i wysoko, w szczycie dając wycenę sięgającą niemal 2 mld zł. Pod koniec czerwca 2015 r. holding nagle złożył wniosek o upadłość, co sąd zaakceptował z końcem lipca 2015 r.

Po zatrzymaniu Anna Drozd nie przyznała się do winy i złożyła wyjaśnienia. Jednocześnie Sąd Rejonowy w Rzeszowie zgodził się na jej aresztowanie na dwa miesiące. Ten okres był później kilkakrotnie przedłużany.

Po otrzymaniu informacji o krokach organów ścigania Uniwersytet Wrocławski najpierw zawiesił asystentkę Annę Drozd w prawach nauczyciela akademickiego, a później – ze względu na wpływ trzech miesięcy nieobecności w pracy z powodu tymczasowego aresztowania – jej umowa o pracę wygasła z mocy prawa (art. 66 par. 1 kp w związku z art. 128 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym). Można powiedzieć, że nastąpiło to sześć tygodni przed terminem, bowiem zatrudniono ją na czas określony, który upływał 30 września 2017 r.

Akt oskarżenia

Prokuratura skierowała akt oskarżenia do sądu 2 sierpnia 2017 r. Prawdopodobnie ze względu na konieczność wykluczenia ewentualnych powiązań (wg. tygodnika „Do Rzeczy” partner oskarżonej był sędzią Sądu Apelacyjnego we Wrocławiu) proces przeniesiono do Sądu Rejonowego w Lesznie. Postępowanie sądowe na wniosek CBA utajniono. Z tego, co przebiło się na łamy prasy, wynikało, że adwokatka się broniła, mówiąc, że żartowała z propozycją mieszkania lub pieniędzy. Cała rozmowa została jednak nagrana przez CBA.

Proces w pierwszej instancji zakończył się wyrokiem wydanym 10 października 2018 r. Oskarżona została uznana za winną popełnienia przestępstwa z art. 13 par. 1 kk w związku z art. 229 par. 3 kk i skazana na karę jednego roku pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem jej wykonania na okres próby jednego roku. Sąd wymierzył oskarżonej grzywnę w wysokości 17.500 zł, a także orzekł środek karny w postaci zakazu wykonywania zawodu adwokata na okres roku. Uzasadnienie wyroku było niejawnie i odwołała się od niego prokuratura, uznając go za zbyt łagodny jak dla prawnika, który choćby z racji wykształcenia wie, co wolno, a czego nie wolno.

Obrona doktoratu

Praca doktorska została złożona w dziekanacie zapewne na przełomie maja i czerwca, gdyż Rada Wydziału Prawa, Administracji i Ekonomii UW r. powołała 18 czerwca 2018 r. recenzentów, którymi zostali: dr hab. Radosław Koper, prof. UŚ w Katowicach oraz prof. dr hab. Ryszard A. Stefański z Uczelni Łazarzkiego w Warszawie. Obie recenzje 553-stronicowej dysertacji pt. *Normatywne determinanty udziału pokrzywdzonego w polskim postępowaniu sądowym (zagadnienia karnoprocesowe)* były pozytywne, a prof. Koper wnosił nawet o wyróżnienie. Obrona doktoratu odbyła się 25 października 2018 r., zaś Rada Wydziału Prawa, Administracji i Ekonomii UW r. nadała Annie Drozd stopień naukowy 19 listopada 2018 r.

W siedem miesięcy po nadaniu stopnia doktora nauk prawnych, wyrokiem z 26 czerwca 2019 roku Sąd Okręgowy w Poznaniu, uznając trafność zarzutów podniesionych w apelacji prokuratury, zmienił zaskarżony wyrok sądu pierwszej instancji i skazał oskarżoną dr Annę Drozd na dwa lata bezwzględnego pozbawienia wolności. Sąd podzielił argumentację prokuratora i uznał, że oskarżona dopuściła się przestępstwa z art. 229 par. 3 kodeksu karnego, a nie, jak przyjął sąd pierwszej instancji, usiłowania tego czynu. Ponadto sąd orzekł środek karny w postaci zakazu wykonywania zawodu adwokata na okres pięciu lat oraz utrzymał orzeczoną grzywnę w wysokości 17.500 złotych. Wyrok jest prawomocny, ale prawdopodobnie zostanie złożona kasacja do Sądu Najwyższego.

Jeśli będzie nieskuteczna, to po odliczeniu okresu około osmiomiesięcznego aresztowania, nadal pozostanie do odbycia kara kilkunastu miesięcy więzienia, co nie jest pobytem „na długich wczasach”. Zarówno poprzednie ustawy o szkolnictwie wyższym, jak i obecna, zabraniają zatrudniania nauczyciela akademickiego, jeśli był karany za przestępstwo umyślne. Natomiast wykreślono wymagania, aby wykładowca czy też kandydat na doktora lub profesora był osobą o nienagannej reputacji.

Sprawę tę opisuję, bowiem uważam, że uczelnia nie powinna prowadzić przewodu doktorskiego w sytuacji, gdy doktorant ma proces karny o przekupstwo/łapówkarstwo czy też o inne przestępstwo ścigane z oskarżenia publicznego.

Podobna sytuacja ma miejsce obecnie na Uniwersytecie Ekonomicznym w Poznaniu (rektor: prof. Maciej Żukowski), gdzie otworzono nowy przewód doktorski osobie, której wcześniejsza dysertacja na AWF w Poznaniu nie została uznana z powodu wykrycia poważnego naruszenia praw autorskich i zarzutu sfałszowania danych. Obecnie toczy się wobec niej proces karny, który z powodu plagiatu w nienadany doktoracie wytoczyła poznańska prokuratura. Niedoświadczona doktorantka zatrudniona jest w prywatnej uczelni jako „adiunkt”, a sędziwa rektor, prof. Kamila

Wilczyńska, nie wszczęła dotąd wymaganego prawem postępowania dyscyplinarnego. O szczegółach tej sprawy pisaliśmy rok temu (patrz: *Nauka idzie w las*, FA 2/2019 oraz *Sprawa doktoratu M. Górskiej*, FA 9/2019). Ciekawostką jest to, że AWF w Poznaniu nie otrzymała do dzisiaj kwoty kilkunastu tysięcy złotych tytułem pokrycia kosztów przeprowadzonego zaocznie przewodu doktorskiego Magdaleny G., którą ta pisemnie zobowiązała się pokryć.

Chciałbym też dodać, iż moim zdaniem rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, prof. Adam Jezierski (chemik), nie dopełnił swoich obowiązków, nie polecając wszczęcia wyjaśniającego postępowania dyscyplinarnego wobec etatowego asystenta uczelni (jakim była Anna Drozd), któremu zarzucono popełnienie przestępstwa – czynu naruszającego godność nauczyciela akademickiego. W tym samym czasie rektor jednak zawiesił

asystentkę w prawach nauczyciela akademickiego. Jednocześnie powinien zostać zawieszony przewodnik doktorski.

Sprawa aresztowania Anny Drozd odbiła się głośnym echem na uczelni, co jednak nie spowodowało „alarmu” wśród kierownictwa wydziału (dziekan: prof. dr hab. Karol Kiczka) i na tyle zaślepiło członków Rady Wydziału, że zezwolili na uruchomienie przewodu doktorskiego poprzez powołanie recenzentów. Nikomu z szacownych nauczycieli akademickich, prawników (wśród których są wybitni sędziowie i profesorowie), nie przeszkadzało to, że zapadł skazujący wyrok. Mimo to w dwa tygodnie później dopuszczono doktorantkę do obrony, a po dalszych trzech tygodniach nadano stopień doktora. O tempora, o mores!

Marekwro@gmail.com

Z całą powagą

W nawiązaniu do artykułu pt. *Pobłażliwość zamiast kary* (FA 10/2019) autorstwa Pana Redaktora Marka Wrońskiego informujemy, że komisja oceniająca Wydziału Filologicznego we wrześniu br. wydała negatywną ocenę działalności naukowej Pani dr Magdaleny Lewickiej za okres ostatnich 4 lat oraz upoważniła Dziekana Wydziału do sformułowania wniosku do Rektora UMK o rozwiązanie z nią umowy o pracę. Pani dr Lewicka odwołała się od tej oceny do Odwoławczej Komisji Oceniającej Uniwersytetu, ale ta instytucja, obradując pod przewodnictwem JM Rektora UMK, prof. Andrzeja Tretyna, nie podzieliła przedstawionych przez nią argumentów i jednogłośnie podtrzymała ocenę Wydziałowej Komisji. W związku z takim werdyktem Dziekan Wydziału Humanistycznego (do końca września br. funkcjonującego pod nazwą Wydziału Filologicznego), prof. Przemysław Nehring zwrócił się do JM Rektora z wnioskiem o rozwiązanie umowy o pracę z dr Magdaleną Lewicką z początkiem kolejnego semestru. Wniosek ten został przez Rektora zaakceptowany.

Jednocześnie informujemy, że żaden z zarzutów sformułowanych w toku postępowania dyscyplinarnego przez Panią dr Magdalenę Lewicką przeciwko innym osobom związanym z naszym Uniwersytetem, w szczególności Pani dr hab. Joannie Kulwickiej-Kamińskiej, prof. UMK oraz Panu dr hab. Czesławowi Łapiczowi, prof. UMK, nie został przez nią

poparty żadnym materialnym dowodem, który mógłby takie oskarżenia uzasadniać.

Stanowczo odrzucamy sugestię zawartą w artykule Pana Redaktora Wrońskiego jakoby nasz Uniwersytet traktował w sposób pobłażliwy przypadki nierzetelności naukowej. Znalezienie się przez nas w elitarnym gronie dziesięciu polskich uczelni badawczych każe nam z całą powagą traktować najmniejsze choćby przypadki tego typu uchybień godności nauczyciela akademickiego. Nie oznacza to jednak ingerowania władz Uczelni w wątpliwą działalność Komisji Dyscyplinarnej ani podawania w wątpliwość udzielonych przez nią kar. Za kompletnie nieuzasadnione, a nawet boleśnie krzywdzące wobec członków tej Komisji uznajemy zawarte w artykule sugestie, jakoby miała ona szczególnie sprzyjać Pani dr Lewickiej, a za zupełnie niedopuszczalne powoływanie się dla poparcia tej tezy na podsłuchane na korytarzu prywatne rozmowy.

Z poważaniem,

prof. dr hab. Przemysław Nehring,
dziekan Wydziału Humanistycznego UMK,

prof. dr hab. Andrzej Sokala,
prorektor UMK ds. Studenckich i Polityki Kadrowej

W odpowiedzi autorom

Komentując list Dziekana prof. P. Nehrunga oraz Prorektora UMK, prof. A. Sokali dotyczący mojego artykułu (FA 10/2019), opisującego liczne naruszenia praw autorskich przez dr Magdalenę Lewicką i opieszałą reakcję uczelni, w tym Rzecznika Dyscyplinarnego, Krzysztofa Lasińskiego-Suleckiego (podlega on rektorowi), odsyłam Czytelników do tego artykułu.

Pani Lewicka za wielokrotne naruszenie prawa autorskich innych osób nie została nawet zawieszona przez JM Rektora, który np. w przypadku kontrowersyjnego felietonu prasowego, opublikowanego przez prof. Aleksandra Nalaskowskiego, z miejsca zawiesił go na trzy miesiące! Uczelniana Komisja Dyscyplinarna wykazała pobłażliwość, karząc obwinioną jedynie naganą.

Prywatne rozmowy na korytarzu są faktem i wskazują na brak świadomości, jak naganne jest łamanie rzetelności

naukowej. „Niezależność” organów uczelnianych nie broni ich przed krytyką społeczną, zaś osoby, które „zawodzą” w działaniu tych organów, należy ewentualnie wymienić na takie, które „nie nazywają szamba perfumerią”.

Bycie „uniwersytetem badawczym” wyznacza nowe standardy jakości dla UMK i mam nadzieję, że uczelnia bardzo poważnie podejdzie do prewencji nierzetelnych zachowań, a wobec tych, którzy naruszają rzetelność naukową, będzie wyciągała surowe konsekwencje.

I taka była obietnica prorektora A. Sokali, kiedy jesienią 2019 r. rozmawiałem z Nim osobiście w Toruniu.

Dr hab. Marek Wroński, prof. PWSZ w Kaliszu, publicysta, „Z Archiwum Nieuczciwości Naukowej”

Paweł Gora

Inteligencja

Program AlphaGo wygrywa w go ze wszystkimi swymi twórcami. Można więc powiedzieć, że „uczeń przerósł mistrza”. Podobnie rzecz się ma w przypadku stworzonej przeze mnie i mój zespół TensorCell sieci neuronowej, skoro ten uczeń, sieć neuronowa, potrafi tak dokładnie i szybko przybliżyć wyniki symulacji komputerowej, którą opracowaliśmy wcześniej.

Czy zastanawialiście się kiedyś nad tym, czym jest inteligencja? Większość definicji zakłada posiadanie zdolności do postrzegania, rozumowania, uczenia się, adaptacji do zmieniającego się otoczenia i wykorzystywania wiedzy i umiejętności w nowych sytuacjach. Najczęściej mówi się o inteligencji ludzi i zwierząt, a więc organizmów żywych mających mózg – biologiczny organ. Jednak czy inteligencja musi być jedynie cechą istot, które uważamy obecnie za „żywe”? Często mówi się też o sztucznej inteligencji, dlatego że nie występuje w sposób naturalny w przyrodzie, lecz w emergentny sposób pojawia się w maszynach i algorytmach tworzonych dzięki innej inteligencji, np. człowieka.

Jesteśmy świadkami rozkwitu fascynującej dziedziny nauki, sztucznej inteligencji (w skrócie: AI, od angielskiego zwrotu Artificial Intelligence), który jest możliwy dzięki dostępności coraz większej ilości danych i mocy obliczeniowej komputerów, ale również dzięki nowym odkryciom i pomysłom. Coraz częściej słyszymy o tym, że komputer wygrywa z ludźmi (i to mistrzami świata!) w różne gry, np. w szachy, go lub pokera, które wymagają olbrzymich możliwości intelektualnych, związanych właśnie z rozumowaniem, uczeniem się, radzeniem sobie w dynamicznie zmieniających się warunkach. Programy komputerowe potrafią już rozpoznawać obiekty na zdjęciach lepiej niż ludzie, jeździć samochodem, rozpoznawać mowę i tłumaczyć tekst z jednego języka na drugi, potrafią też wykazywać się kreatywnością i tworzyć nowe dzieła na podstawie obrazów lub tekstów, które widziały wcześniej.

Te nowe umiejętności programów znajdują zastosowanie w praktyce, w produktach tworzonych przez firmy informatyczne. Wiele wskazuje na to, że wkraczamy w erę wielkiej rewolucji związanej z pojawieniem się na skalę masową sztucznej inteligencji, rozwiązywaniem przez nią coraz bardziej skomplikowanych problemów lepiej niż ludzie i w związku z tym – stopniowym wyręczaniem ludzi w wykonywanych przez nich pracach.

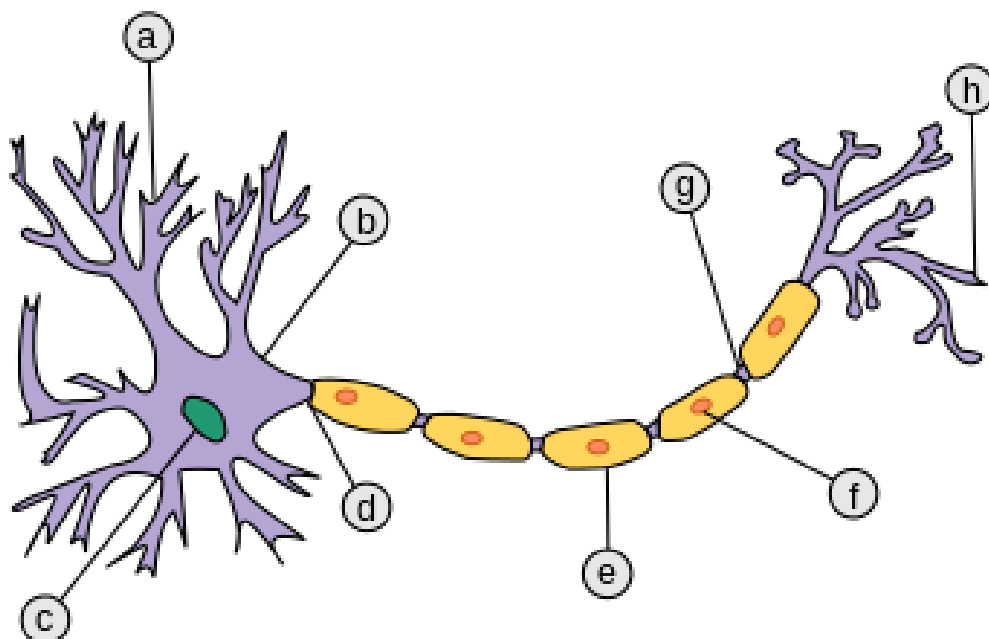
Wiele razy w przeszłości naukowcy zapowiadali pojawienie się lada moment sztucznej inteligencji przewyższającej człowieka w większości zadań, a jednak jeszcze się to nie stało. Istniejące programy komputerowe potrafią być lepsze od człowieka w pewnych konkretnych zadaniach (np. gra w go, rozpoznawanie obrazu), ale wydaje się, że wciąż daleko do stworzenia ogólnej sztucznej inteligencji. Związane z nią koncepcje pojawiły się już w połowie XX wieku, a mieliśmy przecież od tamtej pory zarówno okresy rozkwitu AI, jak i czas określany jako

„zima sztucznej inteligencji”, gdy zainteresowanie tematem spadło i zredukowano nakłady na badania naukowe w tej dziedzinie. Dlaczego właśnie teraz miałby nastąpić przełom? Aby to zrozumieć, należy się zagłębić w istotę sztucznej inteligencji i poznać najnowsze odkrycia naukowe w tej dziedzinie.

Coraz większe zbiory danych

Wspomniałem, że jedną z głównych cech inteligencji jest zdolność do uczenia się i adaptacji do zmieniających się warunków. Aby się czegoś uczyć, trzeba mieć dane, na podstawie których można się uczyć. Trzeba mieć również pewne zasoby (np. moc obliczeniową, pamięć), aby te dane przetwarzać, oraz algorytmy – przepisy na to, w jaki sposób posiadane dane analizować, wyciągać z nich wnioski i odkrywać wzorce, prowadzić rozumowania i doskonalić własny sposób działania, aby poradzić sobie z nowymi danymi – do pewnego stopnia podobnymi, lecz jednak innymi (od rozwiązań określanymi jako „inteligentne” powinniśmy oczekiwać, że poradzą sobie w nowych sytuacjach, niespotkanych wcześniej).

Algorytmy uczące się istnieją od dawna, przez wiele lat dużym problemem było jednak pozyskanie i przygotowanie odpowiednich danych, na których te algorytmy mogłyby być trenowane. Proces ten jest często najbardziej pracochłonnym etapem w trakcie uczenia algorytmów. W przeszłości algorytmy były trenowane na stosunkowo niedużych i prostych zbiorach danych (w porównaniu do tego, co robi się obecnie). Wraz z rozwojem informatyki i Internetu zaczęły się pojawiać coraz większe zbiory danych, a dane te były coraz lepszej jakości, były uporządkowane, udokumentowane, pojawiały się gotowe narzędzia do ich zbierania, przygotowywania i analizy, czemu sprzyjała coraz większa moc obliczeniowa. Dostępność dużej mocy obliczeniowej (w tym kart graficznych i innych narzędzi umożliwiających szybsze przetwarzanie danych w postaci tensorowej) spowodowała też, że sam proces tworzenia algorytmów stawał się coraz prostszy, algorytmy te mogły działać na coraz większych zbiorach danych, przystosowując się w ten sposób do rozwiązywania coraz bardziej złożonych problemów, coraz bliższych rzeczywistości, mających coraz większe znaczenie praktyczne. Spowodowało to większe zainteresowanie naukowców oraz firm chcących skorzystać z magii algorytmów sztucznej inteligencji do rozwiązywania trudnych problemów cywilizacyjnych i komercyjnych, które dotychczas były poza zasięgiem ludzi i klasycznych algorytmów. Większe zainteresowanie



Rys. 1 Schemat budowy neuronu zwierzęcego: a – dendryty, b – ciało komórki, c – jądro komórkowe, d – akson, e – odczka mielinowa, f – komórka Schwanna, g – przewężenie Ranviera, h – zakończenia aksonu. Źródło: <https://pl.wikipedia.org/wiki/Neuron>

naukowców i finansowanie badań przyniosło kolejne odkrycia, lepsze pomysły i ważniejsze wyniki, lepsze rozumienie procesów związanych z trenowaniem algorytmów, a w konsekwencji: dynamiczny, niespotykany chyba wcześniej w historii rozwój całej dziedziny, który od kilku lat trwa do dziś, i nic nie wskazuje na to, aby wkrótce miał się zatrzymać.

Maszynowe uczenie

Czy może to doprowadzić do powstania komputera, który będzie w stanie wykonywać każde zadanie lepiej od człowieka? Byłoby to przełomowe dla całej naszej cywilizacji, więc warto się nad tym zastanawiać. Naukowcy czynią to już od kilkudziesięciu lat. Pomimo hipotez dotyczących ograniczeń komputerów, związanych z twierdzeniami matematyki i prawami fizyki, nie ma naukowego dowodu, że komputery nie osiągną poziomu możliwości człowieka w każdej dziedzinie. Obserwujemy za to łamanie kolejnych barier i pokonywanie człowieka przez maszyny w kolejnych zadaniach.

Największy przełom w ostatnich latach związany jest z obszarem sztucznej inteligencji znanym jako maszynowe uczenie. Badane są algorytmy nadające komputerom kluczową dla inteligencji cechę uczenia się na podstawie doświadczenia. Zasadniczo wyróżnia się trzy klasy zagadnień uczenia maszynowego: uczenie z nadzorem (w którym dany jest zbiór treningowy złożony z przykładowych par wejście-wynik i celem jest jak najlepsze przybliżenie wyniku dla nowych danych wejściowych), uczenie bez nadzoru (do elementów w zbiorze treningowym nie mamy przypisanym poprawnych decyzji, możemy jednak analizować sam zbiór i wykrywać zależności między jego elementami, np. budować klastry) oraz uczenie ze wzmocnieniem (w tym przypadku zbiór treningowy nie jest dostępny od razu, ale w zależności od stanu algorytm podejmuje określone decyzje i otrzymuje informację zwrotną od otoczenia, mówiącą, na ile ta decyzja była dobra; na tej podstawie usprawnia swoje działanie). Są też zagadnienia z pogranicza tych klas, np. gdy zbiór treningowy nie jest dostępny w całości lub tylko dla jego części są znane prawidłowe odpowiedzi.

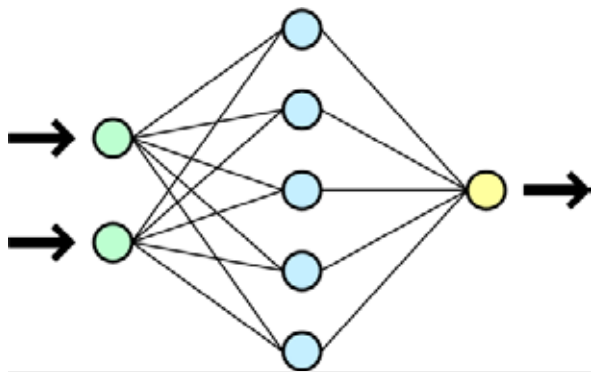
Duże sukcesy w dziedzinie uczenia maszynowego odnoszą np. głębokie sieci neuronowe i w dużym stopniu to właśnie one stały się największym beneficjentem pojawienia się większej ilości i lepszej jakości danych oraz większej mocy obliczeniowej

(często są to warunki konieczne, bez których stosowanie sieci neuronowych może nie być dobrym rozwiązaniem). To właśnie sieci neuronowe w dużym stopniu przyczyniły się też w ostatnich latach do dynamicznego rozwoju AI. Słowo „neuronowe” już daje pewne skojarzenia z umysłem. Mózg człowieka składa się właśnie z dużej liczby neuronów, szacowanej na 100 miliardów. Faktycznie sieci neuronowe inspirowane są ludzkim umysłem, ich podstawowym budulcem są perceptrony – obiekty naśladujące działanie neuronów w mózgu (Rys. 1). Pojedynczy perceptron (sztuczny neuron) otrzymuje na wejściu pewne dane i przetwarza je w określony sposób, przekazując na wyjściu wynik. Perceptrony mogą być ze sobą połączone tak, że wynik obliczeń jednego z nich stanowi sygnał wejściowy do innego. W ten sposób może współdziałać wiele warstw perceptronów, przetwarzając dane otrzymane na wejściu aż do obliczenia wyniku, zgodnie z regułami w perceptronach oraz wartościami parametrów ich połączeń (Rys. 2). Często dane przetwarzane są w jednym kierunku, ale istnieją też rekurencyjne sieci neuronowe (stosowane np. do analizy szeregów czasowych, rozpoznawania mowy i tłumaczeń tekstów), w których połączenia między perceptronami z różnych warstw mogą tworzyć cykle.

W jaki sposób uczy się sieć neuronowa?

W przypadku uczenia z nadzorem, na podstawie zbioru treningowego, czyli dużego zbioru par wejście-wynik, obliczana jest funkcja oceniająca jak dobrze dana sieć przybliży rzeczywiste wyniki dla danych wejściowych, a następnie wagi połączeń między neuronami są modyfikowane tak, aby zmniejszać popełniany błąd. Służy do tego np. algorytm propagacji wstecznej, który oblicza, jak należy zmodyfikować wagi połączeń między kolejnymi warstwami neuronów. Jest to typowy schemat uczenia algorytmów, w większości metod występuje zbiór treningowy, do którego algorytm dobiera ustawienia minimalizujące pewną funkcję.

Sieci neuronowe mogą być zorganizowane w sposób hierarchiczny: w kolejnych warstwach przetwarzane są dane z niższego poziomu i wyniki przekazywane są do kolejnej warstwy. Dzięki temu z danych niskopoziomowych, relatywnie prostych, można stopniowo otrzymywać coraz bardziej złożone, wysokopoziomowe informacje. Jeśli tych warstw jest dużo, to mamy do czynienia z głębokimi sieciami neuronowymi. Takie



Rys. 2 Schemat sztucznej sieci neuronowej z jedną warstwą wejściową, jedną warstwą ukrytą i jedną warstwą wyjściową. Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Sie%C4%87_neuronowa.

metody uczenia nazywane są deep learningiem, czyli głębokim uczeniem. Zaczęły już nawet powstawać specjalne architektury głębokich sieci, aby proces uczenia był jak najlepszy, przykładem mogą być konwolucyjne sieci neuronowe, w których układ połączeń między neuronami inspirowany jest budową narządu wzroku (kory wzrokowej) ludzi. Obecnie potrafią już one rozpoznawać obiekty na zdjęciach szybciej i skuteczniej niż ludzie, a korzysta się z tego np. w sensorach pojazdów bezzałogowych.

W pracy badawczej stosują głębokie sieci neuronowe do innych zadań. Uczą je przybliżać wyniki symulacji komputerowej ruchu drogowego. Do czego może się to przydać? Dokładna symulacja ruchu w dużej skali jest czasochłonna. Można oczywiście kupować coraz lepszy sprzęt, równoległa obliczenia na wiele maszyn, procesorów i karty graficzne. Moc obliczeniowa jednak kosztuje, równoleganie obliczeń nie jest łatwe, a czasem potrzebnych obliczeń jest po prostu za dużo (np. gdy badam wiele ustawień sygnalizacji świetlnej, aby wybrać najlepsze). Dlatego też stosuję przybliżenia symulacji ruchu, które mogą być obliczane znacznie szybciej kosztem pewnej (nie dużej) utraty dokładności. Okazuje się jednak, że proste przybliżenia często nie wystarczają i dopiero sieci neuronowe przynoszą zadowalające rezultaty. W zespole badawczym TensorCell wytrenowaliśmy sieć neuronową na danych z około stu tysięcy symulacji komputerowych uruchomionych z różnymi parametrami, za jej pomocą przybliżamy wyniki symulacji komputerowej ruchu drogowego z błędem rzędu około 1-2%, ale otrzymujemy wyniki obliczeń o kilka rzędów wielkości szybciej niż w przypadku uruchamiania symulacji komputerowych, co daje możliwość przetestowania znacznie większej liczby ustawień świateł i potencjalnie zarządzania ruchem w czasie rzeczywistym.

Skuteczniejsze metody zarządzania ruchem

Dokładne zrozumienie działania i fenomenu skuteczności sieci neuronowych (oraz innych algorytmów sztucznej inteligencji) bywa trudne, a czasem sytuuje się poza zasięgiem większości ludzi. Przykładem może być pojedynek w go w 2016 roku pomiędzy jednym z najlepszych z ludzi w tej grze, Koreańczykiem Lee Sedolem, a programem AlphaGo stworzonym przez zespół z DeepMind. W trakcie pięciu rozgrywek AlphaGo wykonał ruchy, których nie spotyka się u profesjonalnych graczy go, po pewnym czasie okazywało się, że były świetne, ale nawet wielkim mistrzom zajęło dużo czasu, aby to zrozumieć (obecnie to ludzie grający w go uczą się od AlphaGo i zaczynają tworzyć i stosować nowe strategie gry; są jednak małe szanse na to, że ludzie ponownie będą wygrywać z najlepszymi programami). W przypadku mojego programu do sterowania ruchem drogowym również czasami obserwowałem wyniki (znajdo-

wane ustawienia świateł), o których nie można było twierdzić, że są dobre, dopiero po przeprowadzeniu symulacji komputerowej udało się zaobserwować, dlaczego otrzymane wyniki faktycznie takie są. Może to pomóc tworzyć znacznie bardziej złożone, ale jednocześnie skuteczniejsze metody zarządzania ruchem w dużej skali niż metody, które stosuje się obecnie (np. typowa „zielona fala” lub też adaptacyjne sterowanie światłami na niedużym obszarze).

Program AlphaGo wygrywa w go ze wszystkimi swymi twórcami. Można więc powiedzieć, że „uczeń przerósł mistrza”. Podobnie rzecz się ma w przypadku stworzonej przeze mnie i mój zespół TensorCell sieci neuronowej, skoro ten uczeń, sieć neuronowa, potrafi tak dokładnie i szybko przybliżać wyniki symulacji komputerowej, którą opracowaliśmy wcześniej. Z drugiej strony, skoro tak dobrze wytrenowaliśmy tego ucznia, to być może jesteśmy dobrymi nauczycielami maszyn? Może być to pocieszające dla nas, ludzi, bo sieć neuronowa by tego nie potrafiła. Została wytrenowana do pewnego specyficznego zadania: przybliżania wyników symulacji ruchu drogowego. Nie potrafi utworzyć sieci, która byłaby potężniejsza od niej, a coś takiego potrafimy zrobić my, ludzie (warto jednak wspomnieć, że rozwijane są już też algorytmy AI, których celem jest tworzenie i uczenie innych algorytmów AI, które byłyby najlepsze w danym zadaniu, a więc w pewnym sensie mogłyby zastąpić ludzi w zadaniu uczenia maszyn – ta dziedzina AI nazywana jest metalearningiem, a więc metauczeniem). Możemy więc na razie spać spokojnie, przynajmniej ta sieć nie będzie w stanie stworzyć sztucznej inteligencji, która mogłaby zagrozić ludzkości.

Nauczyciel maszyn

Czy jednak coś takiego jest w ogóle możliwe i AI może faktycznie zagrozić ludzkości? Skoro powstają pojazdy autonomiczne jeżdżące bez udziału człowieka, mogą powstawać autonomiczne czołgi i samoloty oraz programy podejmujące kluczowe decyzje zamiast ludzi? Czasem może być to niebezpieczne i nie zawsze należy do tego dopuścić. Nie oznacza to jednak, że nie trzeba rozwijać metod sztucznej inteligencji. Mogą one przynieść znaczne korzyści, wyręczać ludzi w wykonywaniu niebezpiecznych lub żmudnych, czasochłonnych prac, pomagać w rozwiązywaniu trudnych problemów, będących dziś poza naszym zasięgiem. Wszelkie przedmioty, pomysły i odkrycia mogą być zastosowane zarówno w dobrych, jak i w złych celach, wszystko zależy od tego, kto je stosuje i jakie ma intencje. To samo dotyczy AI, choć w tym przypadku pewnym dodatkowym zagrożeniem jest to, że pomimo dobrych intencji superpotężne algorytmy AI mogą potencjalnie wymknąć się kiedyś spod kontroli ludzi. Dziś jesteśmy od tego bardzo daleko, wszystkie algorytmy AI są pod kontrolą, a naukowcy pracują też nad rozwiązaniami, które powinny zapewnić, że superinteligencja, która mogłaby kiedyś powstać, nie będzie mogła wyrządzić krzywdy ludzkości.

Komputery, które obecnie są przez ludzi głównie programowane, w przyszłości w coraz większym stopniu będą przez ludzi uczone. Zawodem przyszłości może być „nauczyciel maszyn” i będzie to zawód bardzo ważny i odpowiedzialny. To od ludzi będzie zależeć, czego komputery się nauczą i co będą mogły robić. Moje pokolenie przystosowało się do komputerów, można wręcz powiedzieć, że wychowaliśmy się razem z komputerami. Teraz jesteśmy wśród tych, którzy przystosują komputery do ludzi, dając im pewien poziom inteligencji, aby mogły nam jak najlepiej służyć.

Mgr Paweł Gora jest asystentem naukowym na Wydziale Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego.

Naukowe grzybobranie

Grzyby otwierają drogę do stworzenia nowych, przyjaznych środowisku technologii poprzez ich aplikację w oczyszczalni ścieków, gdzie mogą służyć do usuwania różnych grup farmaceutyków. To właśnie one wydają się idealnym narzędziem do walki o czyste środowisko.

Nie tak dawno temu i wcale nie w odległej galaktyce, lecz w Europie w XX wieku, zaczęto stosować substancje chemiczne do leczenia nowotworów. Od tego czasu badania tendencji konsumpcyjnych w skali globalnej wskazują na ciągle zwiększanie wykorzystania leków cytostatycznych, czyli farmaceutyków używanych w terapii przeciwrakowej. Ich działanie jest różne w zależności od konkretnego leku, ale najogólniej mówiąc, mają one na celu inhibicję lub całkowite zablokowanie powielania materiału genetycznego w komórkach nowotworowych. Ze względu na to, że coraz popularniejsza jest terapia doustna, ich niezmetabolizowane części, substancje pokrewne i aktywne metabolity po wydaleniu przez pacjentów trafiają do ścieków komunalnych. Niestety w tym momencie cytostatyki przestają być pozytywnymi bohaterami naszych czasów, lecz wpisują się na karty historii jako czarne charaktery.

Zmiana modelu terapii i wzrost intensywności leczenia przeciwnowotworowego w domu sprawiła, że większość zalecanych środków cytotoksycznych jest obecnie dostępna w aptekach. W konsekwencji następuje eliminacja etapu podczyszczania stosowanego w przypadku ścieków szpitalnych. Wraz ze ściekami komunalnymi, szpitalnymi i pochodzącymi z fabryk zajmujących się ich produkcją cytostatyki wpływają do klasycznych oczyszczalni, gdzie ze względu na niską biodegradowalność nie są skutecznie usuwane. Oznacza to, że w dalszej kolejności trafiają do wód powierzchniowych i gruntowych. Niepodważalna wygoda i komfort pacjentów sprowadziły niebezpieczeństwo na ekosystemy. Koncentracja cytostatyków w środowisku wodnym zależy od lokalizacji, matrycy i konkretnego leku, ale ich wartości mogą dochodzić nawet do ćwierć miliona nanogramów w jednym litrze.

Od bohatera do szwarzcharakteru

Coraz częściej pojawiają się informacje o ekotoksyczności leków przeciwnowotworowych w środowisku wodnym. Jednak wiedza na ten temat wciąż pozostaje niepełna, dlatego jako młody naukowiec postanowiłam uzupełnić tę lukę i niczym wytrawny pokerzysta powiedziałam: Sprawdź! Przebadalam wpływ dwóch wybranych leków na trzech poziomach troficznych:

przedstawicieli producentów, konsumentów i reducentów. Wyniki były mrożące krew w żyłach. Roślina (*Lemna minor*) przestała rosnać, skorupiak (*Daphnia magna*) został unieruchomiony, bakteria (*Pseudomonas putida*) przestała się namnażać, a to wszystko w bardzo niskich stężeniach, które alarmują, że mamy do czynienia z niezwykle toksycznymi substancjami. Leki te stały się więc zagrożeniem dla środowiska wodnego i żyjących w nim organizmów.

Farmaceutyki często projektowane są w taki sposób, by miały działanie biologiczne już przy niskich dawkach, działając na układy fizjologiczne. Cytostatyki mogą powodować toksyczność zarówno ostrą, jak i chroniczną, czyli wywołaną poprzez kontakt z nimi w dłuższym okresie czasu, wpływając na stabilność materiału genetycznego roślin i zwierząt wodnych. Ponadto w środowisku wodnym możliwe jest wzajemne wzmocnienie działania kilku substancji, a więc mogą występować efekty addytywne lub synergistyczne mieszanin farmaceutycznych i innych stresorów. W takiej sytuacji nie znajdują zastosowania podstawy matematyki wyniesione z podstawówki, a jeden dodać jeden będzie większe od dwóch.

Leki cytostatyczne wykrywane są również w wodach pitnych, co sprawia, że stają się zagrożeniem dla ludzi. Niestety zachowują się one w naszym organizmie niczym wypuszczona na pole szarańcza, która usunie nie tylko chwasty, ale zrobi spustoszenie także w uprawach. Cytostatyki nie są kancerospicyficzne, a więc atakują nie tylko komórki nowotworowe, lecz również zdrowe, zwłaszcza szybko się dzielące, jak nabłonkowe czy szpiku kostnego. To również przyczyna wypadania włosów i łysienia wśród pacjentów przechodzących chemioterapię. Dodatkowo znany jest fakt, że nawet w niewielkich dawkach mogą wywoływać reakcje alergiczne oraz przejawiają właściwości rakotwórcze, powodują mutacje w materiale genetycznym, wywołują ciężkie uszkodzenia płodu, a nawet mogą doprowadzić do obumarcia zarodka.

Pomoc w zasięgu ręki

Oczywiście ludzkość może przejść nad tym do porządku dziennego, bo przecież i tak wszyscy kiedyś umrzemy. Jednak to jest

ten moment, kiedy wchodzimy my, naukowcy, cali na białą, i ratujemy świat, próbując znaleźć sposób na usuwanie tych związków. Badania nad skutecznym eliminowaniem farmaceutyków ze środowiska wydają się być koniecznością. Sztandarowe organizmy oczyszczalni ścieków, bakterie, niestety w dużej mierze polegały i nie wykazały się dostateczną skutecznością. Ale nie mamy im tego za złe, i tak robią kawał dobrej roboty. Jednak w tym momencie warto zwrócić uwagę na grzyby. Człowiek wykorzystuje je od wieków, choćby do wywołania kaca, gdyż są odpowiedzialne za fermentację alkoholową, wykorzystywaną w produkcji wina, piwa, miodów, wódek, jak i do jego leczenia, ponieważ kefir, ale także inne produkty przemysłu mleczarskiego uzyskujemy właśnie dzięki grzybom. Również typowo polskie śniadanie nie byłoby możliwe bez grzybów, gdyż przemysł piekarniczy drożdżami stoi. Ponadto każdy z nas poznał ich niepodważalne walory smakowe. Ich brak oznaczałby również, że Smerfy zostałyby bez dachu nad głową.

Jednak z punktu widzenia badacza dużo istotniejsze jest to, że produkują nisko specyficzne enzymy, które działają jak molekularne nożyczki. To dzięki nim ta jedna z najliczniejszych grup organizmów na ziemi odgrywa kluczową rolę w funkcjonowaniu ekosystemu, poprzez udział w obiegu materii. Grzyby rozkładają wiele różnych związków pochodzenia naturalnego o skomplikowanej budowie, jak lignina czy celuloza, a także ksenobiotyków, takich jak WWA (wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne), barwniki czy pestycydy. Ich degradacja jest możliwa dzięki wewnątrz- i zewnątrzkomórkowym enzymom grzybów. Wspomniane związki pochodzenia antropogenicznego z cytotatykami łączy nie tylko budowa o charakterze aromatycznym, lecz również rakotwórczość oraz wywołanie mutacji, a więc zmian w materiale genetycznym.

Przyjemne z pożytecznym

Wytypowanie oraz skolekcjonowanie grzybów oznaczało sytuację niecodzienną dla przykładowego nerda, gdyż wiązało się z wyściubieniem nosa na zewnątrz, opuszczeniem murów uczelni, spacerem po parku oraz zebraniem wybranych gatunków. Sheldon Cooper z serialu *The Big Bang Theory* zapewne wykorzystalby w takiej sytuacji doktorantów, ale to właśnie ja jestem doktorantką.

Na szczęście pozostałe etapy projektu gwarantowały już bezpieczne i znane środowisko życia studentki inżynierii środowiska, jakim było laboratorium, w którym dokonaliśmy izolacji wybranych szczepów metodą tkankową, polegającą na brutalnym wyrwaniu fragmentu grzybni oraz bardziej humanitarną, zarodnikową. Następnie szczepy zostały namnożone, a identyfikacja wyselekcjonowanych organizmów z wykorzystaniem metod biologii molekularnej potwierdzona. Użyliśmy w tym celu metody sekwencjonowania opracowanej przez Fredericka Sangera, który uzyskał za to jedną z dwóch otrzymanych w dziedzinie chemii nagród Nobla, trafiając tym samym do niezwykle wąskiego, bo jednoosobowego grona osób, którym udało się to osiągnąć, i wzbudzając szacunek okraszony odrobiną zazdrości wszystkich naukowców.

We wspomnianym wcześniej azylu naukowca, czyli laboratorium, wykonaliśmy także testy wstępne tolerancji grzybów na wybrane substancje poprzez ocenę ich zdolności do wzrostu w towarzystwie cytotatyków. Wyniki były bardzo obiecujące i wskazywały, że nasza dociekliwość w rozwiązaniu zagadki skutecznej eliminacji farmaceutyków ze środowiska, rodem z powieści o Sherlocku Holmesie, może się opłacić.

Grzybowy zawrót głowy

Grzyby to grupa organizmów o dużym potencjale, a jednocześnie bardzo niedoceniana. Interesujące, że ich wcze-



Rys. 1 Kruchawica aksamitna – jeden z zebranych grzybów



Rys. 1 Kruchawica aksamitna – jeden z zebranych grzybów

śniejszy kontakt z danym rodzajem ksenobiotyku nie jest konieczny, aby wytworzyć odpowiedni aparat enzymatyczny. Są one również zdolne do rozkładu złożonych mieszanin zanieczyszczeń, co ma ogromne znaczenie, zważywszy, że farmaceutyki nigdy nie wpływają do wód jako pojedyncze substancje. Grzyby są efektywne w degradacji zarówno stosunkowo wysokich, jak i bardzo niskich stężeń leków. Organizmy te wydają się obiecującym narzędziem do usuwania cytostatyków także ze względu na inne mechanizmy przydatne w eliminacji zanieczyszczeń ze środowiska, jak degradacja przez związanie ksenobiotyku z grzybnią lub sorpcję, czyli pochłanianie substancji chemicznych przez sorbent, którym jest porowate ciało grzyba. W tym celu można użyć zarówno aktywnej – żywej, jak i nieaktywnej – martwej biomasy, choć oczywiście nie jednocześnie, gdyż grzyby to nie kot Schrödingera. Możliwe jest również użycie samych enzymów.

Przyszłe perspektywy wykorzystania tych organizmów są bardzo obiecujące. Grzyby otwierają drogę do stworzenia nowych, przyjaznych środowisku technologii poprzez ich aplikację w oczyszczalni ścieków, gdzie mogą służyć do usuwania różnych grup farmaceutyków. To właśnie one wydają się idealnym narzędziem do walki o czyste środowisko.

W tej sekundzie gdzieś na świecie wyrasta kolejny grzyb. Właśnie jakiś szczep zaczął produkować enzymy zdolne do rozkładu substancji nawet o bardzo skomplikowanej budowie chemicznej, a nam udało się wykorzystać potencjał tych organizmów do usuwania farmaceutyków. Być może jesteśmy świadkami przełomowego momentu, gdy dzięki niezwykłej współpracy z naturą leki cytostatyczne stały się zbawieniem, a przestały być równocześnie zagrożeniem.

Mgr inż. Marcelina Jureczko, doktorantka w Katedrze Biotechnologii Środowiskowej, Wydział Inżynierii Środowiska i Energetyki Politechniki Śląskiej w Gliwicach

Magdalena Bajer

Hoyerowie, Wernerowie, Szumanowie

Cz. 1 Kujawskie gniazdo

Profesor Werner opracował ustawę o funkcjonowaniu aptek, drogerii i składów farb, która została ogłoszona w roku 1839, a jej autor otrzymał pierścień z brylantem od cesarza Mikołaja I, wierzącego, że wyróżnia dzieło, które służyć będzie rosyjskiemu imperium po wieczne czasy.

Pośród różnej wartości pamiątek znalazłam etykietkę z butelki syropu na kaszel, sporządzonego kilkadziesiąt lat temu w aptece dziedzicznej mojej ciotki na Podkarpaciu. Zaduma tym wywołana nie jest warta opisu, ale sam podniszczony papierek stał się pośrednim asumptem do poświęcenia uwagi rodzinie, której protoplastą był toruński aptekarz Ferdynand Hoyer, zapisany w historii farmacji. Wyteżywszy pamięć, znalazłam to niepolskie nazwisko w strzępkach jakiejś dawnej rozmowy o stosowanych wtedy lekarstwach.

W czasach, kiedy zaczyna się historia tego uczonego rodu, apteka, zwłaszcza w niedużym mieście, była miejscem spotkań miejscowej elity, wymiany myśli, formułowania idei niepodległościowych oraz reformatorskich, nierzadko knucia konspiracyjnego o tym, jak idee przekuć w czyn. Ferdynand Hoyer, urodzony w Inowrocławiu, zasłużył się niemało farmacji, także poza ścianami rodzinnej apteki, udziałem w badaniu miejscowych wód mineralnych, a potem wierceniem ujęć ich źródeł.

Z apteki na katedry

Urodzony w 1834 roku syn Henryk studiował medycynę we Wrocławiu i Berlinie, uzyskując doktoraty w Berlinie oraz Kijowie. Po dwóch latach asystentury (1858–1859) na wrocławskim uniwersytecie został adiunktem w warszawskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej, a w roku 1860 profesorem nadzwyczajnym. Dwa lata później był już profesorem zwyczajnym histologii i embriologii w Szkole Głównej. Nieczęsto tak szybka kariera akademicka zdarzała się młodemu Polakom w dobie rozbiorów i zawsze była świadectwem z jednej strony walorów umysłowych, z drugiej międzynarodowego charakteru nauki, a paradoksalnie troski zabórczych władz o własny interes, polegający na zapewnieniu najlepszych specjalistów w obszarach, jakimi aktualnie zarządzali.

W Warszawskiej Szkole Głównej profesor Henryk Hoyer kierował Katedrą Histologii i Embriologii, a po przekształceniu uczelni w Cesarski Uniwersytet Warszawski tamtejszą Katedrą Histologii, Embriologii i Anatomii Porównawczej do roku 1894. Fundamentalne osiągnięcia w tej ostatniej specjalności zapewniły mu trwałe miejsce w historii medycyny. Należy do nich m.in. pionierskie zbadanie i opisanie błony śluzowej nosa u żab i ssaków z wprowadzeniem kompletnej nowoczesnej terminologii w tym zakresie, badania i odkrywcze ustalenia dotyczące szpiku kostnego, odkrycie bezpośrednich połączeń tętniczo-żylnych, które nazwano później „kłębkami Hoyera”.

Trudno wyliczyć choćby większość znaczących wyników bardzo intensywnych badań. Poszczególne należą do wąskich specjalności w rozległym obszarze wiedzy o organizmach żywych, którą profesor traktował całościowo, analizując zależności między zjawiskami i procesami życiowymi. Zapisem prekursorskiego podejścia jest m.in. książka *O metodzie badania naukowego* (1888). Trzeba zapamiętać, że wypowiedział się o sprawach centralnych dla dysputy intelektualnej owego czasu, do jakich należała teoria ewolucji, dowodząc – w pracy pt. *Krytyczny pogląd na darwinizm* (1876) – bezzasadności wzajemnego wykluczania się nauki i wiary, co z dzisiejszej perspektywy ma walor profetyczny.

Henryk Hoyer, uważany za twórcę histologii i pioniera fizjologii w Polsce, upowszechniał swoje idee w czasopiśmie, przede wszystkim „Tygodniku Lekarskim” oraz „Gazecie Lekarskiej”, które współredagował. Jak większość uczonych jego pokolenia wyniósł z domu poczucie patriotycznych powinności, które kazało łączyć zainteresowania badawcze z działaniem na rzecz racjonalnej i powszechnej ochrony zdrowia; toteż aktywnie angażował swój autorytet w propagowanie szczepień ochronnych oraz inne akcje profilaktyczne, a także popularyzował wiedzę medyczną na różnych poziomach dostępności, uwa-

Zdjęcie: pl.wikipedia.org



Henryk Hoyer

żając, że przyszłej niepodległej Polsce niezbędni będą wykształceni obywatele.

Profesor, teść profesora

Przez małżeństwo Henryka Hoyera i Ludwika Werner połączyły się dwie rodziny mające już ugruntowaną aptekarską tradycję zawodową, a zainteresowania znacznie szersze, ogarniające duży obszar biologii i jej płodne intelektualnie pogranicza.

Ferdynand Franciszek Werner, urodzony w ostatnim roku osiemnastego stulecia w luteńskiej rodzinie warszawskiej, ukończył studia farmaceutyczne w 1824 roku, po czym praktykował w stołecznych aptekach. Podczas powstania listopadowego wstąpił do Gwardii Narodowej, wzorem ojca, który z czeladnikami swojej fabryki mydła walczył w insurekcji kościuszkowskiej. Syn został aptekarzem dywizji karabinierów konnych, służąc ojczyźnie wiedzą i umiejętnościami organizacyjnymi. Został odznaczony złotym krzyżem Virtuti Militari.

Po upadku powstania otworzył dużą aptekę w Warszawie, nie przerywając przy tym pracy naukowej w dziedzinie, która w ówczesnej Europie przeżywała znaczący rozwój, a Polska pod zaborami potrzebowała skutecznych sposobów leczenia szerzących się chorób.

Ferdynand Werner w roku 1832 został asesorem farmacji, co upoważniało do zabierania głosu w sprawach publicznych z tego zakresu, następnie wszedł do grona Rady Lekarskiej, która po zamknięciu uniwersytetu miała prawo do nadawania stopnia doktora. Od 1840 roku kierował

Katedrą Farmacji w Szkole Farmaceutycznej, a od roku 1857 do śmierci (1870) był profesorem farmacji i farmakognozji w Akademii Medyko-Chirurgicznej, następnie w Szkole Głównej.

W trzydziestolecie „międzypowstaniowym” polskie elity intelektualne, poddane represjom i, przede wszystkim, drastycznym ograniczeniom w działaniach mających znamiona patriotyzmu, nie utraciły przekonania o niezbędności takich działań, jakich owoce będą pilnie potrzebne Polsce, gdy ta odzyska niepodległość. W przyszłą niepodległość światli Polacy nigdy nie zwątpili. Profesor Werner opracował ustawę o funkcjonowaniu aptek, drogerii i składów farb, która została ogłoszona w roku 1839, a jej autor otrzymał pierścionek z brylantem od cesarza Mikołaja I, wierzącego, że wyróżnia dzieło, które służyć będzie rosyjskiemu imperium po wieczne czasy.

Z kujawskiego gniazda wyszli na nietatwe drogi naukowych karier i rozległe obszary poznawczych poszukiwań ludzie obdarzeni zdolnościami umysłowymi i śmiałością w kreśleniu zadań, które uważali za ważne i pilne. Inowrocław okazał się kolebką twórczych inteligentów w dalszych jeszcze pokoleniach.

Aptekarski potomek

W roku 1864 w Warszawie przyszedł na świat noszący dziedziczne imiona Henryk Ferdynand Hoyer, syn profesora histologii i wnuk profe-



Ferdynand Werner.

Ferdynand Werner

Zdjęcie: pl.wikipedia.org

sora farmacji, w rodzinie półniemieckiej, luteranckiej, z przeważającą tradycją praktycznej, ale i naukowej wiedzy aptekarskiej. Absolwent niemieckiego gimnazjum w Bydgoszczy studiował medycynę we Wrocławiu (jak dziadek imiennik), a także w Strasburgu, gdzie uzyskał doktorat w roku 1892. Uzupełniał wyższą edukację w Berlinie (znów jak dziadek), a drogę naukową rozpoczął asystenturą, najpierw w Würzburgu, następnie w Strasburgu. W 1894 roku wrócił do Polski i na Uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymawszy profesurę, objął Katedrę Anatomii Porównawczej, inicjując rozwój tej specjalności w Polsce. W roku 1904 mianowano Ferdynanda Hoyera (tego imienia używał) profesorem zwyczajnym.

Młodemu uczonemu przyszło dzielić czas i energię między wszelkie uniwersyteckie aktywności, zawsze w jego przypadku bardzo intensywne i zawsze w znacznej mierze pionierskie. Badania naukowe przyniosły m.in. nowe wiadomości o budowie mięśnia sercowego kręgowców niższych, metodę iniekcji najdrobniejszych naczyń za pomocą urządzenia, które sam skonstruował, co przyniosło wiedzę o istotnym podobieństwie budowy naczyń u wszystkich kręgowców, zatem znaczny krok w poznawaniu procesów ewolucyjnych. Podobnej miary wyników ma Ferdynand Hoyer w dorobku wiele, odwołując się do nich specjaliści współcześni, zaś autor starał się upowszechniać płynące z badań wnioski praktyczne, publikując takie książki, jak dwukrotnie wydana *Anatomia porównawcza zwierząt domowych*.

Przyglądając się biografii profesora, widzimy trudno dziś osiągalną, a niezbędną w życiu akademickim, równowagę między badaniami i dydaktyką. Wykładał anatomię porównawczą i systematykę kręgowców, histologię porównawczą oraz technikę mikroskopową od roku 1894 do wybuchu drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu przez dwa ostatnie lata życia: 1945–47. Poprzez różne epoki historyczne i różne etapy rozwoju specjalności, jaką uprawiał, ciągle weryfikując wiedzę przekazywaną studentom wynikami własnych badań. W dramatycznej przerwie 1939–45 przeżył Sonderaktion Krakau, uwięziony wraz z grupą profesorów UJ, wywieziony do Wrocławia, następnie do obozu Sachsenhausen, skąd szczęśliwie wrócił, by w latach 1941–44 prowadzić aptekę w krakowskim szpitalu dla jeńców wojennych.

Od pierwszych lat dwudziestego wieku profesor Hoyer pełnił funkcje kolegialne w swojej Alma Mater. Był dziekanem Wydziału Filozoficznego, rektorem w latach 1929–1930, zaraz potem prorektorem. Po wojnie sprawował opiekę nad Katedrą Fizjologii i Nauki Żywnienia Zwierząt. W historii nauki zajmuje miejsce twórcy największej i w momencie powstania najnowocześniejszej w Polsce szkoły anatomii porównawczej, jednej z dyscyplin wiodących we wspomnianych dyskusjach o ewolucji organizmów. Trwałą wartość zachowały szczególne wyniki wielu prac dotyczących szpiku kostnego kręgowców, którym Hoyer zajmował się szczególnie owocnie, embriologii, także paleontologii dostarczającej argumentów z zakresu ewolucjonizmu.

Od roku 1920 był członkiem Akademii Umiejętności, potem Polskiej Akademii Umiejętności, pełniąc funkcje przewodniczącego różnych komisji, uczestnicząc w pracach rad muzeów antropologicznego i przyrodniczego PAU. Trzeba jeszcze do tego dodać aktywne członkostwo w Akademii Nauk Lekarskich, Towarzystwie Naukowym w Lwowie, organizacjach o niedługim żywocie, które jednak odegrały ważne role w rozwiązywaniu aktualnych problemów organizacji ochrony zdrowia.



Ferdynand Hoyer

Dzieje rozgałęzionej rodziny Hoyerów, Wernerów i innych, o których będzie mowa w następnym numerze, dzięki szybkim karierom swoich przedstawicieli wymownie pokazują rolę i znaczenie inteligencji – od czasu kształtowania się tej warstwy spośród młodych ludzi, wypchniętych z dworów przez warunki społeczne albo wprost represje zaborców, wysferzonych ambitnych mieszczan, później pojedynczych synów chłopskich. Nie małą część stanowili przybysze zza różnych granic, noszący obce nazwiska, nieobecne w herbarzach, ale z czasem zapisywane w encyklopediach. Ich zasługi na różnych polach mają z reguły odcień patriotyczny, świadczą o rychłym polonizowaniu się Francuzów, Niemców, Włochów – w trzecim pokoleniu już Polaków pełnoprawnie noszących to miano.

Proces wrastania przybyszów w polską rodzimność nie będzie miał przedłużenia, skoro jesteśmy w europejskiej rodzinie narodów. Pozostanie zjawiskiem historycznym, zarazem jednak swoistą lekcją najefektywniejszych, bezpiecznych dla jednostkowej (także rodzinnej) tożsamości procesów asymilacji w szerszej wspólnoty. Jej warunkiem jest jedna z podstawowych cech członków warstwy inteligentnej – wspomniana tu śmiałość w stawianiu zadań mających ogólniejsze znaczenie, podbudowana przekonaniem, że uda się je wykonać. Taka śmiałość towarzyszy zwykle żywoci umysłu, wykraczającej ponad przeciętność, i posiadanych talentom. Dochodziła wyraziście do głosu, w warunkach niewoli politycznej, kiedy dorastały pierwsze pokolenia polskiej inteligencji, a w rodzinnych domach – wszystkich stanów – wpajano miłość ojczyzny i gotowość ponoszenia ofiar w imię tej miłości. Ideały patriotyczne trzeba dzisiaj przeformułować (nie na proste płacenie podatków), ale zrezygnować z nich nie wolno. Dlatego przypominam rody takie jak Hoyerowie, Wernerowie i im podobni.

Własny kąt w gmachu nauki

Byłem wymagający (...) ani myślałem wyklądać im tego, co mogli znaleźć w podręcznikach, monografiach, przyczynkach (...) wyklądałem prawie wyłącznie rzeczy swoje, nowe (...). Nie tyle może moi słuchacze, ile ja sam skorzystałem z jedenastoletniego zajmowania katedry pedagogiki.

Jak zapisał Antoni Bolesław Dobrowolski (*Mój życiorys naukowy* 1958), jego początki były trudne. Urodził się 6 czerwca 1872 roku w Dworzowicach Kościelnych, w powiecie radomszczańskim. Jego ojciec, Jan, był wiejskim grajkiem i organistą kościelnym. Matka, Józefa Szyndler, pracowała za dniówki w majątku ziemskim. Rodzice dbali szczególnie o wykształcenie synów: „Ukończyłem szkółkę miejscową, douczałem się sam, jak mogłem, stanąłem gotów do ówczesnej drugiej gimnazjalnej. Zawahał się ojciec: położenie materialne rodziny było bardzo krytyczne, a tu zdarzało się «dobre miejsce»: mogłem, dziecko dwunastoletnie, na siebie zarobić i pomóc rodzinie... Ale poczciwie naiwny, poczciwie przesądny kult «wykształcenia» i «książki» zwyciężył. Wyjechałem do wymarzonej Warszawy. Na jeden grosz od rodziców liczyć nie mogłem. Przez pierwsze dwa lata pomagał brat, student uniwersytetu”. Antoni zarabiał udzielaniem korepetycji.

Po szkole elementarnej wyjechał do Warszawy (1883). Ukończył rosyjskie gimnazjum filologiczne (1891). Szczególnie interesował się matematyką i greką. Prowadził szkolne kółko samokształceniowe o kierunku socjalistycznym. W Warszawie został członkiem II Proletariatu (1889-1894). Używał pseudonimu A.D. Wolski. Jak zapisał w autobiografii: „rozłamało się życie moje na dwie bardzo różne, obce sobie połowy. Z jednej strony gimnazjum i korepetycje, zarobek i <obowiązki> tak zwane <konieczności> (...). Z drugiej strony – <nasza szkoła> i <kółka>, pięcie się wzwyż i służba idei: życie własne, z własnego popędu, swobodne”. Przy tym utracił „bez walk wewnętrznych, religię tradycyjną, z równą łatwością przyjmując religię altruizmu bez kosmogonii (...). Za to imponowała nam naprawdę – Nauka!”. Wyjaśniał, że „naukę w ogóle, z wyjątkiem nauk formalnych, więc i badanie spraw ludzkich, rozumieliśmy właściwie jako naukę przyrodniczą”.

Punkt oparcia

Pół roku po zdaniu matury Dobrowolski trafił do więzienia na Cytadeli i Pawiaku (1892-1893), a nawet w Petersburgu (Kriesty). Władze zesłały go do Tyflisu (1894). Uciekł dzięki pomocy Ormian – z fałszywym paszportem perskim dotarł do Rumunii, a następnie Szwajcarii (1895). W Zurychu przez rok podążał jako wolny słuchacz Uniwersytetu „drogą pracowitego samouctwa (...) z postawą filozofa”. Podzielał poglądy Richarda Avenarius, twórcy empiriokrytycyzmu. Opublikował po dwóch latach (1897) artykuł w „Ateneum” – „jako szkie

literacki pod tytułem *Przyczynek do rozbioru problemu materii i ducha*”. Wtedy przysła „nieunikniona chwila duchowego kryzysu: generalnej rewizji (...) wytknięcia (...) nowej drogi”. Jednym z namysłów był wniosek: „sposób filozoficzny brania się do rzeczy wydawał mi się czymś prymitywnym w porównaniu z postępowaniem naukowym (...). Nawet zredukowana do <teorii nauki> filozofia nie bardzo mi trafiała do przekonania swym sposobem postępowania, nie imponowała też wynikami”. Przy tym: „Niczego z tego wszystkiego, z całego tego kryzysu, z dręczących mnie zagadek bytu i życia nikomu nie powiedziałem (...) w innych sprawach byłem, przeciwnie, bardzo rozmowny”.

Dobrowolski zaczął kierować się dewizą: „Poznać naukę (...) trzeba mieć w gmachu nauki swój własny kąt, swój własny punkt oparcia”. Wybrał nauki przyrodnicze, które studiował pod kierunkiem Arnolda Langa: „żywe kompleksy raczej niż pierwiastki i własności, z kompleksów tych sztucznie wyrwane i izolowane”. Początkowo interesowała go „nauka o istotach żywych”. Przy tym: „Praca moja w nauce była mi od początku i potem, i zawsze tylko środkiem, nie celem (...) wciąż w głębi, świadomie czy nieświadomie, myślałem o innym: o moich sfinksach (...). Traktowałem swe prace poniekąd jak ćwiczenia, mające na celu poznanie warsztatu nauki (...). Dlatego nie myślałem o katedrze uniwersyteckiej, bo na niej na pewno bym się zagrzebał – wprost z obowiązku urzędowego przedstawiciela danej nauki w danym kraju”. Problemem praktycznym było „to, że nie był wolny od kłopotów materialnych i prac zarobkowych”.

Gruźlica z przepracowania

Dobrowolski znalazł w Instytucie Zoologicznym na Uniwersytecie w Liège kolejnego – po Adamie Mahrburgu – „ojca duchowego”. Był nim belgijski zoolog Eduard van Beneden. Jednak od morfologii Dobrowolski odszedł w kierunku „badania stopnia celowości urządzeń w organizmie, czyli badania tych urządzeń z punktu widzenia inżynierskiego”. Uwzględnił koncepcję organizmu „jako miejsca koncentracji <wygranych losów>, takiego zespołu <przypadkowości>, który w wynikach byłby równoważny urządzeniu mniej więcej <celowemu>”. W konsekwencji zainteresowało Dobrowolskiego „ustawodawstwo przyrody” – mechanika, fizyka i chemia: „Odszedłem od biologii do nauk fizycznych”. Podjął badania morfologiczne z zakresu fizyki ziemskiej: „chmur, lodu we wszelkiej postaci, zjawisk <halo>,”

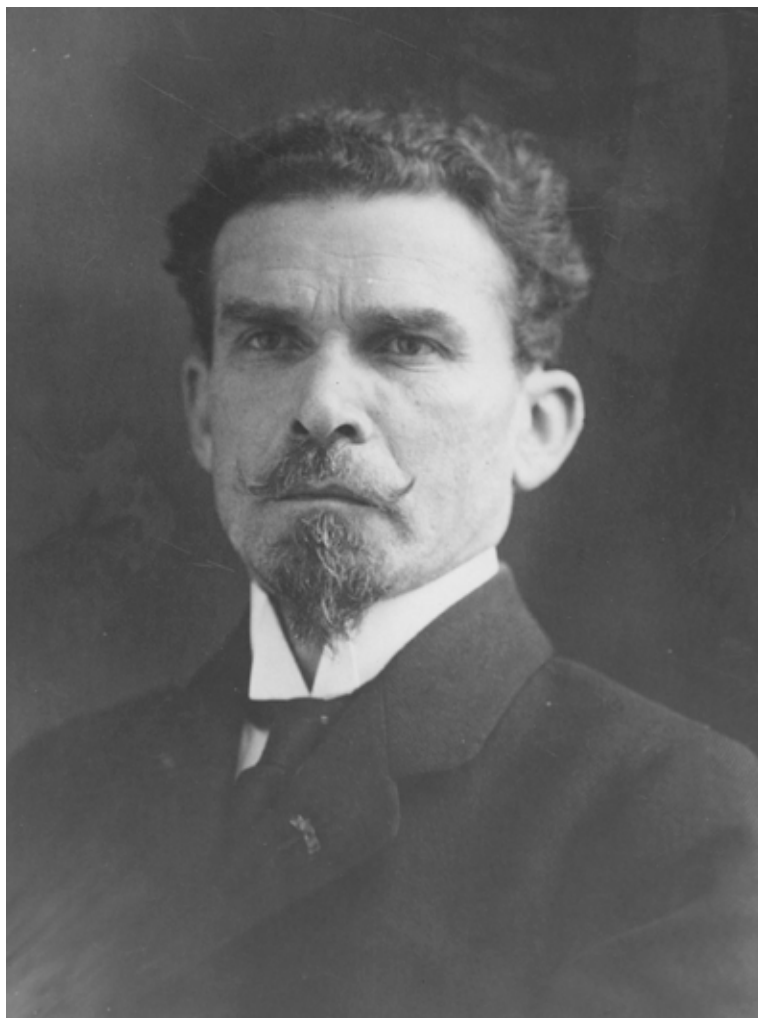
wreszcie ruchu powietrza i wody po nierównościach gruntu”. Kontekst filozoficzny zawierał się w pytaniu, czy „ten chaos form nie kryje w sobie pewnego ładu”.

Zebrał materiał obserwacyjny podczas wyprawy statkiem „Belgica” na Antarktydę (lipiec 1896 – czerwiec 1899). Do żeglugi doszło dzięki wsparciu Henryka Arctowskiego. Dobrowolski komentował: „W życiu moim bardzo rzadko miałem coś pewnego przed sobą. Zawsze próbowałem, zawsze ryzykowałem”. Życie na statku było swego rodzaju więzieniem, jeśli brać pod uwagę sprawy intymne. Dobrowolski obserwował chmury „przez cały rok okrążył codziennie przez całe godzin dwanaście (...) z jedną półgodzinną przerwą na obiad i dziesięciominutowymi co godzina przerwami na normalne spostrzeżenia meteorologiczne”. Efektem była praca *Note sur les systèmes des nuages* (1903). W badaniach zastosował Dobrowolski „metodę ciągłości spostrzeżeń” oraz „<chwyty> byłego biomorfologa”. Badał „klasy symetrii kryształów lodu”. Było to „pierwsze w dziejach zimowanie w lodach obszarów nieznanych” biegun południowego. Opisał je Dobrowolski w książce *Wyprawy polarne. Historia i zdobycze naukowe* (1914).

Dobrowolski działał w krytycznym położeniu materialnym – korzystał z pomocy emigracyjnych Bratnich Pomocy oraz „przygodnego zarobku”. Jedynie podczas żeglugi korzystał z diet rządu belgijskiego. Przypłacił ten stan „gruzlicą z pracowania”. Mimo to: „Nie przyjąłem proponowanej mi posady w istocie synekuralnej. Zaczęłem żyć znowu redukcją najpierwszych potrzeb i wytrzymałością organizmu”. Sytuacja uległa zmianie, gdy przyjął posadę (1906) w Międzynarodowym Biurze Polarnym przy belgijskim Ministerstwie Oświaty. Zajął się sporządzaniem bibliografii polarnej. Pomogła mu znajomość języka rosyjskiego.

Zażyte obcowanie z przyrodą

Po roku Dobrowolski wrócił do kraju, korzystając z manifestu cara Mikołaja II o emigrantach politycznych. Zatrudnił się jako nauczyciel biologii, filozofii i fizyki w Ognisku Wychowawczym Wiejskim w Starej Wsi i Szymanowie koło Grodziska Mazowieckiego (1907-1909), następnie (1909-1911) w gimnazjum Aleksandra Jeżewskiego w Warszawie. W roku 1911 przeniósł się do Szkoły Kupców w Łodzi. Dobrowolski jako nauczyciel odrzucił cele zarobkowe: „Nie umiałem już robić roboty, do której bym się choć trochę nie <pałi>, robić nie przejmując się tym, co robię”. Uczynił więc pracę „<interesującą>, tak iżbym mógł ją polubić; inaczej bym jej nie wytrzymał”. Zajął stanowisko krytyczne wobec „pedagogiki praktycznej”, a zwłaszcza wobec „literatury pedagogicznej”. Według Dobrowolskiego „pedagog urodzony, wychowawca-artysta, mógł naprawdę nie czytać zupełnie żadnych pedagogik, dydaktyk, metodyk, a lepiej rzemiosło swe spełniać od odczytanych i nauczonych”. Kierował się własną metodą: „uczyć stawiać i rozwiązywać zagadnienia według możliwości dziecka i w ten sposób dawać dziecku sposobność zdobywania wiedzy, a jednocześnie ćwiczenia umysłu”. Pozwalał tym samym na „maksimum samodzielności prawdziwej”. Obdarzał uczniów „naturalną i szczerą sympatią”, sto-



Antoni Bolesław Dobrowolski

Zdjęcie: NAC

sował „niezbędny <takt> wychowawczy”. Intensywność pracy nauczycielskiej oraz gromadzenie materiałów i pisanie książki o wyprawach polarnych doprowadziły do odnowienia się gruzlicy. Jednak organizm miał silny: „po miesiącu kuracji – przeszło”.

Uzyskał Dobrowolski stypendium z Kasy Mianowskiego na wyjazd do Szwecji – tam spędził lata wojny. Czytał literaturę naukową i gromadził fotokopie różnych postaci „lodu atmosferycznego”: „ustaliłem (...) klasę symetrii lodu; wyznaczyłem płaszczyzny kryształów”. Opublikował pracę *Les cristaux de glace* (1916). Promował nową dyscyplinę nauki, którą nazwał kryologią. Podstawową strukturę tej dyscypliny stanowiła „klasyfikacja tworów losowych”. Został asystentem w Instytucie Meteorologicznym Uniwersytetu w Uppsali (1916/1917). Poprzez „zażyte obcowanie z przyrodą” odkrył jej estetyczne piękno. Z funduszy Kasy Mianowskiego opublikował dzieło *Historia naturalna lodu* (1923); praca czekała na druk od 1916 roku. W ówczesnych warunkach druk trwał „czternaście miesięcy, a wszystkimi sprawami wydawniczymi przez cały ten czas musiałem się zająć sam osobiście, bez żadnej pomocy; spadła na mnie ciężka bieżanina do drukarni i do kliszarni, ciągle <pilnowanie>, wszystkie korekty, indeksy”. Musiał też aktualizować literaturę przedmiotu i korygować układ podrzdziałów. Nie przetłumaczono ówczesnie tej pracy na języki obce.

Walczyć z ministerstwem

Wobec niepodległości był zwolennikiem „budowania państwa od dołu”, czyli powołania „państwa samorządowego” („O.B.” – „Drogowskazy” 1918). W roku 1917 Dobrowolski wrócił do

Warszawy w roli wizytatora; pełnił tę funkcję w Ministerstwie WRIOP do 1922 roku. W ministerstwie utworzył Wydział Programowy. Spory związane z reformami skłoniły go do odejścia od pracy urzędniczej. Pracę w ministerstwie skomentował Dobrowolski jako porażkę: „Nie udało mi się ta współpraca w budowaniu szkolnictwa polskiego. Pięć lat wysiłków próżnych, niepotrzebnych zupełnie: fiasko absolutne. Zbyt istotne i wielkie były tu z mojej strony ustępstwa, kompromisy. I nie mogło ich nie być (...) nie mogłem wszak z Ministerstwem swym walczyć z zewnątrz, do skutecznej zaś walki wewnątrz nie miałem <swych ludzi>, byłem osamotniony”. Nie odpowiadała mu typologia gimnazjów i brak redukcji materiału – „prawie wszystkie programy zostały przeładowane”. Dobrowolski popierał koncepcję siedmioklasowej szkoły powszechnej oraz trzyletnich liceów, dostępnych dla wszystkich. Do tego chciał powołania „szkoły kierowników oświaty”, kształcącej kierowniczy personel ministerstwa i wizytatorów „do poszczególnych przedmiotów” oraz „wizytatorów generalnych”. Kontrolerski nie wywołał jego projekty uruchomienia testów „na inteligencję ogólną i uzdolnienia specjalne” oraz wzorcowych „protokołów lekcji”.

Po rezygnacji z pracy ministerialnej Dobrowolski przejściowo zatrudnił się jako „urzędnik IX kategorii” w dziale reklamacji Poczтовой Kasy Oszczędności (1922/1923). W roku 1924 został zastępcą dyrektora Państwowego Instytutu Meteorologicznego w Warszawie, zaś dyrektorem – w latach 1927-1929. Awans w nauce uniemożliwił Dobrowolskiemu brak ukończonych studiów wyższych i członkostwo w Polskiej Partii Socjalistycznej. Nie był zainteresowany publikacjami naukowymi – wyniki swych badań opracowywał w formie artykułów i raportów. Krytycznie ocenił swą pracę w Państwowym Instytucie Meteorologicznym: „Siedząc przez dziesięć miesięcy w PKO nad czekami i klientami, znalazłem jednak czas do napisania w biurze (...) *Mouvement de l'air et de l'eau sur les accidents du sol* (...). A tu sześć lat siedziałem w instytucji niby naukowej i nie znalazłem możliwości zrobienia ani jednej porządnej, zakończonej pracy naukowej”. Kłopoty organizacyjne instytutu – „całe godziny wysiadywałem w poczekalniach i na korytarzach ministerstw i Sejmu” – przyczyniły się do kolejnego „załamania się mego zdrowia”.

Z duchem naukowym przyrodnika

Po przejściu na emeryturę Dobrowolski założył (1929) Towarzystwo Geofizyków, którego był prezesem do 1949 roku. Towarzystwo uruchomiło Obserwatorium Sejsmologiczne, kierowane przez Irenę Bobrownę. Ulokowano je w piwnicy UW. Działał też w ramach Międzynarodowej Unii Geodezyjnej i Geofizycznej – w Komisji Śniegów i Lodów, gdzie był wiceprezsem. Wyjeżdżał na posiedzenia kongresowe i prowadził korespondencję naukową. Zdobył autorytet międzynarodowy. W książce *Męczennicy polarni* (1933) i odczytach propagował „akcję polarną”, a nawet „kult Nauki (nie uczonych)”. Przyczynił się do zorganizowania polskiej wyprawy na Wyspę Niedźwiedzią (1932/1933) oraz kolejnych wypraw. Powstała wokół nich „rodzina entuzjastów”.

W takiej sytuacji stanął przed Dobrowolskim problem statusu akademickiego. Odmawiał zajęcia katedry związanej z dorobkiem naukowym, przyjął jednak w 1927 roku w Wolnej Wszechnicy Polskiej katedrę pedagogiki ogólnej, „dającej mi systematyczny bodziec do ostatecznego uporządkowania i powiązania wyników mych w dziedzinie najbliższej memu ostatecznemu celowi. Katedra bowiem mej specjalności przyrodniczej (...) absorbowała by mnie zanadto, kosztem prac dla mnie ważniejszych: o czynnościach kardynalnych umysłu – prac, dla których katedr nie ma, oraz kosztem tematów natury <świa-

topoglądowej>, w szczególności normatywnej (...). Tematy te wciąż jeszcze wegetują na katedrach zajętych przez filozofów, do których siebie już nie zaliczałem”. Jak definiował wybór: „los rzucił mnie na pole dla mego celu bardzo odpowiednie: na badania teoretyczne i praktyczne w dziedzinie wychowania, nauczania, oświaty (...) z dyscyplinami <pomocniczymi>: psychologią i socjologią (...). Wszedłem do humanistyki z duchem naukowym przyrodnika. Przyzwyczajony w pracy do bezwzględnej obiektywizmu, do stałej kontroli spostrzeżeń, domniemań i do samokontroli, do rozróżniania i precyzowania, do niezadowolania się byle jakim wynikiem ogólnym”. Miał niewielu dyplomantów: „byłem wymagający (...) ani myślałem wyklądać im tego, co mogli znaleźć w podręcznikach, monografiach, przyczynkach (...) wykladałem prawie wyłącznie rzeczy swoje, nowe (...). Nie tyle może moi słuchacze, ile ja sam skorzystałem z jedenastoletniego zajmowania katedry pedagogiki”. Wykład nosił tytuł *System pojęć, zagadnień i wskazań pedagogicznych*. Dobrowolski propagował własne koncepcje, w tym „naczelny postulat dydaktyczny (...) możliwie jak największego i coraz większego zbliżania się nauki w szkole do pracy samodzielnej”.

Przeciw przedwczesnej selekcji

Przygotował *Kodeks moralności umysłowej* oraz dzieło – pozostałe w zamyśle – „Nowa dydaktyka”. Występował przeciwko „selekcji zgoła przedwczesnej” na szczeblu gimnazjalnym, co propagowała reforma jędrzejewiczowska. Projektował nawet założenie Międzynarodowej Ligi Gimnazjum Powszechnego i Obowiązkowego. Dostrzegając „brak powszechnej potrzeby oświaty ogólnej”, wywołujący „inteligencji <analfabetyzm powrotny>” oraz „masowe wytwarzanie półinteligentów”. Promował też samokształcenie – „samodzielne zdobywanie wykształcenia ogólnego” (*Universitas rediviva* 1936). Miały powstać instytuty wyższej kultury umysłowej oraz wieczorowe koła samokształcenia. Polskę w XVII i XVIII wieku uznał Dobrowolski za „wyspę niedorozwoju umysłowego”: „nie wydała przez całe te dwieście lat ani jednej pracy naukowej, ani w druku, ani w rękopisie”.

Gdy Wolna Wszechnica Polska zmierzała ku akademizacji, Dobrowolski zrezygnował z katedry i wykładów (1938). Mieszkał skromnie w oficynie przy ulicy Wilczej. Od 1937 roku należał do Związku Nauczycielstwa Polskiego, w latach 1938 i 1939 był prezesem Sekcji Szkół Wyższych. W czasie okupacji współpracował konspiracyjnie z Delegaturą Rządu na Kraj przy opracowywaniu projektu dziesięcioletniej szkoły powszechnej. Żoną Dobrowolskiego została Zofia Ulińska, nadal jednak był samotnikiem. Krytykował uniwersytety za uleganie tradycji średniowiecza (*Uniwersytety i instytuty naukowe jako szkoła badaczy naukowych*, „Kuznica” nr 4-5, 1945). W artykule *O praktyczności nauk niepraktycznych i potrzebie Ministerstwa Nauki* („Odrodzenie” nr 7, 1946) Dobrowolski bronił „nauki czystej”, ale jego postulat mógłby umocnić biurokrację ministerialną. W roku 1946 został kierownikiem Katedry Pedagogiki i Organizacji Szkolnictwa na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1946 i 1947 był z mandatu PPS członkiem Rady Szkół Wyższych. Wspierał koncepcję Kongresów Nauki Polskiej, a nawet zgłosił projekt likwidacji wszystkich tytułów naukowych (posiedzenie RSzW, 10 IV 1947). Od roku 1948 zajmował stanowisko profesora zwyczajnego, ale dopiero w 1953 roku uzyskał na UW stopień doktora nauk pedagogicznych. Mimo tych opóźnień posiadał uzasadnione poczucie wartości i niespotykaną potrzebę analizy własnego warsztatu i dokonywanych odkryć. Z ducha więc był uczonym akademickim.

Antoni Bolesław Dobrowolski zmarł w Warszawie, 27 kwietnia 1954 roku.



Piotr Müldner-Nieckowski

Wysokość wieży telewizyjnej

Telewizja w Szczecinie przeprowadziła ciekawy test. Było to co prawda jeszcze w czasach czarno-białych (lata 60. XX w.), ale nie tak znowu technologicznie słabych, żeby nie zdążono wybudować supernowej wieży nadawczej. Otóż w ramach badania recepcji programu informacyjnego lokalnej telewizji przez wiele dni w dzienniku podawano wysokość tej budowli i zachęcano do poznawania jej funkcji. Następnie po bodaj dziesięciu dniach (czyli trzydziestu emisjach tych wieści) zbadano, co ludzie z tego zapamiętali. A ludzie w ankietach podali, że wiadomość co prawda słyszeli, a „w zakresie wymiarów budowli” wszyscy bardzo się różnili. Poprawną wysokość podało ledwie kilka procent ankietowanych. Innymi słowy niemal nikt nie zapamiętał tego, co zdaniem badacza powinien był przyswoić, zatem informowanie telewizyjne okazało się haniebnie nieskuteczne. Zadziałał efekt widza, czyli objętego przechodnia albo przypadkowego świadka.

Śmiem twierdzić, że wśród dzisiejszych słuchaczy wykładów znajduje się wielu takich niewiarygodnych świadków, zainteresowanych tylko obecnością na zajęciach, jeżeli ta jest warunkiem zaliczenia przedmiotu. I uważam, że można to zmienić.

Szczególnym dowodem na prawdziwość tej tezy mogą być wyniki egzaminów (kolokwium) ustnych. Nieuk łatwo się nie prześlizgnie. Ponieważ takie egzaminy zdarzają się na uczelniach coraz rzadziej, trzeba pomyśleć, jak poprawnie organizować testy. Mogłyby być skuteczne takie, które uniemożliwiają wzajemne informowanie się zdających i zawierają pytania angażujące w rozumienie kwestii (nie wystarczy prosty test wyboru jednej odpowiedzi), a także mają zmienną kolejność pytań. Zmuszałoby to egzaminatora do rezygnacji ze sprawdzania za pomocą szablonu z poprawnymi odpowiedziami, co drastycznie wydłużyłoby czas pracy nad egzaminami. Sprawa byłaby tym bardziej dotkliwa, że płace na uczelniach stały się już mniej konkurencyjne niż wynagrodzenia hydraulików. Jestem niedzisiejszy i niezbyt rozgarnięty ekonomicznie, ale moje testy zawsze miały mieszaną kolejność pytań i egzamin w pierwszym terminie przeważnie ujawniał 80-procentowe nieuctwo. W drugim wszyscy zdawali, bo nie mieli innego wyjścia, musieli się przygotować.

Najbardziej wiarygodny wciąż pozostaje egzamin ustny. Jeśli wykładowca na to się decyduje i studenci wiedzą o tym od początku zajęć, to słuchają wykładów, przykładają się do ćwiczeń i czytają literaturę. Działa to niczym odruch Pawłowa, na tej samej zasadzie, co natychmiastowe wychodzenie z zajęć, kiedy wykładowca powie, że „są godziny rektorskie”. Nawet jeśli studenci za naukę zapłacili, przyjechali z daleka i są w słusznym wieku, to opuszczają salę momentalnie.

Z podobnym typem reakcji studenckiej mamy do czynienia także wtedy, kiedy wykład się przeciąga. Na mojej uczelni (i na wielu innych) przed wielu laty wprowadzono „oszczędzający” tryb trwania zajęć, polegający na tym, że kumuluje się godziny lekcyjne tak, aby zamiast dwa razy po 45 minut z przerwą w środku, trwały półtorej godziny w jednym ciągu. Już pomijam to, że profesorowie tracą wtedy na wadze półtora kilograma masy ciała (odwadniająca metoda odchudzania nauczycieli akademickich przez wypacanie). Jak uczy higiena, gdyby utrzymano kwadransowe przerwy po każdych trzech kwadransach mówienia, wymiary czasowe spełniłyby swoje zadanie, z wyjątkiem ostatnich trzech kwadransów, bo z nich skuteczne zawsze są tylko dwa. Ostatni do celów wykładowych się nie nadaje. Wobec tego najlepiej przeznaczyć go na czynności administracyjne, pytania i (krótkie) odpowiedzi, podnoszenie rolet na oknach i ekranu, zwijanie sprzętu, a w każdym razie na coś zupełnie innego w charakterze niż sam wykład.

Moment, w którym wykład należy bezwzględnie przerwać na korzyść czynności dodatkowych, doświadczony nauczyciel wyczuwa na podstawie zachowania słuchaczy. Jeśli odkładają długopisy, składają notatki, zaczynają zbierać rzeczy, pić niedopite płyny, wodzić wzrokiem po ścianach i suficie, rozmawiać, to znaczy, że już nic z naszej mowy do nich nie dotrze. Nawet jeśli nie powiedzieliśmy jeszcze paru niezwykle istotnych rzeczy, to ich ujawnianie w ostatnich minutach czasu wykładowego nie ma sensu. Nie zostaną przyswojone pod żadnym pozorem.

Najlepiej przejść do sprawdzania listy obecności. RODO tego nie zakazuje (notabene nie zabrania też wyczytywania nazwisk na uczelnianych uroczystościach; pozwala wywieszać wykazy z danymi studentów, a także ich prace, np. plastyczne, na ogólnodostępnej tablicy na terenie szkoły, ale – dodajmy – nie w Internecie). Potwierdzanie obecności bardzo ich ożywi (na kilka minut), ale to nie znaczy, że przekazanie wiedzy, której nie zdążyliśmy wtłoczyć z naszej głowy do sali wykładowej, byłoby skuteczne i warto by je wznowić. Otóż nie byłoby skuteczne. Koniec zajęć, to koniec zajęć. Wyjątków nie ma. Student może być niechętny, student może zamknąć uszy i oczy, student może wyjąć swoją ulubioną lekturę albo na tablecie przejść do Internetu, ale student idiotą nie jest. Na żadne nasze sztuczki nie da się nabrać. On wysokość swojej prywatnej wieży telewizyjnej zna na swój sposób i tego zmienić się nie da.

e-mail: lpj@lpj.pl

Bez punktów zbieżnych

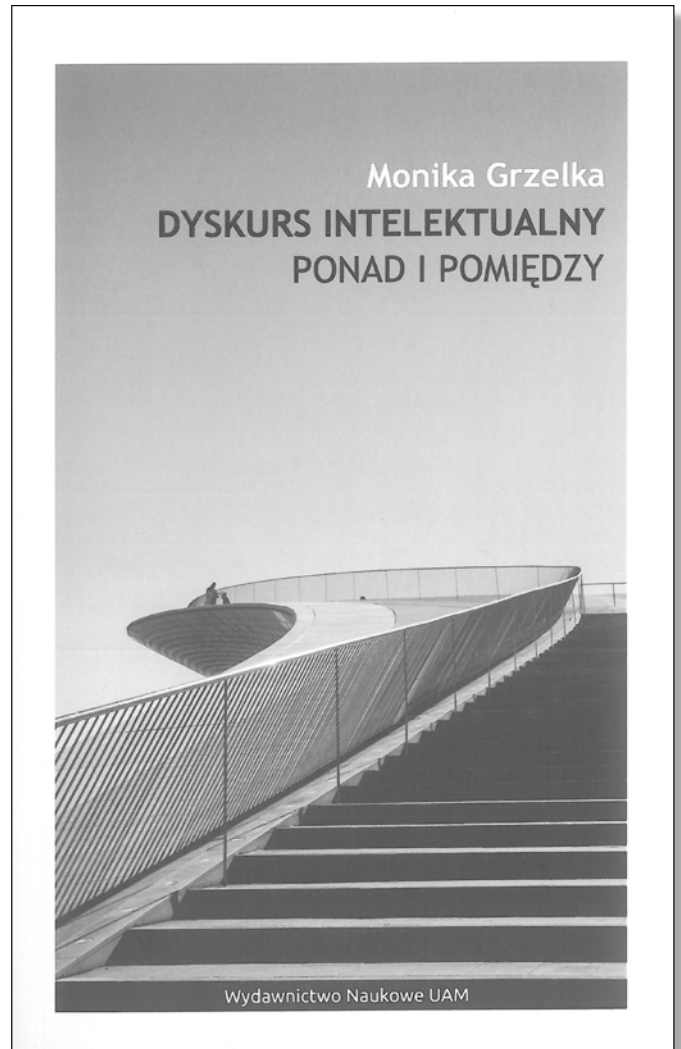
Gdy biorę do ręki książkę z obszaru współczesnej humanistyki, odczuwam coś, co nazwałbym „łękiem Sokala”. Alan Sokal znany jest z książki *Modne bzdury. O nadużywaniu pojęć z zakresu nauk ścisłych przez postmodernistycznych intelektualistów* (pierwsze wydanie polskie w 2004 r.), w której poddał krytyce ezoteryczny język używany w fachowych publikacjach humanistycznych. Sokalowi chodziło głównie o wymienione w tytule nadużywanie terminologii, której autorzy nie rozumieją. Ja lękam się po prostu, że będę czytał coś, co będzie mi się wydawać niezwykle mądre, wręcz hermetyczne, a w rzeczywistości okażą się za słabo przygotowani, by rozpoznać, że naprawdę to przelewanie z pustego w próżne. Nie ja pierwszy chcę pochwalić książkę Moniki Grzelki za to, że powraca do tradycji eseju humanistycznego reprezentowanej przez np. Tadeusza Kotarbińskiego czy Władysława Tatarkiewicza; *toutes proportions gardées*: prowadzi wywód złożony, a jednocześnie zrozumiały.

Ważne jest jednak przecież nie tylko, jak się mówi, ale także o czym. Publikacje z zakresu humanistyki uchodzą często za niszowe nawet wśród naukowców, gdyż dotyczą ich zdaniem niszowych (ogłędnie mówiąc) problemów. Ale nie w tym przypadku. Samo istnienie i ewentualna rola grupy społecznej określanej mianem „inteligencji” jest istotną kwestią tożsamościową dla wielu wykształconych osób w Polsce. Debata na temat zmiernych lub końca inteligentów jako grupy powracała w polskiej przestrzeni medialnej co najmniej dwa razy. Grzelka pokazuje różnice w roli intelektualistów w PRL, w okresie transformacji i współcześnie, a jednocześnie potrafi przekonująco uargumentować tezę, że rola tej grupy znacząco się zmienia, ale nie kończy. Rozróżnienie między *public intellectuals* a specjalistami z wyższym wykształceniem przeprowadza bez dezawuowania tej ostatniej grupy. Tym właśnie naukowy esej różni się od przebranej za ten gatunek publicystyki (a takich publikacji na polskim rynku nie brakuje). Bardzo cenne jest ujęcie przez autorkę problemu elitaryzmu intelektualistów: w jaki sposób zamknięte i wąskie grono miałoby jednocześnie zarówno wpływać na kształt państwa i społeczeństwa, jak i cieszyć się autorytetem w tym ostatnim? W debatach z lat 90. często pojawiały się zarzuty wyalienowania „inteligentów”. Postulaty, aby „inteligencja” zaczerpnęła mądrości od „zwykłych ludzi”, pojawiały się już od czasów romantyzmu, zarówno ze stuprocentową powagą (przykładem może być akcja „pójścia w lud” zorganizowana przez rosyjskich narodników podczas tzw. szalonego lata w 1874 r.), jak i w satyrycznej otoczce (usilujący „bratać się z ludem” bohaterowie *Ferdydurke*). Grzelka pokazuje, jak rozumienie roli tej grupy społecznej ewoluowało i że nie jest ona wcale produktem realnego socjalizmu, skazanym na zniknięcie wraz z nim.

Cechy współczesnej debaty publicznej także są przez autorkę opisywane w sposób pogłębiony, bez łatwych diagnoz o „dwóch plemionach”. Dla Grzelki to jedynie punkt wyjścia – wskazywane są głębsze mechanizmy utrudniające porozumienie. Szczególnie istotne wydaje się połączenie refleksji o regułach funkcjonowania nowoczesnej przestrzeni medialnej jako głównej agory dyskursu (z jej dramatyzacją, czyli premiowaniem wagą wyrazistej różnicy stanowisk) ze wskazaniem na merytoryczne przyczyny niemożności osiągnięcia kompromisu. Pro-

blemem nie jest jedynie to, że adwersarze są wobec siebie agresywni (język) i koncentrują się wyłącznie na przedstawieniu własnego stanowiska, nie próbując nawet niczego uzgadniać, ale także fakt, że dyskurs konserwatywny i liberalny nie są w wielu punktach w żadnym sensie zbieżne (gdyż np. w zupełnie inny sposób interpretują te same mity założycielskie).

Wreszcie analizowane jest samo pojęcie dyskursu, który przestaje być kolejnym modnym słowem i odzyskuje znaczenie dzięki powiązaniu go ze zwrotem lingwistycznym w humanistyce. Za tym idzie zaś próba wskazania na najlepiej zdaniem



autorki sformułowane definicje (a w każdym razie przybliżenia pojęć) tekstu i stylu. „Łęk Sokala” mija, gdy się okazuje, że w tej publikacji nie są stosowane ani pojęcia-wytrychy (które mając wyjaśniać wszystko, nie wyjaśniają niczego), ani pojęcia-worki (których znaczenie – rzekomo intuicyjnie rozumiane – jest tak szerokie, że nie znaczą już nic). Być może nastąpił już zmiernych wielkich narracji, ale narracja Moniki Grzelki jest zrozumiała i umożliwia rozumienie innych narracji.

Marek Misiak

Monika GRZELKA, *Dyskurs intelektualny. Ponad i pomiędzy*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Poznań 2019.

Holocaust w sztukach wizualnych

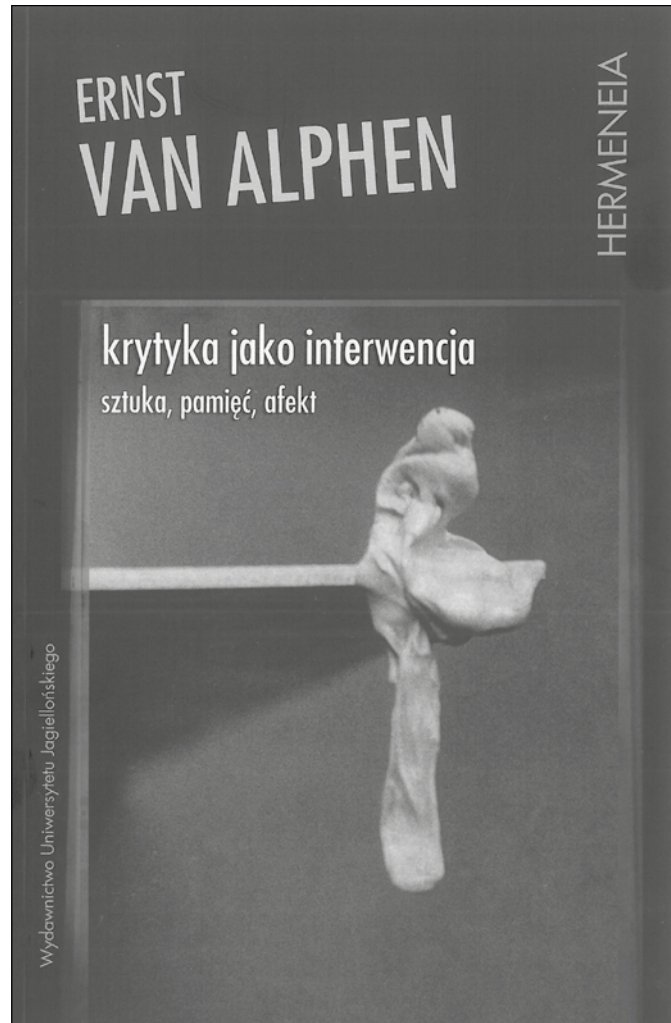
Jak możemy się dowiedzieć z czwartej strony okładki, autor to „badacz relacji między modernistyczną i postmodernistyczną literaturą a sztukami wizualnymi”, a książka stanowi „wybór tekstów przygotowany z myślą o polskich czytelnikach”. Wybrane eseje w zdecydowanej większości dotyczą (czego niestety w ogóle nie sugeruje nam tytuł książki) szeroko pojętej artystycznej pamięci o Zagładzie. Obejmują nie tylko literaturę, ale może przede wszystkim sztuki wizualne, jak malarstwo, instalacje artystyczne czy film. Już we wstępie badacz przyznaje, że zadanie, które sobie postawił, czyli dowiedzenia, iż sztuka i literatura są w stanie zmieniać nasze myślenie o kwestiach kulturowych, nie jest zbyt karkołomne i wymagające specjalnych argumentów. Każdy czytelnik wszak przyzna, że znajomość lub niezajomość literackich i artystycznych odniesień zasadniczo zmienia odbiór otaczającego nas świata i kontaktów międzyludzkich. Nie wydaje mi się jednak, aby Van Alphen chciał nam cokolwiek udowodnić, a stwierdzenie o wpływie sztuki na kwestie kulturowe zawarte zostało we wstępie jedynie po to, aby z uogólniających definicji opisujących stworzyć zebrane w tomie teksty.

Leitmotiwem prawie wszystkich esejów jest Zagłada, sposób jej prezentowania na polach różnych sztuk, wśród których prym wiodzie wizualność. Van Alphen przywołuje konkretne realizacje, które zapisały się w historii sztuki, może nie zawsze pozytywnie etycznie, ale bez wątpienia z wielkim hukiem. David Levinthal w serii *Mein Kampf* (1994-1996) fotografował sceny z Auschwitz, wykorzystując w tym celu figurki żołnierzy służące małym chłopcom do kolekcjonowania czy zabawy. Drugi artysta, Ram Katzir, zasłynął z instalacji *Twoja książeczka do kolorowania* (1996), w której oglądający mieli za zadanie pokolorować dokumentalne zdjęcia z czasów wojny zaprezentowane w formie kolorowanek dziecięcych. Innym głośnym przykładem jest *LEGO. Obóz koncentracyjny* Zbigniewa Libery (1996), czyli zestaw klocków do samodzielnego złożenia obozu koncentracyjnego.

Zapewne mimo upływu dwóch dekad nadal kwestią dyskusyjną pozostaje idea takich artystycznych performansów. Pytając o sens można przejść do zagadnienia dotyczącego dydaktyki nauczania o Zagładzie, o której wielu mówiło, że jest nieznośnie patetyczna i apodyktyczna, stąd czasem nawet niechęć kolejnych pokoleń do pamiętania tego, co przydarzyło się ich rodzinom kilka dekad wcześniej. Efektem owego dydaktycznego fiaska są być może czasem historie o absurdalnych zachowaniach izraelskiej młodzieży w obozach zagłady na terenie Polski. W *Tralievader* Carla Friedmana syn wykrzykuje ojcu, byłemu więźniowi, że przez jego nieustanne wracanie do obozowych przeżyć stracił szansę na normalne dzieciństwo, bo inni ojcowie grali z synami w piłkę, a on wciąż tylko słuchał o tyfusie, głodzie i SS. Jak widać zatem syndrom obozu dotykał nie tylko osób w nim przebywających, ale również dzieci i wnuki ofiar, które wręcz agresją reagują na każdą wzmiankę o *Shoah*.

Na omówienie zasługuje (lub nie) przypadek artysty wizualnego Artura Żmijewskiego. Wideo *Berek* (1999) przedstawia grupę nagich, roześmianych kobiet i mężczyzn biegających w pomieszczeniu podobnym do piwnicy. W końcówce filmu pojawia się informacja, że film nakręcono w dwóch miejscach;

podziemi prywatnego domu i autentycznej komorze gazowej byłego obozu śmierci. Kolejny tytuł filmu Żmijewskiego *80064* (2005) nawiązuje do wytatuowanego na przedramieniu numeru obozowego, do którego odnowienia Żmijewski namówił byłego więźnia Józefa Tarnawę. Artysta tłumaczył, że liczył, iż zabieg ten spowoduje otwarcie „drzwi pamięci”. Van Alphen zauważa podobieństwo motywacji ze słynnym filmem *Shoah* Claude'a Lanzmanna, w którym reżyser sfilmował po latach w zakładzie fryzjerskim fryzjera strzygącego więźniów. Czasem tylko nasuwa się pytanie, czy artysta rzeczywiście może więcej i gdzie



są granice, do których może się posunąć w pogoni za prawdą(?) czy artystyczną ekspresją.

Książka Van Alphen nie proponuje nowych odczytań, nie pokazuje innej drogi w patrzeniu na Zagładę po latach, jest raczej niewielką próbą systematyzacji jakże czasem odmiennych, postholokaustowych wizji artystycznych. Pokazuje też, że z traumą obozów koncentracyjnych często musieli się zmagać nie tylko sami więźniowie, ale również ich dzieci, a nawet wnuki, chociaż rzecz jasna w innym wymiarze i natężeniu.

Jacek Hnidiuk

Ernst VAN ALPHEN, *Krytyka jako interwencja. Sztuka, pamięć, afekt*.

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2019.

Na szerokim tle



Reformacja jest kolejną pozycją interdyscyplinarnej serii Uniwersytetu Oksfordzkiego, zatytułowanej *Krótkie wprowadzenie*. Redaktorzy serii pragną przybliżyć czytelnikowi aktualną wiedzę dotyczącą świata, a przede wszystkim pomóc mu w zrozumieniu jego złożoności. Seria prezentuje różnorakie zagadnienia, począwszy od historii, poprzez kulturę, religię, nauki humanistyczne, po medycynę i nowoczesne technologie.

Autorem *Reformacji* jest Peter Marshall, znawca zagadnienia, wykładowca uniwersytetu w Warwick. Jego książeczka to zaledwie

150 stron wykładu uwzględniającego historyczne, społeczne i teologiczne podłoże reformacji oraz jej następstwa dla światopoglądu, gospodarki i kultury aż do chwili obecnej. Jednak „reformacja” Marshalla jest terminem pojemnym. Obejmuje on zarówno to, co w polskiej historiografii nazywano prerreformacją (husytyzm w Czechach), jak również wydarzenia ściśle definiowane w naszej historiografii jako reformacja, a także jej skutki i odpowiedź Kościoła katolickiego na rozłamy, czyli w naszym ujęciu historiograficznym zjawisko kontrreformacji.

Teatrum *Reformacji* Marshalla (poza wzmianką o husytyzmie) rozgrywa się w Europie Zachodniej. W sumie Luter, Kalwin, Müntzer i Henryk VIII, wojny religijne łącznie z trzydziestoletnią, triumf kontrreformacji z jezuitami Loyoli i soborem trydenckim były przeciw domeną Zachodu. Uderza jednak brak w książce tak znanych z polskiej przeszłości faktów, które – wydawałoby się – są nawet pewną atrakcją dla czytelnika z Zachodu. Nie dowiemy się od angielskiego historyka o Rzeczypospolitej jako kraju tolerancji religijnej. Poznamy za to parę przykładów wspólnego użytkowania świątyni przez katolików i protestantów w kilku miastach europejskich. Nie doczytamy nic o rewelacyjnej – jak na tamte czasy – ugodzie sandomierskiej zawartej w 1570 roku pomiędzy wyznawcami religii protestanckich w Polsce (z wyłączeniem Braci Polskich) czy konfederacji warszawskiej z 1573 roku gwarantującej wieczny pokój między różniącymi się w wierze. Pomimo że w Marshallowej definicji reformacji znakomicie wpisaliby się też unia brzeska z 1596 roku, również ją pominięto.

Specjalnością naukowców z Warwick jest umiejętność wiązania zjawisk społecznych z gospodarką. *Reformacja* ukazuje wpływ nowych wyznań na zmiany struktur municypalnych. Kalwinizm przeobraził magistraty Genewy, Zurychu, Berna, wprowadzając konsystorze złożone z pastorów, urzędników miejskich i świeckich „starszych” odpowiedzialnych za karność i morale mieszkańców. Konsystorze uzyskały znaczną swobodę działania. Mogły ekskomunikować niepokutujących grzeszników. Marshall podkreślił wpływ kalwinizmu na narodziny nowożytnego kapitalizmu, uwypuklając jeden z istotnych czynników – specyficzny determinizm wyznawców płynący z przyjęcia doktryny o predestynacji. Pokazał też przenikanie wpływów katolickich do protestantyzmu. Protestanci, walcząc z nadmierną obrzędowością, sami się jej nie ustrzegli. Wzorem katolików luteranscy pastory z Danii święcili pola na Wielkanoc, a szkoccy duchowni kalwińscy odprawiali uroczystą liturgię święcenia rybackich kutrów. „W Niemczech krążyły niezliczone opowieści o cudownym ocaleniu wizerunków Marcina Lutra od ognia. Świadczyło to o autentycznym szacunku, jaki okazywano pamięci wielkiego reformatora, ale jednocześnie stanowiło ślad katolickiego kultu świętych w powszechnej mentalności”.

Do odświeżenia wiedzy studenckiej przed kolokwium *Reformacja* się nadaje. Autor zawarł najnowszy stan badań nad zagadnieniem i uczynił to w sposób popularyzatorski; nie zanudza. W bibliografii odnajdziemy najnowsze pozycje, u nas jeszcze nieznanne. I nie ma tam żadnych „żelaznych” pozycji, choćby biografii Lutra piór J. Todda czy R. Friedenthala. Klasyka tematu szybko schodzi do lamusa.

Bogdan Bernat

Peter MARSHALL, *Reformacja*, tłum. J. Pluciennik, M. Potz, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2019, seria: Krótkie Wprowadzenie.

Hybrydowe programy emerytalne



Rozpoczęło się wdrażanie Pracowniczych Planów Kapitałowych – dobrowolnego, prywatnego systemu długoterminowego oszczędzania na okres po zakończeniu aktywności zawodowej. Miliony Polaków podejmują już od 1 lipca br. decyzje o przystąpieniu lub nieprzystąpieniu do PPK. Jednym z ważnych kryteriów, jakie twórcy i uczestnicy każdego programu emerytalnego biorą pod uwagę, jest ekspozycja zgromadzonych oszczędności na ryzyko, a także podział ryzyka pomiędzy wszystkie zaangażowane strony, w szczególności pracodawców i pracowników. Autorka szczegółowo charakteryzuje najważniejsze rodzaje ryzyka, w tym: ryzyko inwestycyjne, błędnego oszacowania dalszego trwania życia, ryzyko inflacji, nieznanej ceny renty, ryzyko bankructwa pracodawcy. Ciężar wymienionych rodzajów ryzyka w różnym stopniu spoczywa na pracodawcy i pracowniku, a zależy to m.in. od formy programu emerytalnego: czy jest to program o zdefiniowanej składce, czy zdefiniowanym świadczeniu.

W ostatnich latach najwięcej zainteresowania budzą natomiast formy pośrednie obu programów, nazywane hybrydowymi programami emerytalnymi. Autorka szczegółowo je charakteryzuje, analizując skalę i rodzaje ryzyka w najpopularniejszych z nich, funkcjonujących już w praktyce w kilku krajach o podobnych wyzwaniach demograficznych, jak Polska. Do programów tych należy zaliczyć: oparte na saldzie gotówkowym (*cash balance*), programy z minimalnym świadczeniem (*underpin*), sekwencyjne (*nursery scheme*), kombinacyjne (*combination hybrid*) oraz programy o warunkowym świadczeniu (*conditional benefit*).

Za cel badań Anna Gierusz przyjęła scharakteryzowanie podziału ryzyka w hybrydowych programach emerytalnych z punktu widzenia zarówno uczestnika (pracownika), jak i pracodawcy, a ponadto zaproponowanie nowego programu hybrydowego, który spełniałby zdefiniowane wcześniej kryteria. Całość tekstu ujęta jest w czterech rozdziałach. W pierwszym przedstawione są rozwiązania emerytalne stosowane w wybranych krajach. Omówiono w nim klasyfikacje systemów emerytalnych ze względu na ich cel i formy finansowania, a także przesłanki, jakimi się kierowali twórcy tych programów oraz późniejsi ich reformatorzy. Drugi rozdział poświęcony jest przeglądowi literatury dotyczącej hybrydowych pracowniczych programów emerytalnych. Przedstawiono w nim główne formy programów funkcjonujących w wybranych krajach, w tym Holandii, Szwajcarii, USA i Islandii.

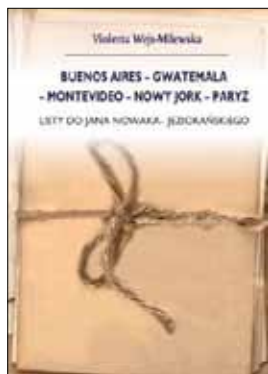
Rozdział trzeci zawiera przegląd miar ryzyka stosowanych w analizach programów emerytalnych, takich jak zmienność wysokości świadczenia czy zmienność poziomu finansowania programu (zdefiniowana jako wartość środków zgromadzonych w programie podzielona przez wartość przyszłych świadczeń). Autorka opisuje wybrane modele programów, zwracając uwagę na ich aspekt finansowy, określony m.in. przez stopę zwrotu z inwestycji oraz przewidywane dalsze trwanie życia świadczeniobiorców. W czwartym rozdziale Anna Gierusz prezentuje wyniki własnych badań nad wybranymi typami hybrydowych programów emerytalnych oraz omawia propozycję nowego rodzaju programu hybrydowego. Program ten jako jedyny obejmuje dodatkowym zabezpieczeniem zarówno pracodawcę, jak i uczestnika.

Monografię kończą oryginalne i dobrze uzasadnione wnioski, które mogą być interesujące dla pracowników naukowych zajmujących się tą problematyką, jak i dla osób odpowiedzialnych za kreowanie polityki społecznej i finansowe zabezpieczenie jej realizacji.

Mirosław Szreder

Anna GIERUSZ, *Modele podziału ryzyka w hybrydowych pracowniczych programach emerytalnych*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2019.

Wokół Wolnej Europy



Violetta Wejs-Milewska wiarygodnie i w sposób inspirujący odzyskuje i przedstawia w mikro- i makroskali dynamikę udziału pisarzy emigracyjnych w funkcjonowaniu Radia Wolna Europa. Pisała o tym w książce *Radio Wolna Europa na emigracyjnych szlakach pisarzy* (2007), a następnie w jej kontynuacji pt. *Buenos Aires – Gwatemala – Montevideo – Nowy Jork – Paryż. Listy do Jana Nowaka-Jeziorańskiego*. Drugie wydanie tego opracowania jest rozszerzone o trzy rozdziały. Autorka po raz kolejny dała się poznać jako eksploratorka

„świata rzeczpospolitej epistolarniej”.

RWE reprezentowane przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego mobilizowało środowisko literackie do medialnego wpływania na społeczeństwo polskie okresu PRL. Wniknięcie w niespenetrowane zasoby archiwalne, dokumentujące działalność wybitnych przedstawicieli emigracji związanych okresowo lub w dłuższej perspektywie czasowej z tą zwalczaną przez Polskę Ludową rozgłośnią, uszczegóławia panoramę nie tylko ich intelektualnego życia. Badaczka wyodrębnia dane biograficzne i buduje z nich rekonstrukcje wyższego rzędu, odtwarzając egzystencjalne i artystyczno-literackie konteksty dziejów emigracji niepodległościowej.

Przedmiotem antropologicznych analiz Wejs-Milewskiej jest obfita, często dopiero co ogłoszona lub niezbadana epistolografia. Stanowi ona niekiedy jedyne świadectwo ulotnej aktywności radiowej pisarzy emigracyjnych. W swym myśleniu autorka nigdy nie pozostaje na poziomie przyzwoitym, nie poprzestaje na znużającym ustalaniu faktów, referowaniu treści listów, lecz uwidacznia strukturę, mechanizmy czy procesy szersze. Na przykład, gdy uściśla stosunki pomiędzy twórcami i redaktorami, precyzyjnie ujawnia, jak bardzo znaczącymi i kluczowymi postaciami mediów emigracyjnych byli Jerzy Giedroyc i Jan Nowak-Jeziorański. Wielokrotnie przypomina, że obaj istnieli w przestrzeni wzajemnie podsycanego bardziej lub mniej dyskretnego antagonizmu.

Autorka przekonująco wskazuje na realne i głębsze przesłanki stojące u podstaw decyzji ludzi pióra, aby współpracować z Wolną Europą. Ich radiowa twórczość – bądź co bądź w propagandowej instytucji, finansowanej przez tajne służby USA – wpłynęła na siłę jej prestiżu i oddziaływanie. Badaczka uświadamia najprecyzyjniej jak to możliwe źródła mocy sprawczej RWE i jego wpływu na bieg wydarzeń w powojennej Polsce. Liczenie się (na zasadzie negatywnej) władz PRL z treściami emitowanymi na antenie RWE wynikało z wielostronnego i wartościowego zaangażowania się polskich autorów emigracyjnych w podtrzymywanie tradycji niepodległościowej w Kraju.

Dociekania zanurzone są w polityczności, postrzeganej jednakowoż w perspektywie aksjologicznej, a nie darwinistycznie rozumianej walki o władzę. Podjęte są kwestie dotyczące świadomego obniżania przez pisarzy o uznanej renomie poziomu i tonu tekstów radiowych (zazwyczaj publicystycznych), problemy łączenia służby w słusznej sprawie i poczucia patriotycznej misji z pragnieniem utrzymania wysokiej pozycji w hierarchii artystyczno-literackiej.

Książka z jednej strony oferuje bogaty materiał badawczy, a z drugiej wiele sformułowanych wprost lub niejako mimochodem postulatów. Jeden z nich dostarcza refleksji na temat granicy pomiędzy odpowiedzialnością za sztukę literacką, troską o los własny i najbliższych, a obowiązkami wobec narodu i społeczeństwa.

Zbigniew Chojnowski

Violetta WEJS-MILEWSKA, *Buenos Aires – Gwatemala – Montevideo – Nowy Jork – Paryż. Listy do Jana Nowaka-Jeziorańskiego* (Andrzej Bobkowski, Maria i Józef Czapscy, Kazimierz Dejmek, Witold Gombrowicz, Konstanty A. Jeleński, Czesław Straszewicz, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin),

Wydawnictwo Prymat, Mariusz Śliwowski, Białystok 2018.

Szkoła bezpieczna czy nie



Jest to książka na czasie, wpisuje się w aktualną problematykę związaną z bezpieczeństwem w środowisku szkolnym. Omawia zagrożenia dzieci i młodzieży płynące z dynamicznych przemian obyczajowych, kulturowych i cywilizacyjnych, jakie zachodzą we współczesnym świecie, w tym również w naszym kraju. Jeszcze nie tak dawno w szkole nie były znane takie problemy jak narkotyki, przemoc, w tym wobec nauczycieli, zagrożenia związane z internetem, uzależnieniem od telefonu komórkowego i szereg innych, nawet najgroźniejszych, jak strzelanina i nóż.

Jest to książka naukowa, zajmuje się teorią i praktyką w zakresie jakości modeli działań profilaktycznych w obszarze bezpieczeństwa uczniów. Stanowi propozycję zdefiniowania problemu poprzez pryzmat działań jako jedną z form bezpieczeństwa szkolnego. Autorka ma bogate doświadczenia. Zanim została pracownikiem naukowym, wiele lat była nauczycielką. W pracy naukowo-badawczej jest to ważne, omawiane przykłady osadzone są w konkretnej rzeczywistości. Jest to pewnego rodzaju poradnik w zakresie wiedzy o zagrożeniach w szkole w okresie adolescencji młodzieży. Owszem w szkołach są programy profilaktyczne, ale nierzadko tylko na papierze. Często nauczyciele i uczniowie nie mają żadnej wiedzy, jak się zachować, gdy wybuchnie pożar czy rozproszony zostanie gaz.

W książce znajdujemy wyjaśnienia, że polska szkoła nie zawsze jest przygotowana do zaradzenia trudnym zjawiskom, które w pierwszej kolejności należy rozpoznać. Dotyczy to nauczycieli, uczniów i rodziców. Stąd – zauważa autorka – powstaje konieczność tworzenia programów zapobiegających wszelkim typom zagrożeń bezpiecznego rozwoju dzieci i młodzieży na różnych etapach ich nauki i aktywności rówieśniczej.

Wywody oparte zostały na bardzo szerokich badaniach, prowadzonych w różnych środowiskach w Warszawie, Szczecinie, Piotrkowie Trybunalskim i Janowie Podlaskim. Ponadto uwzględniono badania innych autorów, którzy zajmują się tą problematyką. W sumie powstało interesujące studium, z którego m.in. wynika, że bez względu na różnice między wielkim miastem, miasteczkiem i wsią zagrożenia dotyczące bezpieczeństwa uczniów są do siebie zbliżone, czasami identyczne. Niewątpliwie wpływają na to dostępne wszędzie środki masowego przekazu.

Istotną rolę odgrywają warunki rodziny i otoczenia dzieci i młodzieży. Jolanta Skubisz stawia wniosek, że dziś bezpieczeństwo, zwłaszcza to związane ze szkołą, winno uwzględniać nie tylko tradycyjny ład szkolny, ale też zachodzące zmiany gospodarcze, instytucjonalne i wiedzę technologiczną, na którą młodzież jest bardzo chłonna. A zatem bezpieczeństwo szkolne to wiedza i organizacja o charakterze instytucjonalnym.

Zawarta w książce wiedza teoretyczna i ta wynikająca z badań ma praktyczne znaczenie przy tworzeniu programów profilaktycznych, które zapobiegłyby wszelkim typom zagrożeń. W tym kontekście zostało wprowadzone pojęcie anomii. Anomia to stan świadomości jednostki polegający na odrzuceniu przyjętych wartości oraz zastąpieniu ich przez chaotycznie skonstruowane popydy, czemu na terenie szkoły bardzo trudno zapobiec. Jednostka taka cechuje się całkowitym wyzbyciem poczucia wspólnoty z grupą i jakichkolwiek zobowiązań w stosunku do niej. W tej sytuacji głównym uczuciem przejawiającym się w procesie myślowym ucznia jest egoizm oraz przeświadczenie o nieistnieniu konieczności odpowiadania przed kimkolwiek.

Obok podstawowego nurtu badawczego związanego z profilaktyką w szkole jest w książce wiele wątków psychologicznych, gospodarczych, kulturowych i innych zaczerpniętych z innych dziedzin wiedzy. Może być ona przydatna dla nauczycieli i rodziców, ale także dla władz samorządowych.

Ludwik Malinowski

Jolanta SKUBISZ, *O profilaktyce na rzecz bezpieczeństwa szkolnego. Teoria i praktyka*, Wyższa Szkoła Menedżerska, Warszawa 2019.



Leszek Szaruga

Kopalnia w Maisons-Laffitte

W Maisons-Laffitte pod Paryżem mieści się siedziba paryskiej „Kultury”, w tej chwili miejsce pielgrzymek badaczy zajmujących się powojenną historią Polski i znajdujących w archiwach tu zgromadzonych nieocenione skarby – przede wszystkim w obszernej korespondencji prowadzonej przez Jerzego Giedroycia, o której tylko powierzchowne wyobrażenie dają tomy dotąd opublikowane. To istna kopalnia wiedzy wszelakiej, interesująca nie tylko dla historyków i politologów, ale także pisarzy politycznych, dla których – to jeden z przykładów – inspirowana w próbie opisu kondycji współczesnego świata może wydać się uwaga Czesława Miłosza, który w roku 1974, a zatem niemal przed półwieczem, pisał do Redaktora: „Ani Sołżenicyn (ani Mieroszewski) nie zdają się rozumieć głębi rozkładu, w jakiej pogrąży się kapitalistyczny Zachód, zatracając wolę życia i wykazując, że demokracja była tylko pewną fazą odpowiadającą pewnemu stadium kapitalizmu. Jestem raczej przerażony, obserwując rozpacz i dezintegrację młodych Amerykanów (...). Dziwny bardzo fenomen – Ameryka, która uzyskała hegemonię światową i absolutnie nie wiedziała, co z tym zrobić, no i skutki”. Jeśli wówczas ten osąd nie należał do powszechnych, to już dziś można go uznać za swego rodzaju profetyzm. Szczególnie słowa mówiące o tym, że „demokracja była tylko pewną fazą”, zyskują z dzisiejszej perspektywy jeśli nie potwierdzenie, to w każdym razie walor trafnego rozpoznania kryzysu, z którym Zachód się obecnie boryka. O tym, czy kryzys ów oznacza zapaść, czy przesilenie, dowiemy się zapewne w najbliższej przyszłości.

Archiwum „Kultury” tym bardziej jest interesujące, że w zgromadzonej tu korespondencji (a miał Giedroyc w zwyczaju zachowywać kopie własnych listów, co czyni zbiory źródłem wysoce treściwym) pojawiają się rozpoznania i sądy, które – w szczególności gdy chodzi o charakterystyki przywoływanych tu, często znaczących w życiu publicznym postaci, ale też i o oceny dzieł literackich – nie mogły być wówczas, ze względu na możliwość ich politycznego zmanipulowania, ogłaszane poza sferą prywatną. W jakiejś mierze komunistyczna cenzura blokowała swobodę wypowiedzi także w literackim i publicystycznym obiegu emigracyjnym, w którym publiczne ujawnianie ocen i niektórych zjawisk nie było możliwe ze względu na niebezpieczeństwo wykorzystania ich przez propagandę reżimową, siłą więc rzeczy znajdowały one wyraz w prywatnej korespondencji.

Dobrym przykładem pożytku, jaki przynosi wejście w przestrzeń „Kultury”, jest rozprawa Pawła Kowala *Testament Pro-*

meteusza, opatrzona podtytułem *Źródła polityki wschodniej III Rzeczypospolitej*. Liczące 767 stron studium wskazuje znaczenie wypracowanych przez krąg pisma – przede wszystkim Giedroycia i Mieroszewskiego – i weryfikowanych w obliczu zmieniających się układów sił na arenie międzynarodowej zasad zmierzających do realizacji działań, których celem jest dążenie do osłabienia imperialnej polityki sowieckiej, później zaś rosyjskiej, jako warunku odrodzenia suwerenności Polski. Postawa ta, nawiązująca do prometeizmu Józefa Piłsudskiego, stała się dziedzictwem III Rzeczypospolitej właśnie za sprawą odwołującego się do niej Giedroycia. Podkreśla przy tym Kowal: „Doktryna Giedroycia nie została proklamowana w uroczysty sposób, nie powstała także na podstawie praktyki politycznej instytucji państwowych (...) Do 1989 roku linia polityczna Giedroycia i redagowanej przezeń „Kultury” była przede wszystkim konceptem intelektualnym, schematem myślenia elitarnego kręgu czytelników i twórców pisma”.

Czy rzeczywiście? Zapewne można się zastanawiać nad tym, jaki realny wpływ na politykę Zachodu wobec Sowietów miały pozornie peryferyjne działania ośrodków emigracji wschodnioeuropejskiej, niemniej nie ulega wątpliwości, że wśród nich „Kultura” – wzorowana zresztą, o czym Redaktor mówił wprost, na piśmie Hercena „Koło” – zajmuje pozycję centralną. Nawiązywane przez Giedroycia kontakty zarówno z ośrodkami opozycyjnymi w kraju, od roku 1956 coraz mocniejsze, jak i pośrednie lub bezpośrednie kontakty z takimi politykami jak Zbigniew Brzeziński, mogły mieć wpływ na decyzje, jakie w stosunku do krajów bloku sowieckiego podejmowane były, choćby tylko w wybranych dziedzinach – by wspomnieć o załatwianiu stypendiów dla wyjeżdżających na Zachód pracowników systemu – przez decydentów politycznych. Także po roku 1989 podejmował Giedroyc antyimperialne działania wobec Kremla, przykładem choćby wychodzący przez niecałe dwadzieścia lat adresowany do inteligencji rosyjskiej miesięcznik „Nowaja Polska”, powstały z inspiracji Giedroycia, a kierowany przez jego wieloletniego współpracownika i tłumacza wydanego w bibliotece „Kultury” *Archipelagu Gulag* Sołżenicyna, Jerzego Pomianowskiego. Jedno nie ulega wątpliwości: prometeizm Giedroycia zakładał aktywne, choć często dyskretne relacje z Rosją, niekoniecznie reprezentowane przez polityków i, zwłaszcza po roku 1989, zdolność wykorzystywania tych narzędzi wpływu, które przez politologów określane są jako *soft power*.



Polskie uczelnie w światowej perspektywie. Rankingi a strategiczne zarządzanie szkołą wyższą

Więcej czytaj na str. 9, 35

Zdjęcia: Fundacja Edukacyjna Perspektywy





50-lecie Uniwersytetu Gdańskiego

Kampus UG w Gdańsku Oliwie

Infrastruktura Uniwersytetu Gdańskiego skoncentrowana jest w trzech kampusach: oliwskim, sopockim oraz gdyńskim. Najwięcej studentów, pracowników i budynków znajduje się w Kampusie w Gdańsku Oliwie. Mieszczą się tam wydziały Biologii, Chemii, Filologiczny, Historyczny, Matematyki, Fizyki i Informatyki, Nauk Społecznych, Prawa i Administracji, Biblioteka Główna UG, domy studenckie i rektorat. Budowę kampusu rozpoczęto w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, ale jego dynamiczny rozwój przypadł na lata dwutysięczne. Zapożyczony został przez budowę nowego gmachu Wydziału Prawa i Administracji (2002 rok). W 2006 roku została wybudowana Biblioteka Główna UG. Dwa lata później oddano do użytku gmach Wydziału Nauk Społecznych oraz Instytutu Geografii. Kolejne inwestycje na kampusie to obiekty wydziałów Biologii (2012) i Chemii (2013). W 2015 roku infrastrukturę UG uzupełniły budynek Neofilologii oraz administracji centralnej, a na koniec roku siedziba Instytutu Biotechnologii. Najnowsza inwestycja UG w kampusie oliwskim to budynek Instytutu Informatyki, oddany do użytku w 2019 roku.

Na kampusie znajduje się też EkoPark Uniwersytetu Gdańskiego im. Macieja Płażyńskiego ulokowany pomiędzy wydziałami Biologii, Chemii oraz Matematyki, Fizyki i Informatyki. To teren zachowania i promocji bioróżnorodności, pełniący funkcje edukacyjne, naukowe i rekreacyjne. Znajduje się tam unikatowa ekspozycja kolekcji roślin rzadkich i zagrożonych gatunków rodzimych z terenu województwa pomorskiego. Na terenie kampusu oliwskiego uczelnia planuje budowę Uniwersyteckiego Centrum Sportu i Rekreacji.

W Sopocie zlokalizowane są wydziały Ekonomiczny i Zarządzania. W kampusie gdyńskim mieści się Wydział Oceanografii i Geografii. Unikalnymi częściami infrastruktury UG są Stacja Morska na Helu ze słynnym fokarium oraz statek badawczy Oceanograf.

(BCD)

